DZWON UMARŁYCH

JAN PIETRZYCKI

DZWON UMARŁYCH

SZKICE HISTORYCZNE

„W kronikach znajdziesz powieści osnowę,
Z kronik czerpane rysy i kolory."
J. Słowacki.

LWÓW
NAKŁADEM TOW. IM. PIOTRA SKARGI

Printed in Poland

Z DRUKARNI PRZY ZAKŁADZIE NARODOWYM IM. OSSOLIŃSKICH

DZWON UMARŁYCH.

Dla łańcuckiej fary w konwisarni Heliodora Hausera na Stradomiu w Krakowie dzwon bronzowy leją. Spiż zastyga w formie, na ścianach krzyże zdobne biegną w poprzek liści dębowych, co wieńcami brzeg dzwonu owiodły i napis wiersza psalmisty ujęły w pośrodku: „Za umarłych dzwonić będziesz, aby głos twój miłym był niebiosom i pomocny tym, co z czyścowych płomieni wybawieni być pragną".

Sam mistrz Heliodor Hauser, choć od kilku dni gorączką dziwną trawiony, z pięciu pomocnikami spiż lał w formę, sam u Reformatów z rąk ojca Pawła, o którego świętości Kraków cały mówi, komunię rano przyjął, aby duchem czystym w metal zakląć swe dzieło, co za dni kilka na łańcuckiej farze ma zawisnąć i zagrać modlitwą za dusze umarłych.

A będzie się modlić miał za kogo dzwon ów bronzowy! Na zamku w Łańcucie są podziemia krwawe, gdzie hulała bezmierna dzikość łańcuckiego dyabła, a gdzie nie zliczysz, ile dusz na okropnych kołach męki przeniosło się w wieczność.

Nocami dotąd koło zamku krążą owe mary, jak opowiada strażnik wieżowy, co w noc na okopy, a zwodzone mosty spogląda.

Stadniccy dzwon zamowili w Krakowie, na łańcuckiej farze go powieszą, niech wieczorami pod zachód słońca dzwoni, mary od zamku odpędza, spokój czyni żywym i dla umarłych o wiekuiste odpocznienie uprasza.

Na obejście domowe na Stradom zbiegło się moc mieszczan i miejskiej gawiedzi. Na ogromny dzwon patrzą i podziwiają przedziwną mistrza Heliodora robotę.

Dzwon złożono na dębowych palach wozu, na którym przewieziony ma być do Łańcuta, a że jedno już w drodze czuwać winna nad nim opieka Boża, jako że i w sam dzień zaduszny dzwon umarłych wywieźć z Krakowa kazano, srebrny spiż zieloną ustrojono choiną, od pobliskich Bernardynów przybył zakonnik, dzwon poświęcił i Wszystkim Świętym w szczególniejszą pieczę oddał.

Zaprzężono do wozu woły białe, Hauserów syn Krzysztof sam z dzwonem w drogę rusza.

Nie zmieścił się pojazd w murowanej bramie obejścia. Przywołano murarzy, brama pod obuchem młotów odłamami cegieł czerwonych runęła, wóz wytoczył się na Stradom, a potem ulicami Kazimierza na most drewniany na Wisłę zdąża.

Złoty listopadowy dzień przejrzał się w srebrnej dzwonu powłoce. Uderzył blaskiem o dębowe

liście rzeźbione, co wieńcami brzeg dzwonu owiodły i o napis słów psalmisty: „Za umarłych dzwonić będziesz“...

Opustoszało podwórze w domostwie Hausera. Stary konwisarz usiadł na progu, spogląda na pogodny szafir nieba, na złocisty blask jesiennego słońca, co spływa z białych domów i z gałęzi uschniętych jesionów.

Oczy płoną mu ogniem, czoło pali.

Wiatr łagodny powiał od Wisły.

Chwieją się starca srebrne włosy, z jesionów poczęły gromadą opadać żółte postrzępione liście.

— Hej, dzwonie ty, dzwonie bronzowy! „Za umarłych dzwonić będziesz“...

— — — — — — — — — — —

Dowlókł się starzec do izby, niemoc go zmogła.

Czuje, jak chłód przechodzi mu po ciele, jak w gardle pali, a w głowie dzwoni, jakby się tam rozkołysał dzwon jego własny.

W domu niema nikogo, sam został z niemocą swoją i myślami, co się bezładnie mącą.

Zda mu się, że widzi łańcucki dumny zamek, blachą srebrną wież błyszczący.

Ludzie mijają mury te z trwogą, spoglądając bojaźliwie na skarpy i baszty potężne.

— Dyabła siedlisko to wyklęte! — Starzec słyszy głos, jakby w komnacie był kto, a mówił.

Inny zaś głos odpowiada:

— Patrzeć tylko, a runą sklepienia na głowy tych, co tam żyją...

Chora wyobraźnia otwiera czeluście łańcuckich kazamat.

Wywlekają jakieś widmo okropne, krwią ociekające. Na poszarpanym tułowiu chyli się głowa, krwią zbroczona. Patrzą tylko oczy, zielenią nabiegłe.

Zieleń bólu zalała straszne źrenice. Usta przekrzywiły się w piekielnym uśmiechu.

Śmieją się okropne usta krwawiącego widma.

— Tam w tych strasznych kazamatach krwawa śmierć ma krwawe żniwo.

— Krwawe widma okolą nocą te mury białe i w noc każdą czuwać będą nad niemi zielenią palących ócz.

— Nie zdzierżycie straży! Odpędzą was dzwonem!

— Jakim dzwonem odpędzać mają nasz ból, co z kazamat wywlókł się na okopy i mosty zwodzone?

— Dzwon lano w Krakowie, u Hausera konwisarza, wiozą go do Łańcuta, na farze ma zawisnąć i dzwonić.

— Nie dopuścimy, by dzwon zawisł!

— Na Wisłoku most zmurszały, tamtędy dzwon wieść muszą.

— Na dnie rzeki kamienie ogromne.

— Okolimy łańcuchem krwawym most przeklęty!

— Niech pęka, niech dzwon i ludzie padną na głazy na dnie!

Pochwycił stary konwisarz rękami skronie bijące.

Czy to sen, czy jawa?

Skąd te głosy?

Wszak w izbie niema nikogo...

— Boże! Mój syn Krzysztof... on ten dzwon wiezie... dzwon na farze w Łańcucie ma zawisnąć... zmurszały most na Wisłoku przejeżdżać muszą...

— Wy, widma przeklęte, precz z drogi!

— Czemu stanęłyście przy moście i stare jego filary obejmujecie krwawiącem ramieniem?

— Krew wam z ramion ocieka, mięsza się z wodą rzeki, czerwoną falą Wisłok płynie!

Pot kroplisty wystąpił mu na czoło, chciałby głęboko odetchnąć.

Rozdarł białą koszulę na piersi.

Dźwignął się z łoża, na ramę okienną upadł zemdlony.

Księżyc światłem prószy błękitnem. Drzewa w ogrodzie oblokło mgły przędziwo. Blask upadł na srebrną głowę starca, a na podłodze kładzie się jasny czworokąt z krzyżem, odbicie szyby okiennej.

* *

Był w karmelickim klasztorze na Piasku braciszek Benedykt, cudownie z wszelkich chorób leczący. Zioła znał zdrowotne, płyny zbawienne, a maści wielce gojące w celi swej u Karmelitów wyrabiał.

Znano lekarską moc zakonnika. Rektor uniwersytetu Jan, w którego piersiach złe wody wywoływały bóle niepomierne, jemu podobno wyleczenie swe i życie zawdzięczał — ksiądz biskup-prymas i królowa sama wzywali nieraz Benedykta, wiedzy jego lekarskiej ufając.

Sąsiad Hausera, ławnik Grzegorz, do domostwa Hauserowego zaszedłszy, wziął chorego sąsiada w opiekę.

Posłano do Karmelitów. Pacholik zaniósł czerwieńce, by mszę w kościele odprawiono, o pomoc ludzką Benedykta prosząc.

Przybył zakonnik na Stradom, chorego obejrzał, leki zostawił. Skrzepiło starca nieco, na łożu siadał, w okno patrzył. Niepewność go gryzła o syna.

Żadnej wieści nie miał. Już i tyle dni minęło.

A w pamięci powracał ów sen straszny, owe widma, z pustki domu wylęgłe.

Gdy oczy przymykał, a zmierzchać się poczęło i szary mrok kąty komnaty nawiedzał, zdawało mu się, że słyszy echa tych głosów okropnych.

— Nie dopuścimy, by dzwon zawisł!

— Okolimy łańcuchem krwawym most przeklęty.

— Niech pęka, niech dzwon i ludzie padną na głazy na dnie!

Jednego dnia przyszedł ławnik Grzegorz, twarz miał posępną, wspomniał jedno o dworzaninie, co z Łańcuta przyjechał, bo go na mieście widziano.

Stary konwisarz wpatrzył się w twarz ławnika groźnie, każde słowo pytania wbijając weń, jak gwóźdź ostry:

— Wiesz o wszystkiem? Mów... Krzysztof zginął. Most na Wisłoku pękł, nie utrzymał ciężaru... Mów!

— Na Boga! — bełkotał strwożony ławnik.— Wy wszystko wiecie! Skąd? Kto wam mówił?

Twarz starca zastygała w kamiennym bólu, z ust ledwie dosłyszalne szło pytanie:

— A z dzwonem?... Co z dzwonem się stało?

— Dzwon podobno wydobyto z rzeki. Kamienie na dnie wyrwały mu serce, ogromne szczerby na bokach, cały spiż pęknięty...

Po zoranych licach konwisarza łez krople gorące płyną.

— Widziałem ich,.. tutaj — wszystkich. Mówili, że nie dopuszczą, by dzwon zawisł na wieży i głosem spiżu zagrał.

— Kto mówił? — pyta zdziwiony ławnik.

— Oni, dla których dzwon ten miał bić. Oni — umarli...

— — — — — — — — — — —

Przez trzy wieki na dębowych rusztowaniach fary łańcuckiej obok trzech grających dzwonów wisiał rozbity czerep, bezgłośny dzwon bez serca. Zwano go — dzwonem umarłych.

PAN NA BRZEŻANACH.

Stoi stara, drewniana cerkiew, okolona koronami szumiących drzew, po których światło słoneczne rozlewa się upojeniem dnia. Kędy zwrócisz oczy, wkoło bór odwieczny — wzgórza, jasną poszyte zielenią, pośrodku polana, na której paproć i dziewanny srebrne błyszczą w świetle, a woń unosi się nad niemi wiosenna.

Zioła pachnące wabią ku sobie osy o brzęczących, długich skrzydłach, złote gromadki pszczół, motyle barwne, kołyszące się w powietrzu.

Przy cerkwi, ku zmurszałej ścianie pochyliła się pustelnia. Mieszka w niej starzec święty, czczony przez lud okoliczny. Zna się na ziołach, więc chorych leczy — czyta w księgach pobożnych, więc słowo Boże głosi — a w duszy jakby zawsze słyszał aniołów granie, zadumany jest i cichy, zasłuchany tylko w lasu szum, co od wzgórz płynie i uderza z wiatrem o cerkiewne gonty omszałe.

Czasem przychodzą do niego po radę ludzie z chat pobliskich. W lesie chaty są, ukryte tak pośród gęstwiny, że nieraz drogę do nich znaleść trudno. Ci, co w nich mieszkają, nie wychodzą poza obręb lasów rodzinnych, więc od dawien

dawna leśnikami ich zowią, jako że w lesie jeno życie im płynie, nieraz aż do śmierci samej.

Nad pustelnią rośnie brzoza płacząca. Przystroiła się w kory biel jasną, rozczesała zielone warkocze i oplotła niemi ciche mieszkanie starca, miłując samotność jego i smutek świątobliwy.

Słońce stacza się powoli za lasu krąg zielony. W cerkwi ozwał się dzwonu głos i płynie po szerokiej polanie, wchłania się w gąszcz leśną, a echo na wzgórzach powtarza dźwięki wieczornej dzwonu modlitwy. Zda się, las cały dzwoni, jakby na gałęziach wisiały serca maleńkie i uderzały zgodnie w pieśń wielką, dziękczynienia pieśń i chwały, miłości, a pokory cichej, łączyły się z modlitwą bożego wróża, co życie swe zamknął w ścianach wąskiej, pustelniczej celi.

Dawniej było przy cerkwi mnichów kilku, lecz żaden się ostać nie mógł, tak czart zastawiał sidła na Chrystusa sługi. Raz wyrwali czarci z Karpat ogromną skałę, wsadzili ją jednemu ze swoich na łeb i nieśli tutaj, aby ją rzucić na monaster i zburzyć święty dom Boży. Szli noc całą, zmęczyli się, a gdy już byli w myślickiej puszczy, poczęło świtać i brzask się rozzłocił. Obok cerkwi musieli skałę rzucić, gdyż o świcie kończy się ich moc czartowska. Skała zaryła się głęboko w ziemię, pozostały tylko na niej trzy ślady, których dotykała głowa i ręce niosącego czarta.

Zlękli się mnisi, przenieśli się w inne strony,

jeden tylko pozostał i nie opuścił modrzewiowej pustelni. Codzień w dzwon kościelny uderza, codzień Bogu chwałę głosi, choć mu szatan nieraz puka nocą do okien, a czasem w wietrze chciałby dach monasteru roztrącić.

Wyszedł starzec z cerkwi, pacierz szepce, usiadł na zwalonej kłodzie olchowej, a nakrywszy oczy dłonią, patrzy pod słoneczny krąg — ku leśnej ścieżynie.

Na ścieżynie postać jakąś widno, rycerz na koniu jedzie, koń pod nim zmęczony opuścił głowę i szeroką pierś wydyma w oddechu.

Wie starzec siwy, kto zdąża ku jego pustelni. Pan to zacny, chociaż nie możny. Włość miał jedną tylko, a i ta poszła z dymem, więc włodarzem był bez ziemi, rycerzem błędnym, pełnym żalu, co w lasach tych szukał schronienia, myśląc o zemście krwawej.

Któż bo tutaj nie słyszał o Bieleckim Janie? Jako dzielnym był, mężnym, a dumnym — mówiono o tem szeroko. On jeden nie uchylał czoła przed starostą, co z brzeżańskiego zamku urągał królowi, a królem mienił się na dworze własnym. On, gdy Sieniawski, mszcząc się za urazy, w dzień mu zaślubin dwór najechał i dobytek cały puścił na wiatr w ogniu — jak upiór, orszak weselny na zgliszczach zostawiając, przybiegł w te lasy ciche, do cienia podobny, cień odwiecznych borów za mieszkanie sobie obrał. Dusza knuła jakieś

plany, krwawiła się w myślach i samotności, wrzała, pełna dziwnego ognia, co chciałby wszystko zagarnąć, niszczyć.

Pustelnik, zoczywszy rycerza, patrzył nań z cichą litością, a po długiem milczeniu, donośnym począł wołać głosem i pozdrawiać go po bożemu.

— Bóg z tobą, witeziu dzielny! Jakoż to rany rozpierasz w sercu, a bólem jeno żyjesz? Ból jest wrogiem siły, a tobie zaś silne mieć serce przystało.

Kojące słowa w duszę jego lał, rycerz usiadł u stóp starca, błędnym wzrokiem toczył dokoła.

Widzi starzec, że rada tutaj nie da ulgi. Krzyż nad czołem rycerza uczynił, samotności bolejącej go zostawia.

Patrzy Bielecki na polanę, na lasy ogromne, co osnuły ją pierścieniem. I zwolna na oczy schodzi mu złuda jakaś, szum boru przemienia się w granie duszy, więc tonie w snach; a zapatrzony w widziadeł tłum złoty, marzy przeszłość.

Z gałęzi drzew jakby szept snuł się tkliwy.

— „Rycerzu — —

„...Czy słyszysz?...

Nie, to nie drzewa tak szumią. to głos znany, a drogi. Szum gra dźwiękami słów:

„Patrzaj! poznajesz mnie?

„Przyszłam, by ci być miłością i szczęściem i życiem.

Rycerz słucha, a głos mówi doń szumem:
„Przyszłam z kochaniem mem i sercem.
„Czego szukasz błędny?
„Czy szczęścia?
„Utraciłeś je... ono powraca...

Szept ogromny płynie, kołysze się. On ma pełną duszę tego szeptu — słyszy słowa, a w nich pieśń, jakby organów modlitwy dostojne.

I znów przed oczyma zapalają mu się świec złote płomienie. Widzi ołtarz w mroku niszy kościelnej. Tuż przy nim jaśnieje w mgle zmierzchu twarz jego Anny, taka słodka i spokojna, jak anielskie widziadło.

Granie wzmaga się. To może jego ślub, jego gody szczęśliwe, jasne?

Wiatr powiał od lasu.

Rycerz podniósł oczy.

Na niebie noc zapaliła gwiazd tysiące. Płoną złote, wielkie, migotliwie — płoną nad pierścieniem lasów szumiących, nad cichą, pełną kwiecia polaną i nad starą pustelnią.

* * *

Traktem lwowskim od Halicza ciągnie karawana Ormian. Kupcy Obrenowicze wiozą wschodnie bisiory, tęczowe hyacynty, czarne kaszmiry, paki ze srebrem i złotem, a pełno tego na wozach, a bogactw mnóstwo.

Dawidowicz młody jeździł na Krym, ojcu do Brzeżan wiezie skrzynie ogromne; z Obrenowiczami się złączył, bo drogi niepewne, włóczą się watahy bezpańskie, sabatowie węgierscy i kozacy koczownicy.

W karczmie przydrożnej stanęli, popas im się dłuży, miód rubinowy napełnił czarki, gwarzą o tem, co było, a co będzie.

Abraham Obrenowicz do Dawidowicza rzecze:

— A wam, w Brzeżanach, pono Sieniawski usiadł na karkach, a gniecie srogo?

— Twardy to pan, oj twardy!

— A krzywdzi was?

— Có niemiara.

— Król zaś daleko?

— Król w Warszawie, a Sieniawski w Brzeżanach.

— Ale przywileje macie, w radzie ławniczej sami z naszych.

— Cóż przywileje, co ławnicy znaczą? Sieniawski wójtem jest i czyni, co jego wola. Płacić sobie każe za prawo handlu, sam na zamku włada, jak król, wojska ma moc, dragonia pod Sulikowskim, kozacy z Jarymowiczem na czele. Powiadają nawet — tu Dawidowicz głos zniżył i tajemniczo Obrenowiczowi szepce — sabatowie, co napadają kupców po drogach, daniny mu płacą, a sami skarby gromadzą w szczelinach skalnych, po wąwozach, a rozpadlinach.

— Jakoż ze szlacheckiem pochodzeniem rozboje pogodzić zdołają?

— I rycerzem być można, a rabusiem srogim. Nie słyszeliście nic o rycerzach na Rytrze?

— Cóż to za rycerze?

— W Karpatach zachodnich siedzą, zamek nad rzeką Popradem mają, Niemcami są podobno, a że to rycerz z niemiecka Ritter znaczy, zamek swój Rytrem nazwali. Na kupców, z Węgier jadących, napadają, rabują i dobro zrabowane w piwnicach ogromnych nad Popradem gromadzą. Miasto nawet ufundowali, od piwnic onych Piwniczną go zowią.

— Nie może to być? — Obrenowicz się dziwi.

— Tak to jest, tak... A kto w roku zeszłym napadł na karawanę, Abrahamowicza zabił, a skarby uniósł? Mówią, że z Brzeżan dragoni. Sulikowski się wzbogacił, wieś Mieczyszczów wziął w possesyę, Sieniawski wie o wszystkiem; podobno w zamku brzeżańskim są monstrancye, krzyże, ornaty, szyte perłami... trudno mówić, ale wielce podobne tym, które w taborze Abrahamowicza wieziono.

— Słyszałem o tem. Ohanowicz do wnuków jeździł do Brzeżan, opowiadał we Lwowie.

— A o cudzie słyszeliście?

— O jakim cudzie?

— O cudzie, znaku Bożym! Ojciec Kajetan

Komunista w kaplicy zamkowej mszę odprawiał. Ornat miał na sobie złoty, pełen rubinów. Aż oto patrzą, krew z ornatu ścieka. Krwią płaczą rubiny.

— Krwią, mówicie?

— Nie inną, jak Abrahamowicza krwią!

— Jezu... Jezu...

— Na stopniach ołtarza do dziś są rdzawe plamy z owej krwi.

— A starosta wasz nie boi się to ręki boskiej?

— Bałby się to! Podobno sam w Boga nie bardzo wierzy. Xiądz Chodowski Tomasz, co kazania na zamku prawi, innowiercą jest, bezbożnikiem sam, jak i on.

I mówili jeszcze długo, dziwując się słowom własnym.

Mrok zapadał, śpieszno kupcom, więc siadają na wozy, konie zwolna ruszają, księżyc wytacza się jasny z za wzgórza.

Abraham Obrenowicz, jako po świecie bywał, dużo wiedział, a pięknie mówił, bo u nich w rodzie była taka już sława, a dziad jego Izydor, co arcybiskupem ormiańskim we Lwowie był, z kazań cudnych słynął, począł opowiadać dziwy, a zdarzenia prawdziwe, jak to dawniej było gorzej, niż teraz, jak srogi watażka Tabara na karawany ormiańskie napadał, zabijał, a w niewolę brał.

— Tabara! Ile klątw i złorzeczeń na nim ciążyło, Bóg wie jeden.

— Taki to straszny był?

— W bołszowieckich lasach siadywał, tam w skale pieczarę miał, ogromne łupy gromadził.

— I nie było rady na niego?

— Pod komendą opryszka chodziła cała wataha. Raz jechali z karawaną kupcy co najprzedniejsi. Ohanowicz tam był i Issakowiczów trzech i Szymonowicze ojciec i syn, a Jakubowicz to wiózł dwanaście skrzyń ametystów białych.

— Skrzyń aż dwanaście?

— Kampianom je odwoził do Lwowa, a z własnego towaru miał też niemało w kruszczu i dywanach z Persyi... Tabara się o kupcach dowiedział, nocą jechali przez Bołszowce, napadł na nich, wyciął co do nogi, skarby porwał. Z Jakubowiczem była córka. Dzieweczkę srom spotkał w jaskini, opryszkowie ją więzili, zmarła tam w pohańbieniu.

— A ten Tabara, mówiono, opamiętał się później?

— A no, prawda, że za skarby złupione monaster w lasach tych założył, czterech mnichów siwych osadził, sam czerńcem został, ale raz w nocy zbudziła się w nim znowu zbójecka natura, klasztor drewniany zamknął, z czterech stron go podpalił, monachów żywcem upiekł, a sam rzucił się ze skały w przepaść. Ale nad lasem bołszowiec-

kim co noc widzą teraz ludzie jakby krwawą łunę, chociaż się nigdzie nie pali. Byli i tacy, co w łunie tej widzieli krwawą twarz Tabary.

Umilkł Obrenowicz, a po słuchających dreszcz przeszedł.

Wjeżdżali właśnie na bołszowieckie pola. Droga wchodziła między dwie skały, na zakręcie ukazały się w dali ogromne lasy.

Niejeden przeżegnał się trwożnie.

Nad lasami, choć noc była jasna, rozciągała się łuna długa, krwią ociekająca, jakby co dopiero zaszło tam słońce.

* * *

Smutek i żałoba w dworze w Hinowicach.

Stary dom w zieleń szerokich drzew zapadł. Przed domem ganek, na filarach oparty, a po słupach wije się winograd dziki i oplata tarczę spróchniałą, na której strzemię rycerskie i podkowy kształt dłoń czyjaś wycięła w dębinie przed laty.

Nizkie okna patrzą z pośród zieleni ku jasnemu słońcu, a słońce zamiera blaskiem na szybach okiennych, bo wewnątrz domostwa mrok cichy snuje się po ścianach komnat surowych, gdzie złamany wiekiem i życiem, cześnik Krzywiecki Rafał dnie spędza smutnej starości.

Oto zadumał się nad księgą pobożną. Żywot

patrona czyta, jako na ziemi cierpiał i cierpieniem na wieniec świętości zasłużył. Nieraz westchnie gorąco, troski własne przychodzą mu do myśli i łza w wypłowiałem oku zalśni, łza cicha.

Krzywieccy — z dobrzyńskiej ziemi wyszli... dom to dawny.

Stare oczy z nad księgi podnoszą się czasem i po ścianach wodzą mętne spojrzenia.

Surowe postacie dziadów patrzą z czarnych ram dębowych, surowe, poczerniałe oblicza. I twarz owego Grzegorza z Gniezna, co za przyczynnymi listy Bolesława książęcia i Przemyśla poznańskiego do papieża Mikołaja szedł w posły — i Dominikanina Odrowąża, którego świętość sławiono po Polsce całej — i pradziada Samuela, pogromcy pohańców — i tylu wielkich, mężnych, a przednich.

Głowa Krzywieckiemu opadła na piersi.

On — po mieczu ostatni...

Więc nad trumną jego złamią krwawy oręż dziadowski... ze złamanym orężem pójdzie do grobu.

Starcowi nie żal życia.

Na uroczysku sielskiem, pod ziemią czarną, zarosłą macierzanek wiosną, trzy małżonki pochował. Tam leży i syn, dziecię nieletnie i dwie córki, zmarłe w dziewiczych dniach.

Pozostała mu jedna Anna... córa trzecia, najmłodsza, Bieleckiemu ślubiona w zamęście.

Lecz gdzież ten, co wiarę jej małżeńską przyrzekał?

Gdzież on, co klął się u stóp krzyża: „A iż cię nie porzucę, chyba w zgonu godzinie"...

Ból mu był druhem.

Poszedł szukać zemsty na dumnym z Brzeżan staroście...

Przepadł rycerz, jak w grób powalon — i zostało wspomnienie bladej jego twarzy, ócz krwawiących się na widok ojcowizny spalonej, a w sercu młodej niewiasty ból... straszny ból...

I patrzał cześnik z rozpaczą, jak w oczach niemal gasła mu córa ostatnia.

Było w niej coś z lilii więdnącej.

Twarz w ramie włosów czarnych blada... z każdym dniem bledsza... w źrenicach troska zapaliła niezdrowe połyski...

Nosi szaty żałobne, jako wdowa, — milczy smętnie, a nocami w łzach tonie.

Czasem znów do ojca tuli się bezbronnie, żale swe spowiadając, na los się skarżąc, na życie.

I staje jej w myślach smutna postać prababki Barbary, co straciwszy męża na wojnie, w dworze mężowskim w Orzechowcach kazała zamurować się w jednej z komnat, gdzie samotna żyła aż do śmierci, modły jeno czyniąc gorzkie, za życia już zmarła dla ziemi.

To znowu niekiedy oprze skroń o szybę okienną i patrzy w świat: na niebo, pełne słońca —

na ogród stary przed domem — na pola, tonące w zieleni — na lasu wstęgę w oddali.

I snuje jej się wśród myśli wspomnienie szczęścia, co zgasło i płynie z duszy jakiś łzawy uśmiech ku tym chwilom — jasnym, jedynym.

Bo w duszy ludzkiej drzemie, choćby pod falą chmur czarnych, jakieś płonie zawsze światło. Może to dzień choć jeden, może to chwila przelotna, którą wspomina się z żalem, a gdy pamięć potrąci o wspomnień melodyę, to myśl ku niej wraca zawsze... wraca z ukochaniem cichem, jakby z uśmiechem serca — tak świętym, jak uśmiech dziecięcia.

I płyną Annie dnie smutku, wloką się, jak chmury jesienne, przygniatają duszę młodą, gnębią ją, ranią. Aż raz, późnym wieczorem rozwarły się drzwi komnaty, w progu stanęła postać obca.

Anna patrzy, zdziwione źrenice rozszerza przy świetle łuczywa.

— Któż to?

Turban na głowie ma wschodni z kręgiem srebrnego miesiąca... płaszcz ciemny... twarz zgnębiona... oczy w głąb zaklęsłe.

I padło jedno ciche, drżące słowo:

— Anno!

Poznała.

— ...Tyżeś to?... ty... mój...

Słowa uwięzły jej na ustach, mrok przysłonił oczy... mrok, ciemność.

* * *

Drogą ku lesistemu wzgórzu, nad którem zorza zachodnia rozpostarła purpurową wstęgę, pędzi hufiec jezdnych. Snać śpieszno im, bo konie wyciągnęły szyje, a z pod kopyt unosi się tuman prochu gęsty, w prześwietleniu słonecznem różowy i złoty.

Wieczór schodzi ciepły, włócząc długie, liliowe pasma po zmierzchającem niebie. Zmrok przypadł najpierw do krzów na wzgórzu, owiał las ciemno-fiołkowym płaszczem, pełza po trawach łąk, a coraz większą ogarnia przestrzeń, coraz szerszą i dalszą.

Hufiec jezdnych zwolnił w biegu pod górę. Dziwne ich twarze, jakieś nieznane, żółte, zawoje szare na głowach, skóry baranie na grzbiecie, wszyscy na koniach siedzą hardo, jakby wrośli w ich grzbiety włochate.

A przed hufcem rycerz zbrojny. Zbroję ma na sobie żelazną, lecz ukrył ją pod ciemnym płaszczem, twarz jego drży; oczy smutne wpatrują się w przestrzeń daleką.

Patrzy i wspomina, bo te lasy, łąki i wzgórza nie obce jego oczom. Lata zbiegły, czoło pokryło się zmarszczkami, kruczy niegdyś włos przypró-

szył się szronem. Rycerz przywodzi na pamięć lata dawne.

Tam — za rzeczułką kończy się wzgórze. Opodal cicha wieś ojcowska. W cieniu lip stał stary dwór, dziś z domostwa ani śladu.

I na wspomnienie ściska rękojeść miecza, bo zemsta gra mu w piersi straszna, nieubłagana.

Za brzóz srebrzystych szeregiem bieleje mur cmentarny. Rycerz osadził konia, jeźdźców wstrzymał podniesioną ręką. Uzdę rzucił pacholęciu, pchnął furtę cmentarną i na grób dziadów spieszy.

Nad cmentarzyskiem rozwiała się już gęsta pomroka. Śród wysokich traw chylą się krzyże zmurszałe, śpią ciche szeregi mogiłek, zarosłych mleczem puszystym, oparta o dębu ramiona bieleje stara kaplica.

Tam ukląkł i pacierz za duszę ojców szepce. O zmiłowanie prosi, bo grzesznym czuje się mocno. Lecz gra mu strasznie krew w żyłach, rwie się dusza pomsty chciwa, więc bije się w piersi, pochyla czoło przed ścianą kaplicy, a wkoło noc gęsta spowija snem cichym i groby stare i krzyże odwieczne, a fale blasków miesięcznych rozświetlają w dali ciche uroczysko wzgórz, śpiących w srebrnej mgle.

Mówią, że w taką noc dusze zmarłych rade opuszczają mogiły i idą w odwiedziny do żywych. Raz kozak, co z myśliwskiego zameczku w Raju wracał nocą konno do Brzeżan, opowiadał, jak

od cmentarza widział idące mary, wszystkie białe, straszne. Koń mu się zląkł, zawrócił z drogi, musiał kozak zboczyć, ku wsi Ruryskom skierować się polną ścieżką, a potem brzegiem rzeki ku miastu.

Rycerz odmówił pacierz, powraca do drużyny, podano mu konia, drugi jeździec zrównał się z nim, wyprzedzili hufiec. Księżyc jasno oświetlił im twarze i poznać łacno, że ten drugi to nie Tatar, lica ma o wydatnych rysach, strój na nim mieszczański.

Mówią półgłosem.

Sami pójdziemy na zamek?... pyta rycerz.

— Niema innej rady.

— A wy nie pójdziecie?

— Chciałem. Mieszczan zwołaćby łatwo, wszyscy wrogami starosty. Ale pójść nie zechcą.

— A wiedzą o Tatarach?

— Nie, tylko Eljaszewicz, Mojsseowicz i kilku innych. Po mieście włóczą się z zamku dragoni, o słowo niebaczne nie trudno. Lepiej było nie rozgłaszać.

— Byle jeno na zamku zaskoczyć ich niespodzianie.

— Jutro na zamku uczta, będzie wam wziąć ogród najłatwiej. Od wschodu się zakradać, most tam najszerszy, brama stara i zbutwiała.

Umilkli. Rycerz ku Tatarom się zwrócił, hufiec odsyła na drogi leśne, sam z towarzyszem

w dwa konie przyspiesza biegu, droga przed nimi prosta i jasna, pośród krzaków świeci się jak pas lity, od wzgórz kołysze się lekki podmuch wiatru, srebrna cisza nocy rozpostarła się nad światem, jakby wyłonionym z bajki.

Szeroką pośród wzgórz dolinę obrał pan Brzeżan za mieszkanie swoje. Na stokach górzystych lasy ogromne, a w nich zwierzyniec pański. Wkoło kobierce łąk bujnych, trawa tam wysoka i jasna, a pośród łąk wije się rzeka, od lipowych drzew, co stanęły nad jej brzegiem i złotego piasku, po którym nurt toczy, Lipą złotą zwana.

Sieniawskich zamek, opasany dwoma ramionami rzeki, stoi w księżyca świetle, jak olbrzym śpiący, połyskując kopułą kaplicy, której łuk pokrył fundator pobożny szczerosrebrną, jasną blachą, a w której Bartolomitów zakon świątobliwy modły sprawuje codzień.

Ciosy i węgły bram wsparły się olbrzymiem ramieniem o siebie, utonęły w mroku nocnym, wiążąc kontury w przedziwne i ogromne kształty, a tylko okna, wtłoczone w szczerby ciemnych framug, świecą w księżycu od szyb, na szybach zaś krata żelazna wiąże sieci krzyżów i gwiazd poprzecznych.

Z ogrodu zamkowego dochodzi szmer drzew. Ciemna zieleń brzóz i jesionów przypadła tuż do białych murów zamczyska, snuje się po nich, jak jakiś mech-olbrzym, oplata je miękkiem listowiem.

Wiatr gra tutaj, niby na harfie, z pieśnią drzew łączy się cichy poszept wody z rzeki poblizkiej i przeciągły, głuchy szum brzeżańskiego stawu, co pośród oczeretu i lilij wodnych w ogromną, srebrną tarczę rozbił tysiące fal poza ziemną groblą, na której w zadumaniu stanęły lipy odwieczne!

W wierzbowych wiklinach nad rzeką zawodzą słowiki, gra fala wody, jak echo, miesięczna światłość szafirowa rozlewa strumienie blasków naokół, malując wszystko ułudą srebra cichą.

Za stawem, przyczepione, jak gniazdo jaskółcze do wzgórz, bieleją Brzeżany. Stara cerkiew, gontem czarnym kryta i na małym pagórku, otoczony murem kościół farny, szereg domów, chat i składy kupców Ormian, co tutaj aż z Bessarabii przynieśli bogactwa swe, a skarby. Więc, obyczajem wschodnim, o ślepych ścianach przednich, domostwa Stefanowicza, Eljaszewiczów i zacnego ławnika Hermanowicza, a dalej na pilastrach zielonych oparty dom bogacza Dawida Dawidowicza, co królowi na koronacyi święto posłał w darze tęczowe kobierce, aż podziw budziły na krakowskim zamku.

Pośród wązkich uliczek cisza, noc późna. W Eljaszewiczów jeno domu światło jeszcze pali się w oknie. Dwaj ludzie siedzą pochyleni nad stołem, w świetle czerwonego kaganka błyszczą groźne ich twarze.

Stary kupiec siwowłosy wsłuchał się w mówiącego rycerza, a słowa te muszą być straszne, bo w oczach starca przemknie czasem trwoga, to znów gniew, to litość gra tam cichem światłem.

— Więc kiedyż?... — pyta.

— Jutro o zmierzchu...

Twarz rycerza pobladła, a była w niej dziwna siła i stanowczość.

— Śmierć!... śmierć magnatowi, co uczynił sobie z bólu mego igraszkę.

Eljaszewicz spojrzał na mówiącego, zmarszczył czoło, a po chwili rzekł głosem stanowczym:

— Bóg kazał krzywdy przebaczać, lecz twoja krzywda zbyt wielka, by ją mogło stłumić serce.

— Bóg sam widzi — odparł rycerz — że taki gwałt woła o pomstę przed tron Jego najwyższy. Kimże jest Sieniawski? Czy nie pogwałcił sądów bożych i królewskich? Czyż nie wdarł się w szczęście cudze i nie zamienił go w perzynę?

Umilkł, a potem znów począł budzić myśli ciemne.

— Pamiętasz, starcze, tę noc, gdym z weselną wracał drużyną w dom mój ojcowski? Boże! jeszcze dziś widzę węgły palonego domu, dziś jeszcze słyszę, jak trzeszczą ostatnie próchna pośród dymu i ognia. Wówczas jam uczuł, że ogień, co gasł na zgliszczach mego domostwa, zapalał

mi się w duszy od nowa. Poprzysiągłem zemstę, a oto jutro dzień krwawej mej zapłaty.

Gdy tak mówili, u drzwi izby, w wązkiej sieni rozległo się ciche łkanie. Nie słyszał go ani stary kupiec, ani rycerz. A płacz łkał rzewny, tłumiony młodą dziewczęcą piersią.

To Zonka, Eljaszewicza córka dorodna, co duszę dziecięcą ma, do snów tylko, a ukochania sposobną, usłyszała słowa rycerza o zemście krwawej.

Komuż śmierć jest sądzona?

Oto temu, co nieraz stawał w snach jej, od zbroi jasny, cudny w hełmie i piórach białych na szyszaku.

Młode serce dziewczęcia marzyło o panu z zamczyska, o dumnym magnacie, którego nieraz widywała na czele rycerzy, wyniosłego, a tem droższego jej duszy.

Sieniawski, Brzeżan pan, królowi równy dumą i potęgą, a ona — mieszczańska dziewczyna, Ormianina przybysza dziecię.

Cóż jej z bogactw, od których błyszczy komora ojcowska? Co z urody, przed którą niejeden syn ławniczy giąłby kornie czołem — nieszczęsna miłość zawładła sercem dziewczyny.

A oto dziś słyszy, że ten, którego obraz złocisty w duszy nosiła, ma zginąć.

— O nie, przenigdy!

I mroczną nocą wybiega dziewczę z domostwa,

a gdzie na wzgórzu kościół biały stoi, tam spieszy szukać pomocy i rady w trosce...

Jest na brzeżańskiej farze Chrystus na krzyżu rozpięty, ukryty w cichą framugę. Dziewczę oplotło nogi Jego rękoma, z cudnych ócz łzy padają, łzy gorzkie, gorące...

Eljaszewicza dom porzucił rycerz nad ranem.

Stary kupiec chciałby spocząć, lecz sen nie schodzi mu na oczy. Gdy powieki przymknie, jakieś zjawy snują się męczące, jakieś widziadła straszne, a wrogie.

To krew widzi dokoła siebie rozlaną, to mieczy błysk przedziera się mu przez mózg widzeniem jasnem.

I nagle zda mu się, że krzyk słyszy. Dom jego płonie, dym gryzący wciska się do komnaty, wypełnia mu usta, gardło, piersi.

Nie, to nie dym.

Ma kupiec w składach swych skrzynię ogromną, a w niej perły, łowione gdzieś na dnie Bosforu. Tak, to sznury pereł owija mu czyjaś ręka koło szyi, zaciska je, dusi.

Czemu, czemu?... on nie wie...

Starzec te perły chował zazdrośnie i marzył, że ustroi w nie kiedyś na weselne gody córkę jedyną. Gładząc niekiedy dłonią bujne warkocze dziewczęcia, myślał o przyszłem jej szczęściu.

Wszakże niedarmo Dawidowicz stary pytał nieraz o Zonkę! Dawidowicz syna ma. Syn jedy-

nak, a ojciec mógłby się w swych bogactwach kąpać, jak w morzu.

Czemu te perły duszą go teraz... teraz właśnie?

Wstaje starzec z lękiem, przeciera oczy, patrzy.

Przez okno prószy niepewny blask poranku.

Nad drzewami sadu widać lekki, zielonawy pas nieba i małe, liliowe obłoki.

Rozwarł okno.

Fala powietrza wpada do komnaty. W sadzie zakwitły przez noc wiśnie. Stoją całe białe, cudne, strojne, a taki zapach bije od nich, taki upojny.

* *

Za ormiańską kaplicą Przemienienia, tuż za wałem miejskim, jest gospoda stara, a godłem jej malowana ostroga. Schodzą się tu mieszczanie, schodzą kupcy, nawet żołnierze z zamku, lecz często z nimi przychodzi do zwady, jako że barwy książęce noszą, mieszczaństwu wrogie.

Kozak Zorza raz dwom Ormianom głowy tutaj rozpłatał, że im krwawe czerepy wisiały u szyji, mieszczanie na Kozaka się rzucili, na rynek go wywiedli, przed ratuszem tak długo bili kołami, że z grzesznego ciała dusza się wywlekła. Potem kozacy podpalili domy ormiańskie, stara kaplica Przemienienia spłonęła do szczętu, aż ją znów

Uranowicze odbudowali, a ksiądz Izak, Ormianin, nieraz w niej mszę obrządkiem wschodnim odprawiał.

W gospodzie „pod ostrogą“ gwarno. Stary Dawidowicz syna przyprowadził, młody z podróży wrócił, nowiny opowiada, a niejeden z mieszczan miał i o co pytać, bo to pochodzili ze stron dalekich, mieli krewnych w Bessarabii, Rumunii i dalej.

Lecz młodemu nie swojsko w gospodzie, radby się wyrwać z mądrych rajców koła, pobiedz za mury, na słońce, na zieleń, a serce mu mówi, że spotka tam kogoś, co miły mu jest, milszy nad młodość i życie.

Za murem grodzkim uroczysko cudne śmieje się ku słońcu. Jarzębina czerwona rozplotła tu koralowe warkocze, przetkane rubinem palących się jagód, wysokie trawy stanęły w cieniu jarzębin, pachnie mocno macierzanka, a od dalekich pól wioną zapachy zbóż, kwiatów łąkowych i ziół.

Zonka Eliaszewiczówna wybiegła na stary okop, skąd ścieżyna wiedzie ku rozległym polom, ujętym w ramę zalesionych wzgórz, dla cudnego widoku Rajem zwanych. Stanęła dziewczyna w słońcu różowa młodością, krasą, wiosną. Pierś wznosi, chwyta powietrze wonne, oczy patrzą w dal — ku białym zagrodom kozackim, rozsianym pod lasem.

Cisza słoneczna — i tylko gdzieś zdala za-

wodzi zbłąkany ton ligawki, w ciszę pogodną sączy złote łzy, skarży się, płacze.

Słucha Zonka i myśli, że to dusza jej przelewa się ze smutkiem dalekiej piosnki nad pól rozłoże. Wokół zieleń szumiąca, złoto słońca i błękit nieba cudny, a w sercu jej dziewczęcem i w ligawki tonach tylko łzy... takie gorzkie, smutne łzy...

Ligawka milknie, gdzieś z zagrody kozackiej odpowiada jej głos pieśni. Pieśń dziwnie przewlekła w tonach, dzika i żałosna, jak dusza kozacza. Może gdzieś z nad limanów i czajek czarnomorskich zabłąkała się na ruskie pola i skarży się na opuszczenie, samotność, dolę złą, krzywdę— może wspomina tę dawną swobodę, którą wiatr niósł przez stepy, igrając z czerwonym burzanem, aż stepy kładły się w powiewie, a szumiały, a szumem wtórały duszy ludzkiej, co nie zna więzów, ni granic.

Kozacza pieśń wpadła z wiatrem w leśną głąb, jeszcze jej gdzieś echo chwilę śpiewa i milknie senne, tylko las szumi zielony, a słońce rozlewa się złotem na szumiące olchy, stroi je w lśniącą szatę blasków, cieniutkich, złocistych, opasujących siecią kory drzewne i listowia wiotkie.

Zonka przebiegła drożynę polną, za wzgórkiem pole chyli się ku wąwozowi, tam dziewczyna biegnie, w wąwozie za młynem stoi lepianka worożychy.

Stara wiedźma wyszła przed chatę, twarz jej czarna świeci krwią małych, chytrych ócz, zwiędłe usta uśmiechają się ku dziewczynie.

— Ha, doniu krasna, po wróżbę ty do mnie, wróżbę w miłowaniu!

Zonka wyciąga rękę, stara w dłoń patrzy, zasępia się, milknie. Opuściła dłoń, wróżyć nie chce. Tam w tej dłoni dziewczęcej wyczytały złe oczy wiedźmy los, co krwią ocieka.

— Miłowania ty się strzeż, bo miłowanie tobie zagłada!

Idzie wiedźma do młyna, koło w młynie obraca się z hukiem, biała piana kłębi się w potoku. Zatrzymała wróżka koło, piana opadła, patrzy Zonka w toń głęboką, ciemnozieloną, gładką. Dziwy, oj dziwy! W głębi zamigotało coś, jak słońce, złota zbroja, szyszak, rycerza twarz chmurna, krew na czole jasnem.

— Miłowania ty się strzeż — powtarza wiedźma.

Oj, miłowania się strzedz, miłowania. A jak się go ustrzedz, jak wyprzeć je z serca, gdy już niem zawładło?

Bo miłowanie, jak ten kierz, który wyrasta na glebie, a niewiadomo, kto posiał mu ziarna. Dziś jeszcze gleba pusta, nie dojrzysz na niej ni źdźbła, a jutro już pędy wstają zielone, a wdzięczą się słońcu, a rozwijają koronę gałązek, zapuszczając w glebę korzenie głębokie, rozrastające

się w kształtach poprzecznych, ni to drugi krzew pod ziemią czarną, wypijający zeń soki, krew, życie.

Wyrwałbyś może krzew, lecz musisz wyrwać i korzenie, co siecią się w głębi rozplotły. Wyrywasz korzenie, to ziemia rozpęka, bo one stały się jej cząstką, splotły się z jej ciałem nierozdzielnie.

Miłowanie wydrzeć ze serca, to jak ten kierz ze ziemi. Trzeba wyplenić co do korzonka, a gdy poruszysz korzeń, to serce krwią ocieka, rani się i pęka, jak ona gleba, z której wyrywasz ostatni krzaka ślad.

Hej, miłowanie, miłowanie! Słodkie łzy, ale i okrutne, jak to grono owocowe, co słodycz niesie wargom, ale truje właśnie tą słodkością swoją bezmierną.

Ucieka dziewczę z zagrody worożychy. Złe tu wróżby sprzysięgły się na jej los, złe widma ścigają ją przez wąwóz dzikiego jaru. Byle prędzej, byle rychlej dobiedz na ścieżkę, skąd widno pole szerokie i domostwa białe. A potem już wzgórek zielony, jarzębinowe, ciche uroczysko, stara brama grodzka z czarną, dębową basztą, którą w kwietnie bukiety ubrały ostróżki żółte i purpurowe gorczyki, trawą porosły wał miejski, a za nim kaplica Przemienienia, a w ogrodzie dom ojcowski.

U bramy grodzkiej spotkał dziewczynę Da-

widowicz. Chłopcu twarz się rozjaśniła, chciał przemówić, Zonka udaje, że nie widzi, wbiega w wązką uliczkę, znika za murem.

— Czemu ty, dziewczyno, taka harda — myśli młodzieńczyk i serce mu kołace. — A toż jabym cię na rękach nosił, serca, bogactw rodzica i klejnotów nie żałował, byleś jeno w szczęściu chodziła i blaskach. Czegobyś tylko zapragnęła, jużby rączyny twe cudne miały. O, żeby ty była inna, żeby inna była!

* * *

Mieszczanie na starostę skargę do króla wysłali, jako samodzierżcą srogim jest, a okrutnikiem.

Podpisy na papierze złożyli ławnicy przedni, między nimi Stefanowicz stary, któremu nieboszczyk król Stefan nadał był godło szlacheckie.

— Nasz miłościwy pan sprawiedliwym jest!

— Nie dozwoli krzywdzić mieszczan!

— Ani gwałcić przywilejów, warowanych królewską pieczęcią!

Tak sądzili.

Ze skargą pojechał Uranowicz, kanclerzowi koronnemu ją wręczył, dobre słowo przywiózł braci swej do Brzeżan.

A Sieniawski odbiera na zamku pismo królewskie.

Złamał woskowe pieczęcie, rozwarł papier, a im dalej czytał, w oczach wstawał mu ogień, z twarzy biła purpura, oblewała czoło.

Nie dokończył. Zmiął pismo, rzucił na posadzkę.

Bo i komuż to grozi ów król „primus inter pares", ów przybysz, intruz szwedzki.

Jemu, przed którego groźnem słowem drżało wszystko dokoła. Jemu, na którego skinienie szło rycerstwo, niosąc śmierć i tryumf: panu na Brzeżanach, wojewodzie Rusi i Halicza, kołomyjskiemu staroście, potomkowi sławnych Leliwitów, spokrewnionych z Jagiełłą, wielkich Mikołajów i Prokopów, synowi rodu, któremu chwalbę niósł niegdyś Orzechowski sławny, jako „zaprawiał się krwią nieprzyjacielską ku posłudze Rzeczypospolitej, więźnie wołoskie i tatarskie królowi wodził, ziemi ruskiej strzegł, puste krainy osadzał wsiami i miasteczki".

Zawrzał starosta gniewem.

Jarymowicza woła, co kozakom na zamku przywodził, rozkaz daje okrutny.

Jarymowicz ludzi zbiera, na rynek pędzi, stary ratusz drewniany otacza, wywleka ławnika Mojsseowicza za włosy, kozactwo porywa go na zamek.

A na rynku krzyk okropny.

Wybiegli ze składów kupcy Ormianie, za-

wodzą kobiety, łkania i klątwy mieszają się bezładnie.

Stawiono Mojsseowicza przed sąd.

— Kto z was skargi do króla niósł? — pyta starosta.

Ławnik zbladł, lecz milczy. Więc katują go hajduki, aż krwią mu ciało ocieka.

Nie zdzierżył męki, padł wpół przytomny.

Omdlonego wynoszą, na dziedzińcu zamkowym do lochu wtrącają, spuszczają kratę żelazną.

Wieczór schodził.

Na zamku gwarno i rojno.

To szlachta zjeżdża. W komnatach Sieniawskich jasno, niby we dnie.

Pan daje ucztę, jakiej Brzeżany dawno nie pomną.

Ponad klątwą tych, którym toczono krew żywą z serca, ponad bólu łzą i miotaniem się skarg, rozhulała się groza magnacka, upija się wielkością swą, rozszalała mocą spienionego puhara.

Ciągnie szlachta z dworów i zaścianków. Przy pańskich stołach strawy w bród i wina, a gdy w głowach zaszumi, gdy w oczach żar rozbłyśnie, hej, pohula wolność szlachecka, upoi się choć w szału przystępie poczuciem swojej siły... ona niewolna rzesza.

Kogoż tutaj niema! Sojusznicy Sieniawskich, sługi uszlachcone, wojewodzi z zagrody i ciemny,

szaraczkowy tłum. Berezowscy jadą niemal z dworem całym, Drohomireccy i Hołyńscy ze zbrojnem hultajstwem, a dalej Sulatyccy, Strutyńscy i Tatomiry od Halicza, Łodziński z Buhaczowiec, pan na drewnianym zameczku.

U zwodzonych mostów jasno od zapalonych pochodni, co krwawicą blasku ćmią aż gwiazdy na niebie.

Grzmią wiwaty huczne.

Lśni wino w puharach przednich, mieni się, jak bursztyn, od lamp kryształowych ognia.

Skrzą się pasy złote na szatach bogatych, pobłyskują kamienie kosztowne — a na ścianach sali biesiadnej kobierce zdobyczne, od barw całe lśniące, zbroice, grubo złotem kładzione.

Rośnie głosów gwar, a z chóru trąby mosiężne grają ucztującym pieśni, podobne peanom, co wiodą na bój i zwycięzcom niosą cześć.

Gdzież Brzeżan pan?

Puharu nie dzieli z innymi, nie ma go ani w rycerskiem kole, ani pośród szlachty hucznej.

Oto w komnacie sąsiedniej zadumany usiadł i twarzą posępną patrzy na pacholę, co stanęło przed nim drżące.

A dziwne to pacholę — oj, dziwne!

Strój na niem kozaczy, twarz wpół-dziecka, po smukłych plecach spadają długie, jasne włosy.

Słucha Sieniawski kozaczka słów i uszom własnym nie wierzy.

Słowa dziewczyny drżą jakimś lękiem, a oczy jej patrzą w rycerza twarz z bezbrzeżną miłością.

„...Panie ratuj się...

„...Wróg twój najdzie dziś zamek!...

„...Wiedzie hordę Tatarów straszną...

„...W duszy jego chęć krwi — za nim śmierć pędzi po żniwo!...

Spojrzał rycerz w oczy proszącego dziecka i ujrzał w oczach tych ognie, ktore jedna miłość zrodzić zdoła.

Rozrzewnieniem jakiemś wiedzion, kładzie dłoń na czole dziewczęcia, a ono przed nim się chyli, obejmując rycerskie kolana...

Gwar w sali sąsiedniej umilkł. Cisza... potem groźny krzyk zmieszanych głosów, huk walonych odrzwi, szczęk mieczy i jęk straszliwy.

Zadrżał rycerz... pochwycił za miecz.

Eljaszewiczówna przypada mu do stóp.

— To oni!... Panie mój... uchodź!

Przez szerokie okna wpada krwawy blask ognia. Łuna — straszna, złowroga łuna...

Pobladł starosta.

Z tej łuny wychyla się ku niemu widmo win jego ciężkich. Obejmuje go twardem ramieniem, woła o krew, o sąd, o pomsty moc.

I stanął, jak posąg, groźny i straszny, czekając na to, co przyjdzie — co zatracenia wyrok ma przynieść dumie jego.

— Boże!... — jęknął wpółprzytomnie.

Z blasku przedziera się twarz w żółtym, osmańskim zawoju. Błysnął miecz... na rękojeści święty krzyża znak.

— To on... Bielecki... — szepcą pobladłe usta.

Brocząc krwią runął trup. U stóp łka mu cicha miłość... młoda, jak wiosna — rozpaczliwa, jak grób — miłość mieszczańskiej dziewczyny.

*

Nad zamkiem ognia szał!

Tatarzyn, jak wicher, pędzi, szamoce i łamie.

Już jest pod miejskim murem, już wdziera się na wały.

W miasteczku trwoga. Ozwały się dzwony z cerkwi, za nimi dzwon Hieronim u fary kołysze się, a gra, a jęczy.

Na wzgórzu za miastem ludzi tłum. To mieszczanie rozrywają groble nad stawem. Dźwięczą łopaty i rydle, szczękają pod żelazem kamienie, wał ziemny pęka, a olbrzymi staw z szumem spada w nizinę.

Tatarzyn spojrzał... cofa się w popłochu.

Morze fal stacza się pod mury, wypełnia fosy, zalewa pola. Jeden straszny, bezbrzeżny, okropny kurhan, a nad nim niebo rozlewa się ciche, głębokie, milczące... pełne gwiazd.

* * *

Czas przebiega nad światem i grzebie przeszłość we wspomnień pyle smętnym. Czas niesie ranom ukojenie, leczy rozdarcia serc, wypija broczącą krew, po nocy wywodzi z mroków przedporannych dzień jasny, a dzień śmieje się do świata brylantowemi łzami blasków, niesie nowe życie, pragnienia i sny.

Czas zmył krew z białych ścian brzeżańskiego zamku. Słońce zagląda przez okna we wnętrze komnat złotych, w rycerskiej sali żelaznej Chrystus, rozpięty na ogromnym krzyżu kamiennym, patrzy ciszą śmierci na surową komnatę, a krople rdzawe, wyciekłe bólem męki, kamienieją mu na skroni.

I codzień na murach brzmią hasła, a z pól dalekich płyną w krwawej czerwieni i bieli liliowej widma tych drużyn rycernych, co za odgłosem bojowych trąb na zgon lub życie szły, po grób, lub zwycięstwo.

Znów wieczór złoty, wiosenny. Po drzewach odwiecznego boru idzie szum rzeźwy, pachnący.

Stoi stara drewniana cerkiew, okolona koronami lip, po których światło słoneczne rozlewa się upojeniem dnia. Kędy zwrócisz oczy, wokoło wzgórza, poszyte jasną zielenią, pośrodku polana, na której paproć i dziewanny srebrne błyszczą w słońcu, a woń unosi się nad niemi cudna.

Zioła pachnące wabią ku sobie osy o brzę-

czących, długich skrzydłach, złote gromadki pszczół, motyle barwne, kołyszące się w powietrzu.

Słońce stacza się powoli za lasu krąg zielony. W cerkwi ozwał się głos dzwonu i płynie po szerokiej polanie, wchłania się w gąszcz leśną, a echo na wzgórzach powtarza dźwięki wieczornej dzwonu modlitwy.

Dzwon umilkł.

Wyszedł starzec mnich z cerkwi, usiadł na zwalonej kłodzie drzewnej, pacierze szepce, pacierze za żywych i umarłych. Pozdrowiwszy Boga, do celi pustelniczej powraca, drzwi cerkwi zasuwa, a brzoza płacząca uderza gałęzią w okna pustelni, bo umiłowała samotność starca i smutek świątobliwy.

Wieczorna cisza zapada, srebrny półmrok roztacza mgłę wśród polany, słowik zawodzi w gęstwinie długo, przeciągle.

Ścieżyną od lasu skrada się postać niewieścia. Kroki jej chwiejne, szaty nędzne, włos rozwiany. Przypada do cerkiewki, błędnym wzrokiem wpatruje się w krzyż nad drzwiami, słaba ręka kobieca puka do wrót kościelnych.

Usta w obłąkaniu szepcą:

— Boże ukrzyżowany, otwórz... To ja, Anna... Ślubowaniem przyrzekłam przed ołtarzem Twym wierność mężowi... na tułaczkę z nim poszłam... w dalekie kraje, między obcych ludzi... Na obczyźnie wykopałam mu grób własnemi dłońmi... sama

powracam, bo mnie gnał żal, straszny żal i tęsknica...

Piersi kobiece osłabły, osunęła się na kolana, rękę wyciąga do wrót, słabe pukanie powtarza.

Upadła twarzą na próg, całuje ziemię czarną, do której wróciła, by umrzeć na niej, świętej — taka samotna, taka opuszczona. Rodzic jej, stary cześnik zmarł ze zgryzot.

Był to dzień sądu, gdy do Hinowic przyszła wieść, że prymas w Krakowie rzucił na Jana klątwę, a sądy królewskie, jako zdrajcę, skazały go na karę miecza. Porzuciła dom ojca, z małżonkiem uszła na obczyznę, dzieląc z nim nędzę i straszne widma wspomnień. Mara zbrodni wtrąciła rycerza do grobu. Spoczął pośród obcych — nie w ziemi, która dała mu życie, a której wyparł się w obliczu wroga.

— Czyż ta sama ziemia będzie chciała przyjąć jej martwe ciało? Wszakżeż ona była małżonką wygnańca, dla miłości jego wyrzekła się rodzica, domu, ojczyzny.

Łkanie tamuje nieszczęsnej oddech. Rękami kurczowo przyciska do piersi próg cerkwi, długie, czarne włosy zakryły jej twarz, zasnuły chłodną falą rzeźwiącą — i myśl poczyna się koić, a pleść przędziwo minionych dni — gdzieś dawno, w młodości.

I dzieciństwo powraca jej przed oczy, jak

żywe. Stary, drewniany dwór w Hinowicach, utopiony w sadzie kwitnącej zieleni, ten odwieczny ganek na filarach, winogradem owitych w sznury wilgotne, te komnaty ciche i mroczne, a w nich dobry, słoneczny poblask na ścianach, co ukradkiem wtargnął przez okna. I twarz ojca staje jej w pamięci blada, poorana bruzdami, z której świecą pod osłoną krzaczastych, siwych brwi oczy czarne i bystre, źrenice orła o zranionem sercu, co nad gniazdem wyciągnął żagle skrzydeł szarych, by własną piersią zasłonić je przed wichrem i gromem.

Wspomnienie spogląda w widziadło przeszłości, chciałoby je jak najdłużej zatrzymać w źrenicach, lecz myśl znużona mąci się, zatraca linie uchwyconych konturów, rozwiewa obraz wyobraźni, nagina ją do nowej, gorączkowej pracy. Zdaje się Annie, że idzie pośród starego boru. Nogi grzęzną w trzęsawisku, o twarz biją pręty drzewnych gałęzi i uderzając, ranią ją do krwi. Chciałaby przedrzeć się przez gęstwinę, wyjść na drogę śródleśną, lecz w mroku błądzi, wracając wciąż w te same miejsca, w te same zapadłe trzęsawiska, ścielące się u stóp drzew olbrzymich.

Czuje, że opuszczają ją sił ostatki. Bezwolna kładzie się na mokrych mchach, członki poczynają sztywnieć, w skroniach dogasają tętna, ból zmęczenia przetapia się w jakąś dziwnie obojętną ciszę, nie chce już myśleć o niczem, pożąda tylko

tej ciszy, co wpływa jej w krew żył, na oczach kładzie ciemne, miękkie zasłony, kołysze sennie, dobrotliwie...

Wiosna śród puszczy leśnickiej cuda srebrnych poblasków roztacza, słowik długo, przeciągle zawodzi w gęstwinie piosenkę młodości, bezgranicznego — upojonego swym urokiem szczęścia.

MADONNA PONIŃSKA.

Jest przedziwny urok starych kronik kościelnych, pisanych na pergaminie, wzdłuż inicyałów zdobnych.

Przed wiekami — w cichej celi klasztornej śnił brat zakonny o legendach nad kartami ksiąg.

We wstęgach barwnych na marginesie wykwitały mu kielichy karminowych róż, wzory łodyg i gałęzi zielonych — wychylały się anielskie twarze Madonn — a zakonnik widywał je potem w snach, modlił się do tych cudnych pergaminów, z których spowiadała się przeszłość tajemniczą powieścią, owianą smętkiem cichego klasztoru.

Jest przedziwny urok w tym głosie dalekim, którym mówią groby ciche na kartach spłowiałych ksiąg klasztornych.

Łzy i uśmiechy, krwawe zbrodnie i błogosławione miłości słowa spłynęły w jeden kryształ, jednym dźwiękiem zabrzmiały.

Dźwięk to niedzisiejszy!

Podobnym głosem mówią czasem dzwony stare, gdy pod blask zorzy wieczornej modlą się kruszcami serc, pooranymi w bróżdy.

Z każdego załomu, z każdej skazy płynie łza inna — z każdego tonu rodzi się nowy uśmiech dźwięku, żegnającego słoneczne blaski.

Bo też słońce stoczyło się ponad duszami tych ksiąg, ku którym myśl zwrócona nie szuka nawet wspomnień, lecz nieznanych, bajecznych kształtów — dalekich, umarłych tonów — spłowiałych, dziwacznych farb — w tej duszy pergaminowych kart klasztornych.

Tam już życia niema — tam tylko echo po życiu umarłem.

Tam niema już bólu, ni radości — ale sen o nich.

Są te karty, jak groby, gdy wiosna oplecie je jaśminową bielą — są jak dzwony, bijące o zachodzie na białych klasztornych dzwonnicach.

* * *

Był w dworze rycerskim w Poninie ryngraf stary z Madonną. W srebrnej blasze zakreśliła nieudolna dłoń kontury świętej postaci. Na poczerniałem czole korona Chrystusowa z cierni — serce, ociekające kroplami krwi czerwonej, ostrzem siedmiu mieczów przebite.

Madonnę na ryngrafie zwano Madonną Ponińską.

Gdy Stanisław Łodzia z Ponina szedł prze-

ciw rokoszanom, bo stronnikiem królewskim się mienił — miał blachę z wizerunkiem na piersiach. W rodzie legenda była, że ryngraf błogosławił walczącym i strzegł od śmierci w boju.

To też nie rozstawał się rycerz z ryngrafem. Do snu nawet, gdy pancerz z ramion odpasał, blachę z Madonną na piersi wieszał, prosił o męstwo miecza i duszy pokój, a do modlitw dodawał wspomnienie żałosne, przywodzące cień małżonki Teresy, co w rok po ślubie zmarła, okrywając dom męża żałobą.

Cieniom umiłowanej pozostał Poniński wierny.

Na cmentarzu, — pełnym lip starych, bzów i czereśni, wzniósł olbrzymi kamień grobowy, myśląc nieraz, rychło i jemu głaz ten piersi przytłoczy, a lipa cmentarna zaszumi na sen wieczny.

Gdy mówiono mu: „Ojczyzna Waści jeszcze potrzebuje, Bóg życiem długiem obdarzy!“ — zwykł był wskazywać na krzyże ponińskiego cmentarza, skąd nieraz z drzew szumiących szło ku niemu jakby przyzwanie, a rad byłby poszedł za niem, rad posłuchał tego głosu.

Czas mijał, a Poniński bolał. Bolał, wspominając ze smutkiem, jak to z dworu Mieroszewskich w Leśnianach brał dziewczynę przecudnej urody — jak płynęły mu szczęśliwe dni w Poninie — jak miłował ją wielce, myśląc, że Bóg pobłogosławi potomkiem po mieczu. Nieubłagana śmierć pozbawiła go małżonki, wydarła szczęście

i nadzieję, zostawiając jeno głaz zimny przy cmentarnej kaplicy.

Poniński w dworze się zamknął, ludzi unikał — żył z samym sobą i wspomnieniem zmarłej.

Aż zaniosło się w kraju na zawieruchę.

Po małżeństwie Zygmunta Wazy z arcyksiężniczką, Zebrzydowski na sejmikach począł wichrzyć przeciw królowi. Połączyli się z nim innowiercy, widząc niebezpieczeństwo dla swych zborów, gwarantowanych konfederacyą warszawską.

Na sejmie w Warszawie podczaszy litewski Radziwiłł, co katolicyzmu się wyparł, pierwszy miecz podniósł, a przed zamknięciem sejmu Zebrzydowski stanął ze zbrojnymi pod Stężycą, z Radziwiłłem się połączył.

Tłumy szlachty z całej Polski spieszyły pod Sandomierz. Mówiono, że Zebrzydowski ma wyjawić ważne tajemnice dworu, wykazać zdradę królewską i wezwać Zygmunta, by stanął, jako winny, przed sądem rokoszan.

Rzucona głownia wznieciła pożar.

Z dworów i zameczków ciągnęły drużyny.

Przy królu stanął Zamoyski i Żółkiewski, popierali go Sieniawscy i Potoccy, a Stanisław Łodzia, królowi i wierze swej wierny, wyruszył z ponińskiego dworu i pod Wiślicę pospieszył, by stanąć przy boku Zygmunta przeciw odstępcom i rokoszanom.

Przed wyjazdem z Ponina pożegnał grób żony,

a mówiono, że klęczał przy nim noc całą i żegnał gorąco, jakby w przeczuciu, że nie powróci więcej.

Rokoszanie, stanąwszy pod Czerskiem, wypowiedzieli posłuszeństwo królowi. Stronnicy królewscy, z Chodkiewiczem i Żółkiewskim, rozbili obóz pod Radomiem, by na polach guzowskich stoczyć z nieprzyjacielem walną bitwę.

Noc błyszczała pogodna, jasna srebrem księżyca.

Od pól dalekich szły ciepłe podmuchy wiatru, woń sosnowych lasów radomskich rozlewała się w powietrzu — ziemia, rozgrzana letniem powietrzem, objęta snem spokojnym zmierzchu, oddychała wonnem pragnieniem, poszumem zbóż i wilgnych rosą, pachnących traw.

Księżyc zdawał się srebrnieć coraz silniej, zatopiony w szafirze obłoku.

Po wieczornej modlitwie pogaszono światła obozowe.

Cisza głęboka była, gdy Poniński spoczął, a sen zamknął mu znużone trudem powieki.

Zmierzch, przepojony bielą miesięcznej poświaty, snuł się po obozie. Zdala gdzieś dochodziło nawoływanie się wartowników, a od okopów rżenie koni.

Sen twardy ubezwładnił członki strudzonego — ów sen najgłębszy, w którym zapomina się o ist-

nieniu, a z martwotą ciała przychodzi i martwość duszy.

Niebawem jednak począł umysł wracać do świadomości, podniosły się powieki, źrenica spojrzała w mrok.

Do obozu wpadało światło księżycowe, wypełniło wnętrze falą błękitną, pełzało po zbroi, zawisało na krzyżu miecza, zajrzało w oczy leżącemu.

I z cichem tem światłem poczęła znów ułuda powracać na powieki.

...Szumią drzewa — szumią żałośnie, jakby z ponińskiego cmentarza. Zapachniały lipy, bzy i czereśnia cmentarna.

Bezmierna fala światła okoliła rycerza.

Utonął w niej miękko — widzi, że na fali rozpostarł ramiona, na jakichś puchach łabędzich, na białych kobiercach, których włókna ze światła, z blasku, z księżycowych promieni najczystszych.

I z jasności, w którą spoglądały jego źrenice, wychyliły się smutne oczy zmarłej Teresy. Mgła przesłoniła je, lecz w mgłę poczęło przenikać światło, coraz wyraźniej występował kształt lica, białe czoło i pierścień włosów.

Patrzy Poniński, a z czoła zmarłej spływają drobne krwi korale.

Na skroni, na bladem niewieściem czole widnieje cierniowa, krwawiąca korona. Z każdego ciernia korony strzela promień złoty, z każdego ciernia opada po twarzy koral krwi.

Teresa to — czy Madonna?

Twarz słodkiej jego zmarłej — a ciernie okalające czoło, a szata powłóczysta, gwiazd pełna— jak na ryngrafie starym, szata Madonny Ponińskiej,

Nie miał sił, by powstać — niemoc uczyniła go martwym. Czuł tylko, że postać się zbliża, że pochyla się nad nim, a ręce białe dotykają ryngrafu.

Ciche dłonie podniosły mu zwolna głowę, z łona podjęły ryngraf srebrny, uniosły go wysoko — i widmo poczęło znów odpływać, oddalać się, stapiać ze światłem, drgać promieniem miesięcznych fal, aż zgasło.

Usłyszał głos — głos dobrze znany.

W obozie panowała cisza głęboka.

Rycerz pochwycił rękoma za piersi — ryngrafu na nich nie było.

Warmiński Salezy, Franciszkanin, co spowiednikiem obozowym pod Radomiem był, zapisał w kronice klasztoru ponińskiego:

„Spowiedź przedemną czyniąc, wierzył mocno, że we śnie wezwała go Madonna. Zginął na polu guzowskiem od miecza kalwina, Klemensa Przysieckiego, wierny sługa Jego królewskiej Mości i Kościoła syn".

O ryngrafie z Madonną została w rodzie Ponińskich legenda tylko.

BRAT RAFAŁ.

Brat Rafał był klasztornym ogrodnikiem. W oknach jego celi całe krzewy kwiecia: powoje białe, zielone rezedy, lewkonie liliowe ocieniały mnóstwo klatek, w których kanarki, szczygły i synogarlicy koncertowały po dniach całych.

Brat Rafał kochał te ptaki, a jak święty Franciszek, w którego regule zakonnej Bogu życie ślubował, rozmawiał z rzeszą skrzydlatą, błogosławił ją co dzień, poranne pacierze i wieczorny różaniec z chórem Bożych śpiewaków odmawiał.

W bernardyńskim klasztorze w Tarnowie lat przeszło czterdzieści przeżył. Za rządów sześciu gwardyanów uprawiał co wiosnę czworokątny ogródek klasztorny, zamknięty ścianą kościoła, a z trzech stron ścianami klasztoru. Jabłonki i czereśnie okopywał, najpiękniejsze róże na klombach hodował, po murach bluszcz na drucianych siatkach wiódł w górę, a gdy jesień przyszła słotna i zasłała mu ogród liściem ponsowym, gdy zima zajrzała do okien klasztoru srebrem śniegu, to zamykał się w celi swej, na świat boży nie wychodził, jeno korytarzem klasztornym do kościoła na modlitwy.

Książę Władysław Sanguszko z Gumnisk lubił starego zakonnika. Nieraz przyjeżdżał do klasztoru, godzinami całemi w celi przebywał, słuchał jego opowiadań... a było czego posłuchać!

Nie zawsze to brat Rafał nosił habit zakonny! Imię jego świeckie brzmiało Krzysztof Łącki. Syn polskiego legionisty, służył pod Chłopickim. Walczył pod Wawrem i Iganiami, pod Ostrołęką ranny w niewoli był moskiewskiej, a gdy cudem z niej ocalał, do klasztoru do Tarnowa powrócił, habit zakonny znów przywdział, służbie bożej i klasztornej oddany.

Jedyną pamiątkę, którą przywiózł z wojaczki, za zgodą gwardyana przechowywał w celi. Była to szabla żołnierska. Wisiała na ścianie, pod ramami świętych obrazów, obok gromnicy i palmy wielkanocnej.

— Gdy umrę — mówił — niech jej w klasztorze schowanie dadzą godne! Towarzyszką wierną mi była, pamiątką po mnie zostanie! Albo lepiej, niech ją księciu Sanguszce do Gumnisk odeślą, on szablę po starym zakonniku przyjmie, a może kiedyś jeszcze i ona świętej sprawie usłuży?

I przyszły dni, że brat Rafał coraz częściej myślą do szabli swej powracał. Zdejmował ją ze ściany, wyjmował z pochwy, ze starym sługą klasztornym Rawskim radził. Kotarski Karol, dziedzic Olesna, w rozmownicy odbywał z bratem Rafałem

narady, aż zaniepokojony tem gwardyan Czerski zgromił starego zakonnika, że zaniedbuje obowiązki klasztorne, świeckim sprawom posłuch dając.

Nastał „krwawy rok“. Pierwsze wieści poczęły dochodzić do miasta. Głucha opowieść o mordach i grabieżach była okropną rzeczywistością.

Każdy dzień przynosił echa wypadków, każdy dzień podniecał grozę i był pytaniem bolesnem: co będzie?

Opowiadano z przerażeniem, że w Partyniu zamordowano Psarskiego, a w Pleśnej księdza Czerkiewicza. Ciała ich chłopi zbili kołami i nocą przywieźli do Tarnowa.

Co raz to nowe wieści podawano z ust do ust. W Gromniku Kazimierz Bzowski, widząc zbliżającą się czerń, wystrzałem z pistoletu odebrał sobie życie; w pobliżu Gumnisk znaleziono zwłoki uduszonego Marynowskiego.

Okropnościom nie chciano dawać wiary! — W Mohorcu zginął Dulęba, w Dąbrowej Górski, Pietrzyckiemu w Głobikowej rozbito głowę motykami, a odcięty nożem palec z sygnetem odesłano żonie do dworu, Broniewskiego w Przybuszu podrzucano na widłach tak długo, aż ducha wyzionął.

Do kamienicy Kamieniobrodzkich w Tarnowie, gdzie ksiądz Serwatowski pociech religijnych udzielał, poczęto zwozić rannych. Tłumy ludzi na-

wet nocami, zalegały plac przed domem. Z wozów ociekała krew, brocząc po bruku ulicznym.

Biskup Wojtarowicz nakazał w katedrze tarnowskiej modły, z kościoła Panny Maryi na Burka brzmiał dzwon pacierzem żałobnym.

A w bernardyńskim klasztorze do celi brata Rafała na noc pukał wysłaniec, co noc radzono tam niemal do świtu, aż raz, późno nad ranem z bramy klasztornej wyjechały sanie, zaprzęgnięte w parę koni. Woźnica klasztorny, Mikołaj Rawski i brat Rafał, obydwaj w świtkach chłopskich, przez rogatkę gumniską opuścili miasto.

* * *

Wieczór był ciemny. Śnieg, prószący gęstym, płatami, zmienił się w nawałnicę. W zaspach, które leżały po połach, z trudem tylko można było kroczyć.

Powstańcy mieli wpaść do Tarnowa dwoma oddziałami. Jeden miał wejść od strony Dąbrowy drugiemu polecono zająć na Strusinie koszary ułanów.

Z gotujących się do napadu na miasto, ocalała tylko szczupła liczba. Około czterystu związkowych stanęło na punktach zbornych, lecz po dłuższem wyczekiwaniu rozproszyło się. Chłopi obsadzili drogi, wiodące do miasta, powracają-

cych chwytali. Z przywódców powstania — Czechowski dostał się do niewoli, Eisenbacha zabito.

Brat Rafał zdążał tymczasem do dworu Kotarskiego w Oleśnie, nie wiedząc, że dwór zajęli już chłopi. Czerń wywlokła dziedzica, mandataryusza Grzywińskiego i plebana Kaznowskiego na dziedziniec. Bito ich cepami, pokrwawiono w straszny sposób i ledwie żywych ciągnięto za włosy do karczmy.

Do rozhulanej czerni przyłączył się tłum pijanych chłopów z Łukowa i Odporyszowa, którzy w drodze pochwycili bernardyński wózek i brata Rafała z woźnicą.

W wózku ukryta w słomie była broń palna i pałasze. Chłopi znaleźli ją, pojmanych skrępowali powrozami i pędzili przed sobą.

W karczmie w Oleśnie odbył się sąd nad więźniami.

Włościanin z Świebodzina, Grzegorz Masztalerz, który przy obsaczeniu dworu otrzymał od Kotarskiego wszystkie pieniądze, uderzył dziedzica kłonicą od pługa w głowę. Kotarski upadł na ziemię, z ust i nosa popłynęła krew, Masztalerz począł butami gnieść mu czaszkę, aż ofiara skonała.

Mandataryusz Grzywiński zginął na miejscu. Jakiś kowal uderzył go w skroń młotem, a potem nieżywego już rozpruto kosą. Ten sam los spotkał woźnicę Czerskiego, gdy zaś czerń po-

częła zdzierać ubranie z księdza Kaznowskiego, aby go żywcem ciąć piłą, baby uderzyły w taki płacz, że udało się plebanowi wyprosić z rąk siepaczy.

Brat Rafał, skrępowany, spoglądał na krwawiące trupy, porzucone na brudnej podłodze karczmy, na wrzeszczących chłopów, którzy zbliżali się groźnie ku niemu. Już wyciągnęły się dłonie siepaczy, już na plecach uczuł uderzenie kłonicy, gdy podniósł twarz bladą i zawołał: „Bóg rzekł: Nie zabijaj — Bóg wyda nad wami swój sąd!"

Cofnęli się chłopi, nastała cisza, niektórzy pozdejmowali czapki z głowy. W twarzy skazańca była jakaś dziwna siła, co gromem wyroku uderzała w morderców.

Jeden tylko wójt z Odporyszowa, Grębosz karany więzieniem za zabójstwo żony, stanął przed zakonnikiem szyderczo, uderzył go w głowę, co zachęciło innych do katowania starca.

Wymyślono śmierć odmienną od śmierci poprzedników.

— Broń wiózł do Olesna, nielada ptaszek — wyrokowali chłopi.

— Z takiego to i godniej trzeba skórę złupić — dopowiadano.

Wywleczono więźnia przed karczmę. Noc schodziła.

Chłopi poczęli łopatami rozkopywać zaspę, w ziemię wbili wysoki pal, otaczając go drzewem i słomą.

Brat Rafał ukląkł i począł się modlić, gdy pochwycono go za ramiona, zerwano zeń szaty, przewiązując całe ciało powrósłami ze słomy.

— Ani cię rodzona matka tak nie spowijała!

— Nie zmarzniesz nam!

— A ciepło ci będzie, że niczem latem podczas upałów!

— Cały chochoł — naigrawali się chłopi.

Przez piersi skrępowano starca powrozem, podciągnięto go w górę i wzniesiono na palu.

Podłożony ogień począł ogarniać słomę, potem drzewo, aż krwawym płomieniem strzelił zmieniony w żywą pochodnię.

Gdy świt chmurny spojrzał szarem, posępnem światłem, a tłuszcza, śpiewając przeraźliwie, wracała po zniszczeniu dworu i plebanii, na czarne, straszne zgliszcza przed karczmą prószył gęsty, biały śnieg.

* * *

Z krużganków tarnowskiego klasztoru spojrzałem dziś w cienie klasztornego ogrodu. Szumią jabłonie, na grzędach kolory kwiecia, w okna cel płynie młoda, upojona woń.

... Jabłonki i czereśnie okopywał, róże na klombach hodował, bluszcz zielony po murze klasztornym na siatkach drucianych wiódł w górę...

Smętny, bolesny cień wspomnienia!

SPIS RZECZY

I. Dzwon umarłych 1
II. Pan na Brzeżanach 11
III. Madonna Ponińska 51
IV. Brat Rafał 61

WSZYSTKO I NIC

UTWORY STEFANA ŻEROMSKIEGO:

Walka z Szatanem I. Nawracanie Judasza. Powieść. Wydanie drugie. 1921.
Walka z Szatanem II. Zamieć. Powieść. Wydanie drugie. 1921.
Walka z Szatanem III. Charitas. Powieść. 1919.
Aryman mści się. — Godzina. Wydanie drugie. 1911.
Biała rękawiczka. Sztuka w 3 aktach, z prologiem i epilogiem. 1921.
Dla młodzieży. Książka I. 1921.
Dla młodzieży. Książka II. 1921.
Duma o hetmanie. Wydanie czwarte. 1920.
Dzieje grzechu. Powieść. 2 tomy. Wydanie piąte. 1920.
Echa leśne. Wydanie nowe. 1920.
Inter Arma. Warszawa. 1920.
Ludzie bezdomni. Powieść. 2 tomy. Wydanie piąte. 1911.
Opowiadania. (Doktór Piotr.—Cokolwiek się zdarzy.—Ananke. —Zmierzch.—Złe przeczucie.—Po Sedanie.—Zapomnienie. — Pokusa.—Siłaczka. — Oko za oko. — Niedziela.— Z dziennika). Wydanie czwarte. 1910.
O przyszłość Rapperswilu. Kraków. 1912.
Organizacya inteligencyi zawodowej. Warszawa. 1919.
Początek świata pracy. Kraków. 1918.
Ponad śnieg bielszym się stanę. Warszawa. 1920.
Popioły. Powieść z końca XVIII i początku XIX wieku. 3 tomy. Wydanie czwarte. Warszawa. 1919.
Powieść o Udałym Walgierzu. Wydanie nowe. 1918.
Projekt Akademii Literatury Polskiej. Warszawa. 1918.
Promień. Powieść. Wydanie czwarte. 1910.
Rozdziobią nas kruki, wrony. Wydanie trzecie z rysunkami St. Janowskiego. 1905.
Róża. Dramat niesceniczny. Wydanie drugie. 1910.
Sen o szpadzie. Kraków. 1914.
Sen o szpadzie i sen o chlebie. Zakopane. 1916.
Siłaczka. — Na pokładzie. (B. U. L. Nr. 5). 1907.
Słowo o Bandosie. Wydanie nowe. 1920.
Snobizm i postęp. Warszawa 1923.
Sułkowski. Tragedya. Wydanie drugie. 1910.
Syzyfowe prace. Powieść. Wydanie szóste. 1922.
Turoń. Dramat w trzech aktach. Warszawa. 1923.
Uroda Życia. Powieść. 2 tomy. Wydanie drugie. 1920.
Utwory powieściowe. (Na pokładzie.—O żołnierzu tułaczu.— Tabu. — Cienie. — Kara. — Legenda o bracie leśnym). Wydanie czwarte. 1910.
Wiatr od morza. Warszawa. 1922.
Wierna rzeka. Klechda. Wydanie trzecie. 1921.
Wisła. Wydanie drugie. Warszawa. 1920.
Wszystko i nic. Warszawa. 1919.
Zmierzch. — Cokolwiek się zdarzy. (B. U. L. Nr. 41). 1907.

STEFAN ŻEROMSKI

WSZYSTKO I NIC

(„POPIOŁÓW" — SPRAWA DRUGA)

FRAGMENT

WYDANIE DRUGIE

WARSZAWA MCMXXIII KRAKÓW
WYDAWNICTWO J. MORTKOWICZA
TOWARZYSTWO WYDAWNICZE W WARSZAWIE

Przedruki nieuprawnione przez autora wzbronione. Wszelkie prawa autorskie co do tłómaczeń i przeróbek zastrzeżone.
Prawa autorskie co do przedruków, tłómaczeń i t. p. w Rosyi rezerwowane na zasadzie ustawy z d. 3 kwiet. 1919 r.
Copyright by Stefan Żeromski, nineteen hundred twenty three.

4014

Drukarnia Naukowa. Warszawa, Rynek Starego Miasta 11.

Ledwie się drzwi zamknęły i dwaj Olbromscy,—Rafał i syn jego Hubert,—stanęli na ganku, wichura poczęła ich szarpać na wsze strony. Zadęty był cały ganek i pół sieni. Ciemność, choć oko wykol, niezgłębiona była wokoło. Mały Hubert brnął po zaspach, po czemś, niby dachy, i nie mógł wyjść z podziwu, że jest na znajomej drodze, wygrodzonej z dwu stron parkanem do motkowskiego dworu. Z okien dworskich padały rzęsiste smugi światła. Dojrzał w jednym promieniu ogromnego parobka w grubym kożuchu i baraniej czapie, na której osiadła druga czapa, śniegowa, — jak trzymał u pyska Łyskę. Grzywa Łyski fruwała, a ogon niosło w bok za wiatrem. Namacali obadwaj z ojcem saneczki, dwa w nich siedzenia ze snopków kłoci okrytych kilimkami. Wszystko było śniegiem grubo zadęte. Na tylnem siedzeniu już się nawet usadowiła spora zaspa, gość nieproszony. Łyska chrapala, biła kopytami. — Wysoko, w ciemnem pustkowiu no-

cnego nieba, huczały wielkie topole i lipy, otaczające dwór, oraz zabudowania motkowskie. Ten głos był tak złowrogi, że lęk niepojęty serce dziecka ogarnął. Widziało się, że to jakowaś dzika moc niesie się wśród poświstów górą niewidokiem ponad cichą, przyziemną siedzibą, że się z pustki polnej wydziera przeciwko światłom jej okien. Huk ciągły, jednostajny wznosił się kiedyniekiedy do niedosięgłej wyżyny. Małe serce mdlało i truchlało, poddane temu nieubłaganemu głosowi.

Parobek Walenty uspokajał kobyłkę, przemawiając do niej słowami, których drukować nie sposób. Wsunął wreszcie lejce w ręce pana Rafała Olbromskiego, gdy poznał, że się ten już umieścił na przedniem siedzeniu, — i znikł wnet w nocy, przepadł w ciemności, stał się niczem, jak sama ciemność. Z ganku zabrzmiał w wichrze pożegnalny głos motkowskiego dziedzica, ale słów już nie można było rozeznać. Wiatr je z warg porwał, uniósł w noc i jakby w śnieg cisnął. Pomknęli z miejsca. Łyska zmarznięta, schłostana od wiatru, susami wypadła z podwórza, minęła pierwszy zakręt na prawo za bramą, po chwili drugi na lewo... Sanice zatoczyły okrągły kształt dwu brzuśców litery S i pomknęły na szeroki wygon drogi ku wyrwom. Huk drzew przycichał, wnet ustał, jakby się w ziemię zapadł. Olbromski-

ojciec orjentował się co do wiatru. Wiatr bił z prawego boku, od lasów i wyraźnie świstał między żerdziami obustronnego płotu tej drogi. Między temi płotami leżały zaspy niewiarygodnej wysokości. Klaczka wnet się wysiepała, kopiąc się w śniegach, choć saneczki były najlżejsze, jakie być mogły, bose, obciążone tylko dwiema z boków deskami i parą siedzeń. Dla przebycia zasp trzeba było torować szlak w śniegu sypkim, jak pył najlżejszy, ale głębokim na chłopa. Szukając drogi sposobniejszej, Łyska szła to w prawo, to w lewo, szarpała sanie, aż dyszel trzeszczał i skręcała na miejscu, gdy jej nozdrza i oczy raziła zadymka, tnąca ostremi pyłami. Obadwaj podróżni pamiętali, że są w opłotkach i co chwila radzili z cicha, czy jeszcze nie wyminęli wygonu. W pewnej chwili wątpliwość nasunęła się aż nazbyt wyraźnie. Pan Rafał Olbromski zatrzymał kobyłkę w miejscu, kazał Hubertowi wysiąść, iść na prawo i zbadać, czy na płot trafi. Mały Hub wyskoczył w śnieg, szedł jakiś czas we wskazanym kierunku, brocząc w zaspie, ale płotu nie znalazł i poprzedniego świstu między żerdziami nie słyszał. Ruszyli teraz wolniej, noga za nogą, pustkowiem, gwarząc o ciemności i wietrze, i dopytując się raz wraz nawzajem, czy im nie zimno i czy nogi nie przeziębły. Mały Hub miał dopiero lat jedenaście, ale te miejsca znał jak najstarszy

ze starych. Między rodzinnemi Wyrwami a folwarkiem sąsiadów na Motku było niecałe dwie wiorsty odległości. Obiedwie habendy dzieliła rzeka, płynąca w nizinach, oraz przestrzeń nieużytków po wyciętych i wykarczowanych lasach, pełna wykrotów i pniaków, dołów i wywożonych kamieni.

W pustkowiu tem stały jeszcze tam i sam nasienne drzewa, przeważnie wielkie jodły. Każde z tych drzew Hub znał jak swoją kieszeń. Na szczycie każdego z nich był, pod każdem na coś czatował, chronił się od deszczu, albo upału. To też teraz wbijał oczy w ciemność, usiłując dostrzec znajome kształty jedli lub świerka, żeby ojca zakasować w znajomości terenu, żeby pierwszy dać znać o jarząbie z pasyjką, albo o jodle podpalanej. Lecz czas mijał, saneczki sunęły w śniegach, jak łódź po wzburzonych bałwanach, a przewidywanych znaków nie było w mrokach ani śladu.

Podmuchy wiatru ciskały na sanki istne fale. Sypało, jak z wora miękiemi płatami, albo ciął w oczy i uszy grad ziarnisty, zacinający aż do krwi. Sanie już to chyliły się na bok, już uderzały o jakoweś twarde przedmioty podśnieżne. Międzyleśna, pustkowiana burza stawała się coraz dziksza. W nieprzejrzanej dali ryczały przeraźliwe głosy, istne wycia leśnych dyabłów. Las li to hu-

czał, czy się waliły wody z upustów na Motku? Łyska chrapała niecierpliwie. To się zrywała do biegu susami, to znowu z trwożnem prychaniem stawała w miejscu. Podróżni spostrzegli, że mają wiatr za plecami. Jechali tedy w złym kierunku.

— Wiatr ją w nozdrza bije i, szelma, kręci mi się w rękach... — rzekł pan Rafał do syna.

— Niech ją tatko od siebie i ostro, batem po nogach!

— Ba!—żebym to wiedział!... Od siebie, mówisz?

— Musimy pod wiatr, bośmy tak wyjechali.

Wzięto się pod wiatr, mimo Łyski oporu. Jechali teraz ostro, wprost w paszczę nawałnicy. Przejmujące zimno ozionęło ich, jak lodowatą wodą. Huk się wzmógł, ze wszech stron wirem pędziły kłęby kurzawy.

— Zakryj się! Skul się i owiń kilimkiem! — wołał na syna Olbromski.

Słowa te leciały porwanemi sylabami, jakby płatami, na obraz śniegu. Obiły się tępo o dziwnie przytłumiony słuch.

— Mnie ciepło — odkrzyknął mały.

Zwinął się w sobie, ręce zasunął w rękawy bekieszy, głowę wtulił w ramiona i cieszył się z wichury, ciemności i jazdy, głównie zaś tą pewnością, że to jest jeszcze dziś, nie dzień jutrzejszy, nie ten ohydny, fatalny, ostatni dzień go-

dnych świąt, po którym trzeba wracać z umiłowanej strony, z domu i ukochanych rozłogów — do szkoły.

W pewnej chwili ojciec zatrzymał Łyskę Medytował w milczeniu.

— A co, tatku? — zagadnął Hubert.

— Co u licha! Nie wiem, gdzie jestem... Niby Motki—tam. Wyrwy—tak jakby tu... Ale w takim razie powinienby już być rozdół, rzeka, most. Tymczasem, tu jakby wciąż pod górę...

— To prawda. My wciąż jedziemy pod górę...

Olbromski przez czas pewien rozmyślał bezradnie. Wicher chłostał go po twarzy nietylko garściami śniegu, lecz i włosiem ogona kobyły, jak batem, świstał na strony. Zimno przejmowało do kości. Łyska skoczyła przed się, targnęła sanie i pomknęła pod wiatr znowu. Pędzili galopem, na oślep przez czas długi, — tak dalece długi, że można było znakomicie przejechać z folwarku do folwarku. Sanki magały się z boku na bok, leciały w jakoweś doły i wyrwy i uderzały swemi nosami w zagony. Gdy znowu przystanęli, nie słychać było nic prócz huku, lecącego górą i świstu między sanicami.

— Pole, do stu djabłów! — unosił się Rafał Olbromski. — Jesteśmy na jakiemś polu... Cóż to za rola? Zleź no, synku, i popatrz, w którą stronę idą zagony... Może co z tego wymiarkuję...

Hub ochotnie poskoczył, deptał tu i tam grzbiety zagonów, aż wreszcie stanowczo, niemal z tryumfem oświadczył, że zagony idą tak i tak. Nie na wiele się to przydało. Po długiem zastanowieniu zdecydowano, że skoro wiatr ciągnie stąd, a zagony idą tak, więc trzeba jechać w takim oto kierunku. Pojechali. Z zagonów sanie pomknęły na nieużytki i znowu poczęły przelewać się z boku na bok. Trafili w jakieś krzaki zupełnie nieznajome, w miejsca najzupełniej obce, nie istniejące w jakiemkolwiek wspomnieniu. Zdumienie ogarnęło obudwu. Za temi zaroślami były jakoweś kamieniste wertepy, niemożliwe do przebycia i również nieznane. Poczęło to Olbromskiego doprowadzać do rozpaczliwej pasyi. Stosując się do rady ojca, Hub wysiadł, ujął Łyskę za uzdę u pyska i jął ją prowadzić pod wiatr, żeby nie zbaczała z obranego ku domowi kierunku. Rafał Olbromski, siedząc teraz bezczynnie, nasłuchiwał, czy się w którejkolwiek stronie nie odezwie naszczekiwanie psów. Powinna była być w stronie, dokąd dążyli, wieś jedna i druga, powinny były być na uboczu kolonje czynszownicze, samotne chaty na odludziu... Nigdzie, z nikąd odgłosu życia! Hub z miłością głaskał pysk klaczy, szeptał jej do ucha sekretne słodkie słowa i odmierzał pieszczotki. Wkrótce, brnąc pod wiatr w zaspach, zdyszał się i spocił doskonale. Spra-

wiło mu to szczerą rozkosz. Czuł się na równi z ojcem mężczyzną, doznającym niepowodzenia, a nawet niebezpieczeństwa. Zresztą to, co się działo, było dobrem, bo dzieliło i wciąż jeszcze trzymało w oddali od fatalnego jutra. Pod nogami, w głębiach śniegu czuł pustkowie i rad był, że to jest wciąż jeszcze pustkowie, a więc miejsce dalekie od Wyrw i od Motka. Radby był iść tak przez całą tę ziemię i przez całą noc, wzniosłą w swej świszczącej potędze, piękną w nieprzeniknionym mroku i radosną nad wszelkie słowo w swej rozpasanej dzikości. Och, radby był iść tak obok ukochanej, najmilszej Łyski na kraj świata!

Inaczej w tem pustkowiu czuł się ojciec. Wstyd go prosty palił i ogarniała wściekłość. Wałęsał się oto po przestworze, znanym jak własna izba, po dziedzinie, którą od tylu już lat zamieszkiwał, zimą i latem po tysiąckroć przebył we wszystkich kierunkach... Było to zarazem śmieszne i głupie błąkać się w polu między Wyrwami i Motkami, gdzie z zawiązanemi oczyma każde dziecko trafi do wymienionego punktu.

W trakcie pochodu przez zaspy Hub posłyszał przed sobą szczególny szum. Zrozumiał, że to huczy w wichrze wielkie drzewo. Skierował natychmiast ku niemu Łyskę i wnet mokre, grubo śniegiem obwalone gałęzie jodły, jak łapy po-

tworne, ogarnęły go z prawej i z lewej strony. Przystanął. Ojciec zsunął się z sanek na ziemię i zbliżył do drzewa. Oglądali je obadwaj z synem, obeszli dookoła i... po szczegółowem badaniu przyszli do jednomyślnego wniosku, że jest to jakieś drzewo zgoła nieznajome, jakby nie tamtejsze... Stojąc obok tego drzewa, które huczało swą wzniosłą i niepojętą pieśń, Rafał Olbromski przenikniony został nagle a niespodziewanie przez dawny, zapomniany lęk... Ohydne wspomnienie prześliznęło się wskroś jego duszy. Obawa o dziecko ścisnęła mu serce. Kazał chłopcu wejść na sanki, owinąć przemoczone nogi kilimem,—a sam stał w zamyśleniu bezradnem obok konia. Postanowił jedno: nie oddalać się od spotkanego drzewa. Ale czekać do rana na swem, czy sąsiedzkiem polu!... Było coś obrzydle śmiesznego w samym zarodku tego postanowienia. Wyjechali byli ze dworu na Motku zaraz po kolacyi, więc na jakie dwie z górą godziny przed północkiem. Mieli tedy przed sobą do świtu dziesiątek godzin. Wahając się co czynić, starszy pan ujął klacz za uzdę i wprowadził za drzewo, zasłaniając ją tym sposobem od fali wiatru. Wziął chłopca z sanek na ręce i przeniósł go dla rozgrzewki na grzbiet kobyły. Hub siadł oklep na Łysce z radością i czule ją zaraz objął rękami za szyję. Klaczka wraz głucho, a z cicha westchnęła,—nie wiedzieć, z rado-

ści czy ze smutku, — i poddała się losowi. Ciepła para dymiła się z niej obficie.

— Nasłuchujmy, synku, szczekania psów!...— rzekł ojciec.

Słuchali tedy pilnie—pilnie. Obijały się o ich uszy zdala lecące poświsty i przyziemny huk, gdy wicher głuchemi polami gnał w międzyleśne szyje, na zamarznięte smugi i przydęte pastwiska, w doliny wśródgórskie. Głęboka do nich mówiła, samoistna moc i groźny urok obejmował dusze. Obadwaj byli zasypani śniegiem, zgrzani i wzburzeni. Nim się spostrzegli, już ich poczęło zadymać, a sąsiek śniegowy rósł stale dokoła nóg końskich i przed saniami. Drzewo powiewało gałęźmi. Od chwili do chwili, po krótkich przerwach ciszy, dział się w niem jak gdyby taniec przedziwny, pełen pohutnego kłapania. Hub wbijał oczy w ciemność, z przestrachem i zdumieniem spostrzegając, jak wielkie łapy jodłowe, obleczone w grube, białe rękawice ze śniegu, klaszczą raz wraz jedna w drugą — „kosia — kosia — kosiana“... Zdało mu się widzieć zawodzenie czubem pijanego, głupio-ślepego— „da dyna“...

Dalsze spławy drzewne, szerokie i obwisłe, zamieć podgarniała wysoko, jakoby podół olbrzymiej spódnicy i wiewała niemi dookoła pnia. Wewnątrz włochatych gałęzi pień głucho i ponuro stękał.

Aczkolwiek jodła osłaniała od wiatru, zimno się wzmagało. Stojących bez ruchu wicher przejmował w ramionach i plecach do szpiku kości. Nogi od wielkich palców poczynało kłuć szpilkami. Śnieg stawał się coraz bardziej gęsty, sypki i zaciekły.

Pan Rafał okrył plecy chłopca kilimem, obiedwie jego nogi obrócił w jedną stronę z końskiego boku, sam przytulił się do tego boku i grzał dziecko sobą. Stopy swe w śniegu otulił drugim kilimem i tak, objąwszy się, grzejąc konia i nawzajem przezeń ogrzewany, pod zasłoną drzewa przetrwać postanowił burzę. Tymczasem zadymka wciąż potężniała, a wiatr się do istotnego szału rozpętał. Ojciec raz wraz upominał synka, żeby zaś nie drzemał. Ale malcowi, właśnie jakby na przekór, śnić się poczynały różności, głowa jak kowadło ciężyła, a oczy zlepiały się, niby pod nawałą lotnych płatków śniegu. Wielka jodła śmiała się z niego niemiłym chichotem, — magał się w mroku potworny jej kadłub, jakoby obraz grubego i sprośnego chama, gdy, spity do zbydlęcenia, w czarnem karczmisku tańcuje sam ze sobą w próżni i szaleństwie. Chwilami ów taniec przeistaczał się w groźne zawodzenie. Objęcia gałęzi schylały się nisko, coraz niżej. Długie pazury, wysunięte z kosmatych białych osłon, sięgały po głowę...

Pan Rafał w półdrzemaniu czuwał wciąż nad jednem wspomnieniem. Miał w wyobraźni stada wilcze. Zaniedbał był wziąć broni ze sobą, a wilki w tej leśnej stronie nie były rzadkością. Zimową porą stada ich zaglądały na podwórza folwarków. Teraz żywiej, niż kiedyindziej, miał w pamięci zdarzenie, gdy w noc księżycową, na skutek zajadłego szczekania kundysów pod dworem wyjrzawszy oknem, zobaczył ogromnego wilka tuż pod gankiem. Przypomniały mu się najżywiej wszystkie afekty, gdy, naciągnąwszy buty na bose nogi i narzuciwszy na ramiona tylko lisiurę, wyszedł na ganek i strzelił do napastnika. Pamiętał jak pojedynek uskoczył za bramę i jak to on sam jeden — z ostatnim nabojem w lufie dwururki — pędził za nim wygrodzoną drogą aż poza stodoły. Przeszedł wspomnieniem kolejno każde wrażenie gdy tak naprzeciwko siebie stali w jaskrawem świetle księżyca: wilk w polu, o kilkanaście kroków oddalony, i on sam pod wysokim parkanem za folwarcznemi stodołami. Oto śni się, że jak wtedy zmierzył do zwierza i trzyma kolbę przy policzku... Oto wilk nagłym piorunowym susem skoczył ku niemu i runął mu u nóg, gryząc krwawym pyskiem zmarznięte zagony, gdy go nieomylnym strzałem powalił.

Mrowie tamtego wspomnienia nie chciało z ramion odejść. Tkwiły wciąż w nieświadomej

pamięci nieznośne obrazy bezrozumnej walki z potworem za dawnych dni młodych... Postanowił czekać choćby do rana i nie oddalać się od drzewa, ostatniej obrony w razie napadu wilczej czeredy. Nie było to zaiste rozumowanie, lecz gorzkie czucie,— napół jasnowidzenie czegoś groźnego, co w pobliżu czyha pod zasłoną tej ciemnej nocy.

Hub coś sennie gwarzył. Głowinę oparł na ojcowskiem ramieniu. Wszyscy troje, nie wyłączając Łyski, cierpliwie nasłuchiwali, raz wraz podnosząc głowy i nastawiając uszy. Gdy wiatr się znagła wzmagał na obraz szaleństwa tego całego obszaru, a noc huczała,— pan Rafał otulał szczelniej derą dziecko, sam się doń przyciskał i czekał z bijącem sercem.

I oto znagła, jak gdyby wyczarowane z nicości przez niepojęte uczucie,— kędyś w nocy, daleko—daleko błysły i zgasły dwa światełka. Wnet znowu błysły — i przygasły.

— Wilcze ślepia... Czy sen?... — zmagał się w sobie Olbromski.

Wlepił w próżną noc oczy... Oto znowu: — zabłysło — przygasło!... Porwał dziecko w ramiona, — przekonany, że to nie złuda, — nie mówiąc ani słowa, otulił je w derę i chwilę jeszcze czekał, nim się rzucić i drapać po gałęziach na szczyt jodły. Głucha wewnętrzna modlitwa snuła mu się po wargach.

Dwa światełka znowu zaświeciły i zgasły. Lecz razem w podmuchu wiatru dopadł ucha tęskny, błogi dźwięk.

— Tatuś!— Dzwonek!... — porwał się mały.

— Tak jakby prawda... Dzwonek... — wyszeptał ojciec.

Wpatrzyli się w przestrzeń. Wsłuchali w wicher. Dojrzeli przeciągle błyszczące dwa światła. Ujrzeli wyraźnie ich kołysanie miarowe. Usłyszeli daleki — daleki pogłos... Serca uderzyły z radości. Zaszeptali do siebie bez sensu i związku. Połysk i głos zbliżały się bardzo powoli. Czekali cierpliwie, w milczeniu. Nareszcie, gdy w ciągu kilku chwil obaj widzieli wyraźne migotanie i słyszeli daleki klangor jednotonnej melodyi dzwonka, rzucili się do sanek i pojechali co tchu na spotkanie światła. Łyska, skostniała z zimna, w cwał pobiegła.

— Kto też to tędy może jechać ze światłem i dzwonkiem?—głośno rozmyślał Olbromski.

— Może to nas Michcik szuka?

— Ale, gdzie! W najgorszym razie przypuściłby, że nocujemy w motkowskim dworze.

Coraz wyraźniej widzieli dwa kręgi światła latarni i odróżniali każde uderzenie podróżnego dzwonka. Wreszcie pan Rafał okrzyknął zdala zbliżający się pojazd. Światła w miejscu stanęły. Podjechał blisko—i spostrzegł w światłach pada-

jących od latarni zady dymiące, nogi i uprząż pary koni.

— Kto woła?—spytano od świateł.

— Ludzie, zbłąkani w polu. A kto to jedzie?

Nie odpowiedziano na to pytanie. Olbromski podciął Łyskę i zbliżył się do samych sanek. Oddał wodze w ręce Huba, a sam wysiadł i poszedł poza latarnie.

— Któż to jedzie? — pytał powtórnie.

— Z poczty jedziemy...

— Tędy z poczty?

— No, tędy.

— A kto jesteście, człowieku?

— Ja pocztylion. Pana przejezdnego wiozę na sandomierski trakt.

— Skąd wam do głowy przyjść mogło tędy lasami jechać na sandomierski trakt?

— No, ja jadę, jak każą. Dziś pan przyjechał skądsi zdaleka, pocztę najął i kazał jechać na sandomierski trakt. A wyście co za jedni ludzie?

— Ja tutejszy, z Wyrw dziedzic, — alem, do djabła! w powrocie do domu pobłądził. Pocztarek, wiesz ty może, w której stronie będą Wyrwy?

— Dy my stamtąd, z Wyrw jedziemy.

— Jakim sposobem?

— Zajechaliśmy tam, jak się ta zadma z samego wieczora zawzięła. Pan się bał puszczać na taki czas. Ale dziedzica nie było, sługa nas ta

stary nie chciał przyjąć na nocleg, powiedział, że nie bierze na swoją odpowiedzialność, bo pana niema, a my nieznajomi, no i musieliśmy puścić się dalej na całą noc. Tak jedziemy noga za nogą. To samo nie wiemy, gdzie my są teraz.

— Most na rzece przejechaliście?

— No, dopiero co!

— Ludzie! wróćcie się ze mną do Wyrw. Przenocujecie we dworze, a nam latarnią poświecicie, żebyśmy mogli do domu trafić.

— A wyście to sam pan dziedzic z Wyrw?— dopytywał się pocztarek.

— Sam, Olbromski.

— Nie wiem, jako pan?... — zwrócił się woźnica do swego pasażera.

Rafał Olbromski postąpił kilka kroków dalej i zbliżył się do ciemnej figury, siedzącej w saniach. Z bezwiednym ruchem skłonił się i rzekł:

— Jestem Olbromski. Z kimże mam zaszczyt spotkać się w tak ciężkiej okoliczności?

Macał rękoma w ciemności i dotknął futra, które otulało siedzącego podróżnika. Pocztylion wstawił w latarnie nowe łojówki i wtedy nieco blasku padło na pasażera. Olbromski dostrzegł futro niedźwiedzie, osypane śniegiem. Gdy tak dłonią szukał w ciemności, znagła jego palce trafiły na rękę milczącego dotąd człowieka. Ręka tamtego ujęła dłoń Rafała i na zewnętrznej powierz-

chni tej dłoni postawiła mocnem i długotrwałem uciśnieniem trzy środkowe rozstawione palce. Po chwili te zimne, zgrabiałe i twarde palce oderwały się i znów wgniotły w rękę, ale teraz były skupione w jedno. Całe ciało Rafała Olbromskiego od tych dwu dotknięć zadrżało, jak gdyby na nowo przeszyte mrozem. Zrozumiał tajemnicze pozdrowienie, sekretny znak, wyrażający dwa wielkie pojęcia: „Wszystko“ i „Nic“.

Nie wiedział, z kim się przed chwilą w polu zetknął i kto go powitał, ale natychmiast, bez dalszych pytań zarządził, ażeby pocztarek nawrócił i w kierunku Wyrw jechał przodem po swych własnych śladach. Wnet sanie przyjezdnych ruszyły naprzód, świecąc latarniami. Olbromski z synem zdążał tuż za niemi po świeżo przetorowanych, lecz już przydętych śladach.

Zsunęli się wnet z płaskowzgórza w rozdół rzeczny, dziwiąc się niepomału, jakim sposobem nie mogli byli trafić w to miejsce, zrozumiałe, jak na dłoni. Za mostem ruszyli ostro i przed upływem pół godziny byli za bramą dworską w Wyrwach. Zajadłe szczekanie mnóstwa psów obudziło służbę, błysnęły w oknach światła. Zaskrzypiały drzwi ganku i ktoś wyszedł z latarnią.

— Michcik!—wołał Olbromski,—dawaj mi tu latarnię!

Gość wysiadł ze swych sani i, nie mówiąc

ani słowa, pośpiesznie wszedł do sieni. Postępując tuż za nim, pan Rafał znalazł się w pierwszym pokoju, zanim jeszcze służący wkroczył z latarnią. Zabłysły wnet woskowe świece w lichtarzach. Przybysz ociężałemi ruchy usiłował rozwiązać szal, którym był omotany kołnierz jego futra w taki sposób, że twarzy nie było widać. Dopiero gdy Olbromski wydał służącemu polecenie, ażeby przyjezdny pocztylion postawił swe konie przy dworskim żłobie, sanie wtoczył do wozowni, sam dostał posiłek i posłanie, — i gdy ów Michcik ze swą latarnią wyszedł z pokoju, — przybysz otrząsnął z futra nawiane śniegi, odsunął i zrzucił z ramion krótkie futro. Ujrzawszy jego twarz, gospodarz domu wydał cichy, a do cna przerażony okrzyk. W milczeniu patrzał w twarz tego gościa. Tamten krótkim gestem nakazał mu sekret. Obejrzał się uważnie po pokojach, po zamarzniętych szybach okien... Uśmiechnął się.

— Nie spodziewałeś się, bracie, że mnie tu zobaczysz... — rzekł głosem dźwięcznym, cichym, lecz zdradzającym wewnętrzną siłę.

— W istocie...

— Czy ten służący przyjdzie tu jeszcze?

— Chciałbym, żeby przyniósł pościel na tę sofę.

— Pościel sami przyniesiemy. Nie chcę, żeby mię widział.

— To wierny, rodzony człowiek. Żołnierz, sługa i przyjaciel jeszcze nieboszczyka brata.

Po wargach gościa prześliznął się zimny, przeczący uśmiech. Poruszył głową na znak, że nie wierzy nikomu.

— Przyniosę sam... — rzekł posłusznie gospodarz.

— A mały?

Hub siedział w kącie, w ciemnym kącie, do którego nie docierały płomienie świec, i w istocie przez sen przypatrywał się nieznajomemu. Gdy z wichury, chłoszczącej go tak długo, wszedł do ciepłego pokoju, zrobiło mu się nadzwyczaj gorąco w policzki. Uszy mu się paliły, a oczy, jakby zasypane piaskiem, zamykały wbrew woli. Gość był wzrostu więcej, niż średniego, prosty, szeroki w barkach, silnie zbudowany, choć szczupły z pozoru. Twarz jego była prześliczna, pociągła, niemal chuda. Duże, niebieskie, przezroczyste, iście jastrzębie oczy zimno patrzyły na wszystko z uwagą, z medytacją i zastanowieniem wewnętrznem, jak gdyby z rachunkiem nieustającym. Nos był, jak wyrzeźbiony w kamei, nieco wydatny, chrząstkowaty, pociągły. Mały wąs ledwie-ledwie przysłaniał foremne usta. Na owalu twarzy i na brodzie znać było śniady ton po ogoleniu zarostu. Ciemne i gęste, ale już siwiejące włosy były krótko przystrzyżone i zaczesane na

bok od przedziału na lewej stronie czaszki. Człowiek ten mógł mieć lat czterdzieści pięć lub sześć, ale młodość jeszcze nie znikła z tej twarzy i postaci. Wszystko w nim było harmonijne i jakby dopasowane w sposób wysoce doskonały. Ruchy swobodne, naturalne i niewymownie zgrabne nadawały się do rysów twarzy i jej wyrazu. Każde spojrzenie i każdy gest były szczególnie, możnaby powiedzieć, nieodwołalnie, kategorycznie piękne i stanowiące ostatni wyraz tego, co być powinno w danych okolicznościach, chwili i miejscu. Coś niepospolitego, nakazującego bezwzględne posłuszeństwo, władczego było w każdym uśmiechu, spojrzeniu, ruchu równych, skrzydlatych brwi, w każdem skinieniu ślicznej ręki i cichem słowie. Widać to było od rzutu oka, że pod osłoną tych kształtów, tak zastanawiająco doskonałych, istniał i działał niezłomny rozum, a same rysy oblicza były tylko zewnętrznemi doskonałości jego symbolami.— Lecz w tem pięknie twarzy widać było również łamanie się uniesień, milczenie pasji, zatajenie, opanowanie, zastygnięcie w lodowaty spokój tortur duszy. W błysku przejrzystych oczu, w badawczem, inkwizytorskiem ich spojrzeniu strzelała niekiedy wewnętrzna furja, która jednak niezwłocznie nakazowi czegoś wyższego stawała się uległą.

Mały Hub nie widział, oczywiście, tych cech

nieznajomego pana. Przez swoją senność z upodobaniem na niego patrzał. Wszystko w nim bardzo mu się podobało: krótkie futro z potrzebami, — podspodnia kurta szara, prosta, jakby myśliwska czy wojenna, — grube buty, takie same, jakie były w szafie u ojca, szanowane i czyszczone ze starannością, „napoleońskie", o których stary Michcik wyrażał się ze szczególnem nabożeństwem, jako o tych, co się dobrze zasłużyły w pochodzie na Moskwę.

Gość rzekł:

— Trzeba zaraz położyć spać małego.

Olbromski z posłuszeństwem rozebrał Huba i położył na łóżku, niegdyś matczynem, w sąsiedniej stancji. Łóżko stało naprost drzwi, więc Hub, otulony już kołdrą, widział ze swego miejsca, jak gość, zostawszy sam na sam z ojcem, naraz zbliżył się do ostatniego i objął go ramionami. Mały jeszcze przez chwilę postrzegał, jak ojciec nachyla się i z pokorą usiłuje pocałować rękę przyjezdnego pana. Lecz oto kamienna senność ogarnęła dziecięce jego ciało,—światło zgasło i roztoczył się przed oczyma świat zgoła inny, pełen widziadeł.

Tymczasem gość, Kazimierz Machnicki, usiadł przy stole i, nachylony do Olbromskiego, rzekł:

— Przyjechałem specjalnie do ciebie.

— A czemuż kazałeś jechać stąd na sandomierski trakt?

— Dla niepoznaki. Miałem zamiar tam zanocować w jakiejkolwiek wiosce, a nazajutrz wyjść o świcie i lasami dostać się znowu do ciebie.

— Czemuż to taka ostrożność?

— Ostrożność i kwita. Źle stoi nasza sprawa.

— Kiedy wyszedłeś z więzienia?

— Rok temu, ale jestem pod dozorem szpiegów.

— Jakżeś im się wymknął?

— Wymknąłem się. Zmyliłem ich czujność, udając chorego obłożnie. Przekradłem się, żeby ci dać znać. Miej się na baczności!

— Czemu? — pytał Olbromski, mrużąc oczy i wpatrując się w gościa.

— Stało się coś niewiarygodnego, coś, co zaprzeczyło wszystkiemu na ziemi... — mówił Machnicki spokojnym szeptem. Obejrzał się znowu na zamarznięte okna, na zamknięte drzwi. Słuchał uważnie, jak wiatr śwista wokół domu. Począł mówić z cicha, bez jakiegokolwiek wzruszenia:

— Jeden człowiek, za którego dałbym był rękę prawą,—nie!—dałbym był gardło,—i to nie!—dałbym był głowę,—ten człowiek nas wydał.

— Kto? — spytał z jękiem gospodarz.

— Nie powiem imienia.

— Skądże wiesz?

— Z aresztów i połączeń widzę, że tylko ten człowiek mógł takie rzeczy wiedzieć i wydać.

Popadł w zadumę. Uśmiech pogardliwy przewinął się na zimnych, zaciętych jego wargach, gdy mówił niemal do siebie, patrząc w drgający płomień świecy:

— Jakie katusze musiał przeżyć ten człowiek, co przenieść, co ujrzeć wokoło siebie, jeżeli on wydał! Była to granitowa prawość, nieustraszone męstwo, święta wierność, zaklęty honor. Przypatrzyłem się wszelkiej podłości,—prostej, jak u Nagórskiego, złożonej, judaszowej, jak u Karskiego, wmyśliłem się we wszelkie szelmostwo szpiegów, w tchórzostwo, idące do drzwi zdrady,—i zdało mi się w pysze mojej, żem już wszystko widział. Teraz przyszedł na mnie sztych — nie miecza, nie szpady, nie topora, nie noża...

— Nic cię nie rozumiem... — mruknął Olbromski.

— Mało mam czasu. Wiedz, że albo musisz uchodzić co tchu za granicę, albo przygotuj się na porwanie lada dzień.

— Taka to wieść...— westchnął Rafał.

— Lecz przed jakąkolwiek twoją decyzją, ja cię jeszcze chciałem wziąć w służbę dzieła. Cóż postanowisz?

Olbromski powiódł dłońmi po obrzękłej zna-

gła twarzy, do której krew napłynęła, po nabrzmiałych, jak strąki, żyłach skroni. Pokasłując, rzekł zwolna:

— Za granicę... w każdym razie... nie, nie ujdę. Dokąd że to mam iść? Tu mam oto... dom...

Po chwili w zamyśleniu, bezdźwięcznie poruszył wargami. Machnicki posłyszał to niewypowiedziane słowo:

— Hub...

Mówił, przeczekawszy chwilę:

— Ty jesteś jeden, tyś tylko jeszcze został na wolności z dawnego braterstwa mularskiego. Reszta w więzieniu, albo w rozproszeniu. Musisz, zanim cię wezmą, to znaczy jutro rano, jechać w drogę aż na Wołyń i przestrzec całe Narodowe Patryotyczne Towarzystwo, jeżeli jeszcze jest na wolności tamten odłam.

— Jutro rano?— pytał Olbromski z twardem posłuszeństwem.

— Sam widzisz. Jeżeli utworzyli nowe związki, niechże je od siebie co tchu odetną, wyznaczywszy zarząd. Niech papiery palą, nici przecinają i czekają na uwięzienie. Sam wszystko, co tylko masz pisanego u siebie, masz zaraz zniszczyć. Ja ci pomogę.

— Nie wiele tu mam. Wszystkie papiery trzymam zakopane w pewnej skrzynce, w ogrodzie.

— A nikt nie widział miejsca?

— Nikt. To jest... Nikt, prócz tego starego sługi.

Machnicki roześmiał się szyderczo.

— Ten człowiek nie powie... — zauważył Olbromski.

— Niema takiego, któryby nie powiedział.

— Ten człowiek...

— Jeżeli wydał tamten, on, — posłuchaj, — brat — „Likurg".

— Likurg... — wyszeptał Olbromski, cofając się z przerażeniem.

Machnicki siedział z głową podpartą na ręce. Twarz jego stawała się sztywną, niemiłosierną, wreszcie srogą aż do okrucieństwa. Począł mówić:

— Nie wierz nikomu! Nie wierz nawet sobie, bo możesz popaść w obłęd — i w obłędzie wydać. Ażeby być panem swego umysłu i nawet w obłędzie nie wydać, trzeba w swój umysł za dnia i w nocy wbijać jedno jakoweś hasło, któreby przetrwało wszystko, sam rozum, a nawet śmierć.

Rafał nachylił się i słuchał, gdy tamten mówił.

— Dla mnie takiem hasłem było zdanie, które mówiłem i pisałem na wszystkie pytania, dawane mi ustnie i na piśmie przez dwa lata.

— Jakież to zdanie?

— „Albo wiem i nie chcę powiedzieć, albo nie wiem i w takim razie nie mogę powiedzieć".

Idź teraz sam do ogrodu, wykop ową skrzynkę i przynieś tutaj.

Olbromski namyślał się.

— Wstań i wykonaj, com powiedział!—rzekł gość.

Gospodarz podniósł się ociężale, wyszedł do izby, gdzie spał Hub i długo tam czegoś szukał. Zamykał i otwierał szafy, przeszukiwał wnętrze kufrów. Wreszcie wyszedł, niosąc w ręku małą siekierkę i gracę na długiem stylisku. Nie rzekłszy słowa, wyszedł z pokoju.

W domu nastała cisza. Wiatr wzdychał u węgłów i huczał na poddaszu. Machnicki siedział z głową podpartą na ręku, zatopiony w myślach. Zwolna jego twarz stawała się mniej sztywną, łagodniała. Powiódł oczyma po bielonych ścianach dworu, po starych-prastarych meblach, dawnych sprzętach, po wizerunkach marszałków napoleońskich, wiszących tam i sam, po sczerniałych podobiznach Kościuszki i księcia Józefa... Wstał z miejsca i więziennym obyczajem, wskutek odruchu nieświadomości, począł na palcach chodzić z kąta w kąt izby gościnnej. Od ruchu jego postaci płomienie świec chwiały się w różne strony, a cień wałęsał się po ścianach, powale i kątach. W jednej chwili, dla samego siebie niespodzianie, ujął w rękę świecę i tak samo na palcach, cichaczem wszedł do sypialni sąsiedniej. Przysłonił dło-

nią płomień i patrzał na uśpionego chłopczyka. Hub chrapał, w twardym śnie pogrążony. Ręce jego były rozrzucone, bezwładna głowa wbiła się w głębinę poduszki. Pod zwichrzoną czupryną widać było czoło białe, jak płatek śnieżystej róży. Policzki i uszy były ponsowe, tryskające zdrowiem. Rozchylone usta przypominały pąk kwiatu co się pod słońcem rozwija. Nocny gość oparł się piersiami o krawędź łóżka i przypatrywał się śpiącemu dziecku. Myśli jego stawały się radosne, piękne, pełne świętego uniesienia, jak ten uśpiony cud życia,—płynęły przez duszę, jak sen na jawie. Ominęły wszelkie kryjówki żalu, skrytości mściwych wyrzutów, odeszły—odeszły ode złego i stały się czyste. Ukochane oczy kobiece, słodycz głosu, rozkosz marzenia,—wszystko szczęście było nisko, daleko... Myśl się wzniosła nad niziną opuszczoną jak gdyby anioł wszystko widzący. Lecz nagle wicher nieubłagany uderzył w jej skrzydła, wyłamał je ku dołowi, zwichrzył i potargał. Patrząc na uśpionego chłopca, gość myślał:

— Przyszedłem, żeby ci zabrać ojca... Mój mały, mój mały!... Kiedyż ja ci go zwrócę? Czy ci go zwrócę?

Wpatrzył się uparcie, pilnie, przenikliwie, jakby chciał zobaczyć oczyma sny tej małej istoty, a może przyszłe życie człowieka, który z niej wy-

rośnie. Skupił w jedno wszystkie siły swej duszy i błogosławił temu dalekiemu życiu.

Dał się słyszeć szczęk klamki. Rafał Olbromski wracał zaśnieżony, ze skostniałemi rękami. Niósł skrzynkę, okutą blachą. Postawił ją na stole i podważył wieko. Zagrzawszy nad ogniem ręce, wyjmował stare druki i pisma. Wszystko, cokolwiek tyczyło się Wielkiego Wschodu Narodowego, Wolnomularstwa Narodowego, dawne okólniki kapituły i listy z poszczególnych lóż, wszelkie papiery, pochodzące od komisji naczelnej Towarzystwa Patryotycznego, odkładał pośpiesznie na bok. Machnicki zbliżył się i obadwaj przeglądali nawet listy prywatne. Jeżeli znaleźli cokolwiek niebezpiecznego, odkładali na stronę. Gdy cała szkatułka zbadana została do samego dna, Olbromski przejrzał jeszcze swe papiery najbardziej osobiste i część z nich znowu włożył do wnętrza. Wszystkie inne papiery zanieśli obadwaj do komina, który się wysuwał aż na środek izby. Gospodarz wydobył z popieliska rozżarzone węgle drzewa i podłożył je pod papiery. Buchnął wnet płomień i pożarł wszystko. Patrzyli obadwaj w posępnem milczeniu na płomień, dopóki nie zamienił tego stosu na górkę fioletowej perzyny, po której złote iskry błądziły. Wówczas zabito znowu skrzynkę i Olbromski miał ją odnieść na dawne miejsce w ogrodzie. Przed wyjściem odezwał się:

— Czemuś to kazał spalić? Szkoda mi! Miałby był chłopiec po mnie pamiątkę, gdy dorośnie. I takby jej nikt nie znalazł, bo Michcik, ten sługa, który o skrzynce wiedział, skonałby pod kijami, a nie wydał miejsca, gdzie skrzynka leżała...

— Wydałby, czy nie, tego nie wiesz. Skoro jeden człowiek wiedział, należało zniszczyć. Nie miałeś prawa trzymać tych papierów. Amatorowie bazgranin! Niech syn twój żyje sam, nie w historyi ojca myślami się wałęsa. Odnieś skrzynkę i zakop w innem miejscu!

Rafał wyszedł. Machnicki wziął krzesło i usiadł przed kominem, gdyż świece już dogasały. Myśli tego człowieka stały się teraz zaćmione. Użalał się przed tą tlejącą perzyną, która strawiła owoc tylu wysiłków, prac i uniesień w dziedzinie idei, — że nie ma sam kąta, domu, noclegu, schronienia w ojczyźnie, lecz jest poszturchańcem pana, własnością na postronku, którą kara pędzi z miejsca na miejsce. Uczuł, że nie tylko sam jest taki, lecz nadto musi wydzierać dom i schronienie tym najlepszym, którzy je jeszcze posiadają, a nie wydzierać nie może. Wspomniał na pogasłych śmiercią samobójczą w więzieniu, mocnych i niepotomnych, dębowe pnie zrębu ojczyzny, Dobrzyckiego i Koszuckiego, — przeliczył w pamięci słabych i struchlałych, podłych, nikczemników i łotrów. Równy oddech śpiącego dziecka, który sły-

chać było z sąsiedniej izby, popychać się zdawał jego myśli wyżej i dalej. Moc niewiadoma rozpętywała się w nim. Poczuł w sobie znowu dawną, tylekroć przetrąconą siłę, rozkosz i przekleństwo swej duszy. Rozeznał ją w sobie, harpię woli, potężne swe zdrowie, które, jak kość w goleni, było żelaznym drągiem przełamane. Patrzał znowu na jawie w dobro zamknięte w mózgu, w pomysły i formy doskonałości, obronione aż do najdrobniejszych szczegółów, — w przeciągu samotnych lat nauki i doświadczenia, na wojnie i w pokoju, w słońcu swobody i czasu mroków więzienia zważone i zmierzone,— jak stały się śmieciem zagłady. Rozumiał, że się w nim rozpala przygasły więzienny gniew, że poczyna kipieć, jak lawa w wulkanie. Znał go, ten straszliwy, niewidzialny, skryty i niemy, bezdenny gniew, który siła woli w ciągu lat ściskała i skupiała w szczelinach szaleństwa duszy. Wiedział, że z jego tajników wybucha piorun, nad którego strzeleniem nie panuje rozkazanie umysłu i że nieopisany grzmot rozpaczy wstrząsa wtedy posady rozumu. Uzbroił się przeciwko sobie i zdusił wszelkie uniesienie. Wola wyniosła się ponad wszystko i stała znowu zimna, spokojna i przemądrzała. Myśl wróciła z przepaści na ścieżki wykute w skałach, wyżłobione w kamieniu bezsenną ducha robotą.

Świece zgasły. Gdy Olbromski powrócił, wy-

szukał świece nowe i zapalił. Wówczas znowu zasiedli przy stole. Machnicki zaczął dyktować marszrutę podróży. Olbromski miał jechać niezwłocznie, nazajutrz, miał jechać wciąż, nigdzie się dłużej nie zatrzymując, na Opatów, Zawichost, Lublin. Miał się następnie udać w „obwód" wołyński, podolski i kijowski, dotrzeć do Związku Templaryuszów, zobaczyć wskazanych ludzi. Późno w nocy skończona została narada. Gospodarz przyniósł pościel. Gość położył się w pierwszym pokoju na sofie. Nim usnął, słyszał, że Olbromski chodzi z latarnią po domu, zbiera i składa rzeczy, otwiera i zamyka szafy, kufry, skrzynie, znosi skądś stare, skórzane wojskowe juki i tłomoki.

Był jeszcze zupełny mrok, gdy go obudziło trzaskanie ognia. Wysoki, chudy i żylasty chłop znosił naręcza ośnieżonego drzewa i kładł je do komina. Śliczny ogień buzował w czeluści głębokiej i strzelał na izbę iskrami. Machnicki przypatrywał się palaczowi, zakrywając swą twarz i udając, że jeszcze drzemie. Chłop był w krótkim do kolan kożuchu i w grubych juchtowych butach. Z jego wyprostowanej figury i sprawnych ruchów znać było, że to dawny żołnierz. Oblicze jego było gładko wygolone, z pozostawieniem na górnej wardze krótko przyciętego wąsa. Włosy siwe były nisko przystrzyżone. Twarz i postać surowa. Palacz kładł polana w komin i, klęcząc przed ogniem,

grzał od czasu do czasu zgrabiałe ręce. Po krótkim, lecz twardym śnie Machnicki doświadczył uczucia rozkoszy. Cieszyła go myśl, że jest zdala od więzień i miast. Podobał mu się ów człowiek, klęczący przed ogniem. Pomyślał:

— To jest pewnikiem ów Michta, czy Michcik, „wierny sługa".

W pewnej chwili wszedł do pokoju Olbromski. Sługa wstał z kolan i zwrócił się sprawnie twarzą do dziedzica. Olbromski dał mu znak, żeby mówić pocichu, wskazując posłanie gościa. Machnicki słyszał rozmowę:

— Wyjeżdżam na polowanie w dalekie strony.

Michcik podniósł brwi i bez zdumienia, lecz ciekawie patrzał w oczy pana. Blask ognia padał na jego twarz spokojną i rozumną.

— Zajmiesz się tu sam wszystkiem. Bydłu w porę zadawać, ludzi w czas budzić, młocki z uwagą pilnować, omłot dobrze mierzyć, zamykać pilnie śpichlerz, obory i stajnię.

— Długo to będzie onego polowania? — wykrztusił Michcik, jąkając się zajadle.

— Długo.

— Tydzień, dwa?

— Zapewne dłużej.

— Niby jak?

— Cóż ci do tego? Tak będzie, jak ci mówię! Chłopca mi dzisiaj odwieziesz do szkół, od-

dasz w ręce tej pani, gdzie był przed świętami. Będziesz na niego baczył. Oka nie spuścisz. Gdybym zaś bardzo długo nie wracał...

— Jakoż długo?... — warknął Michcik.

— Może tak być, że i bardzo długo!...—zaperzył się szlachcic.

Stary żołnierz pokiwał głową.

— Twoja rzecz,—ciągnął Olbromski,—baczyć na chłopca. Gdybym, mówię, nad miarę długo, co już własnym rozumem zmiarkujesz, nie wracał, zaczniesz po kolei sprzedawać jałówki co młodsze, najprzód Latoszkę, Siwą, tę Knapińską, a za stancję chłopca będziesz pilnie, na termin płacił, wszystko porządnie i za kwitami. Bieliznę mu co tydzień posyłać czystą przez umyślnego i co się da z pieczywa, wędliny, powideł, orzechów... Będziesz sam wiedział, co dać i ile. Gdyby zaś,—słyszysz?—i owo zgoła nie starczyło gotówki, wyprowadzisz parę cugową, gniadego wałacha i Oskę na jarmark i sprzedasz sam, własnem rozumieniem. A przecie mi, do kaduka! baczyć, żeby takich koni nie marnować!

Michcik, pilnie panu w oczy patrząc, przybladł. Wyprostował się jeszcze bardziej, ręce po sobie.

— Gniadego i Oskę na jarmarku sprzedać?— rzekł po długich wysiłkach, jakby chcąc wbić sobie w pamięć ten rozkaz niewiarygodny.

— Pieniądze schowasz w trzos, ten, com go na Moskwie miał. Ten ci zaś już dziś darowuję. Zważ, co za dar i oceń! Wprost z jarmarku pojedziesz do miasta. Żeby cię zaś nie napadli, gdzie pod Wygodą, skoro się zwiedzą. To też krócice obie wziąć za pas, a w sekrecie, nie pokazać po sobie, że się broń ma. Za wszystko stricte płacić gotowym pieniądzem. Ubranie co wtorek opatrzysz mu własnem okiem, buty, koszule, majtki, czapkę, kurtkę, płaszcz wyczyścić, a jeśli dziury, zaraz naprawić. Jeżeli na nic—Zelika zaraz wołać i szyć z nowego sukna, za gotowy pieniądz. Napominać mojem imieniem, żeby się dobrze uczył, sprawował. Pilnuj, doradzaj, naganiaj! Gdyby zaś, czego Boże broń!—zachorował, tam przy nim dzień i noc masz spać wpodle, a pielęgnować! Jeżeliby kto krzywdził, srogo bronić. Żołnierską w nim duszę krzepić, twardość hartować, po naszemu... Sam wiesz...

Michcik milczał, coraz bardziej w miarę przemowy znieruchomiały. Gdy Olbromski zamilkł i patrzał w ogień, sługa wyjąknął:

— Jakoż to!

— Dosyć!

— Czy się ta znowu, znowu...—zaniesło?...

— O tem milczeć!

Ale stary nie milczał. Zapytał sekretnym sposobem:

— Z Niemcami, czy zaś z Moskwą?

— Kiedyś się dowiesz.

— Jakoż obcym powiadać?

— Na polowanie pojechał w dalekie lasy. Lada dzień wróci. A więcej nic niewiadomo.

— Gniadego i Oskę na jarmark...

— Teraz idź mi, obroki zasypać, a szczodrze trzem parom. Jedna para pójdzie do miasta z tobą i małym, — ta zaraz z południa. Druga, cugowa, kutemi saniami pójdzie w inną stronę, na odwieczerz. Trzecia pójdzie żółtemi saneczkami, siwą fornalką. Ta ze mną, całkiem na noc. Idź mi sanie ładować! Wicek ze mną pojedzie. Ty do miasta. Stasiński kutemi saniami.

— A Stasiński w którą stronę?

— O tem milczeć.

Michcik wyszedł.

Skoro tylko drzwi się za nim zamknęły, Machnicki porwał się z posłania, umył i odział co prędzej. Już słaby brzask dnia zaglądał przez szyby zamarznięte i do połowy okien grubo zasypane śniegiem. Gdy poczęli rozmawiać z gospodarzem domu, z sąsiedniego pokoju dał się słyszeć głos młodszego pana Olbromskiego. Junior wstawał z pośpiechem, wdziewał buty i ubranie. Ojciec począł mu w tem pomagać ze szczególną, iście koleżeńską pieczołowitością. Gwarzyli o czemś swojem, o snach, wczorajszem błądzeniu i przy-

godach tej nocy. Wnet mały licealista wyszedł do pierwszego pokoju i w sposób przepisany szastnął nogą w kierunku nieznanego gościa. Gość witał go z niewymowną serdecznością. Trzymał jego małą rękę w swej dłoni i nie mógł jej jakoś żadną miarą wypuścić. Przyglądał się, a przyglądał jego twarzy. Mały był czerstwy i urodziwy, tęgi i zażywny. Włosy, zmoczone wodą, jeżyły się szczotkowato na jego głowie,—wypucowana twarz miała kolor czerwonego jabłka. Wnet wszedł Michcik, niosąc imbryki i farfury, zawierające kawę i śmietankę, na starej tacy. Wszyscy trzej zasiedli do śniadania. Rafał Olbromski pił i jadł ociężale. Myśli jego przerzynały się przez istny chaos, nawał i ogrom wzruszeń. Wszystko spadło nań nagle w ciągu tej jednej nocy. To też zgoła nie mógł mówić, pochłonięty przez zwichrzone myśli. Hub przypatrywał się gościowi spod oka. Mierzył go, oglądał, spuszczał oczy i znowu wracał do badań. Machnicki szybko załatwił się ze śniadaniem i zapragnął wyjrzeć na świat, zwłaszcza, że dzień się już zrobił zupełny. Prosił jednak o umożliwienie mu wyjścia w sposób taki, żeby go najmniej ludzi widziało. Wobec tego, że Rafał Olbromski był nadzwyczaj zajęty, Hub podjął się przewodnictwa po Wyrwach.

Ruszyli tedy przez boczne drzwi. Zamieć zimowa już ustała,—choć podmuchy wiatru jeszcze

od czasu do czasu przeciągały. Wówczas z czubów i przełęczy zasp dymiły się lotne, łatwo zwiewne pyły śniegowe. Słońce wzeszło za lasami, za borami i błękitna jasność niewysłowionego wdzięku napełniała wszystek przestwór. Powietrze było przezroczyste, nieskalane. Dalekie góry i ciemne lasy były ośnieżone do cna, pokryte jasną oponą. Po nocnym huku ranna cichość miała w sobie wartość niewymownego ukojenia. Zaspy były tak wielkie i tak monstrualnych postaci, że te ich kształty wskazywały dowodnie, jak potężna była nocna burza. Od wielkiego modrzewia, którego śliczna postać o kolorze delikatnej rdzy rzucała się w oczy po wyjściu za drzwi domu, zwisały z gałęzi i łączyły się z ziemią chusty śniegowe tak cienkie i zaopatrzone w strzępy i zęby, że były namacalnym obrazem polotności i zadymki.—Wszystkie gałęzie drzew i drzewek pouginały się pod ciężarem czystego puchu. Na płotach i po sztachetach snuł się wełnisty baranek białopuchy. Ostrza balas powdziewały ogromne i czubate czapy. W dali zagaja, krzaki, chrósty znikły pod jednolitą śniado-białą powłoką. Machnicki ujął swego towarzysza za rękę i zeszedł z nim w śniegi. Brodzili w nadobnym, zwiewnym puchu, ciesząc się na równi każdym obrazem i każdym szelestem. Nikogo nie było w ogrodzie i pozapłociu dworskiego obejścia, nikogo w polu i na hory-

zoncie. Gościniec zadęło krzyżowemi sąsiekami zasp, — ścieżki poznikały, furtki ogrodowe ledwo było widać. Poszli tedy przez tę, która była przed burzą otwarta, a teraz miała zaspę wysoką na wrotni. Śmiały się do przechodniów ogrodowe drzewka, niedawno posadzone, w swych słomianych chochołach z plecionej kłoci. Nagiemi prętami kiwały dwie stary wierzby pod płotem, rzucając tym ruchem w serce małego Huba mętną boleść nie do zniesienia. Tam to, niżej, obok ścieżki wysadzonej agrestowemi i porzeczkowemi krzewy, których tylko najwyższe czubki wyglądały ku słońcu, tuliły się pomiędzy sobą gile i szczygły, mocno cienkiemi łapkami obejmując zimne pręty. Pędy porzeczkowe zwisły ku ziemi pod ciężarem szczyglim, a puch śniegowy sypał się z pod nastroszonych podgardzieli i brzuszków. Szczygły przekrzywiały głowy i wypukłemi oczyma przyglądały się intruzom, powierzając sobie o nich jakieś krytyczne uwagi. Młodszego intruza znały dobrze, gdyż sypał im zawsze siemię lniane. Dziś nie przynosił siemienia, to też gile i szczygły poczęły uskarżać się na niego swą niepojętą, a nieprzychylną dnia tego gwarą proletaryacką. Gdy się zbliżał, coś w ich stronę pokrzykując w swej gwarze chłopczyńskiej, zrywały się z miejsca, nie tyle — z przestrachu, ile z chwalebnej przezorności. Siadały wnet na rózgach sąsiedniej

krzewiny, żywo dyskutując o całem zajściu, nie bez gestykulacyi ogonkami. Czerwone gile sfruwały również ze swych stanowisk, lecz jeszcze bardziej ociężale, niż pobratymcy.—Świergot szczygli był po swojemu radosny, a jego natarczywość świadczyła o wielkim apetycie. Ptaszki przekrzywiały głowiny, a dzioby ich, osadzone jak gdyby w czerwonych piastach, skrzydełka, muskane jasnożółtemi smużkami, tworzyły w białości powszechnej prześliczne zabarwienie. Podmuchy wiatru podwiewały ich wzorzyste sukienki, na które,—tak się widzom zdawało,—zorza niewidoczna spłynęła pierwej, niż na błękit i białość śniegów.

Hub przeprosił gościa, dość, co prawda, niezrozumiale, — że go na chwilę opuści. Pobiegł, śnieg na wsze strony rozpryskując, i wkrótce wrócił z sakwą, uczynioną z worka, jakiego się używa do wyciskania sera. Na widok tej sakwy wszczął się niemały rozruch, tumult i gwałt w społeczeństwie szczyglem i gilem, — świadczący o dobrych stosunkach potomka rodu Olbromskich z wymienionemi zespołami ptasiemi za tych odległych czasów, które tu przyszło nam opisywać. Hub rozwiązał swą sakwę z powagą, uroczyście i wśród pewnego rodzaju perory. Powtórzyć dosłownie tę przemowę stanowiłoby po upływie tylu lat, w tej chwili, trudność nie do przezwyciężenia, to też ją, jako szczegół mniej ważny, opuszczamy.

Udeptał następnie obcasami i podeszwami w punkcie, którego topografię znał, oczywiście, lepiej, niż jego milczący towarzysz, pewien rodzaj klepiska. Śnieg nie stawiał oporu, poddawał się łatwo podeszwom i obcasom, zwłaszcza, że Hub wykonywał pracę podstępnie, żywo, a jakby w prysiudy. Ruchy jego niespodziane zlewały się w jakiś taniec, który należałoby nazwać ptasim. Machnicki pomagał w przedsięwzięciu swemi wojskowemi butami, ale na krańcach tylko terenu i nieśmiało, gdyż nie był świadom właściwej metody prysiudów, jakie w danym przypadku czynić należało w tych obcych dlań krajach, a nadto wątpił, czy jego inicyatywa dobrze będzie widziana i przyjęta. Miejsce dobrze ubite zajaśniało równą powierzchnią w zagłębieniu i Hub wyłożył pierwszą emisję ziarna w tem Prytaneum. Zarówno szczygły jak gile rzuciły się na plac z ordynarnym zapałem, wydając okrzyki częstotliwe, świadczące o niezmiernej smakowitości konopnego siemienia. Wielkie, szybkie i zaciekłe powstało zajadanie, nie przepuszczające ani jednemu ziarenku. Aliści z dalekich stron, od czarnego młyna i wielkich olch, nadleciały istne tabuny wróbli. Czarniawa tego pospólstwa obsiadła czuby płotu-pleciaka, okalającego ogród, rozmiotła na wsze strony mnóstwo pyłu śniegowego i ze swarem rzuciła się na resztki pastwy. Hub, jako samowładny, ale oświecony

władca, rzucił między te szare skrzydełka, czerwone podgardla i nakrapiane brzuszki nowe garście, jednę i drugą. Ale dobroczynność despotów choćby i najbardziej oświeconych, szybko się wyczerpuje, zwłaszcza, jeśli w worku braknie naprawdę siemienia. Hub wysypał wszystko, co było, do ostatniego ziarenka, przewrócił worek na nice, i wewnętrzny śpiczasty róg okazał zgromadzeniu... Ale ani zawiązanie worka w węzeł, ani inne, prawdę głoszące, gesty nie wywarły dobrego wrażenia. Przeciwnie, wszystko przyjęte zostało z oziębłą nieufnością, a nawet z niedowierzająco-drwiącym szczebiotem, — jak to bywa u zgłodniałego tłumu. Hub odszedł z tego miejsca ptasiej żarłoczności, niosąc pod pachą worek, a w sobie poczucie spełnionego obowiązku. Niósł jeszcze coś, z czem wydać się nie chciał przed nieznajomym panem: żal za gilami, żal za szczygłami, których barwy wielorakie wiły mu się pod powiekami, tworząc zaiste czerwone i żółte łzy.

Biegł tedy w dół ogrodu, po zadętych ścieżkach, pełnych teraz takiego wdzięku, jakiego jeszcze nigdy nie widział na ziemi,—chyba w snach, które się czasem śnią w dzieciństwie. Na dole obadwaj z Machnickim rozgarnęli nogami zwiewną zaspę, która zajmowała otwór furtki i wyszli nad staw, rozciągający się tuż za płotem ogrodu. Teraz nie było go wcale widać. O jego istnieniu świad-

czyła tylko nadzwyczajnie równa powierzchnia i dwie ciemne przeręble, obłożone wokół grubemi bryłami wydobytego lodu. Na prawo był młyn czarny, ogromny, posępny, skryty za pagórkami i groblą. Nawisły jego dach siedział na tak niskim kadłubie, utopionym zresztą w zaspach, że się wydawało, jakoby stał wprost na ziemi. Okap tego dachu, spoidła pogródek, przecznice koła wodnego obwieszone były teraz mnóstwem najcudniejszych sopli lodowych. Wpośród ich lśnienia, migotań, niewymownie delikatnych barw obracało się powoli tajemnicze, wielkie czarne koło, — doskonały i potężny obraz wiecznego nawrotu pracy wioskowej, przetwarzania się jej bez końca i tożsamości, która wciąż idzie tam, skąd wyszła, — piękno, podobizna i wyraz życia wsi, wiecznego stania w miejscu. Na końcu stawu złociły się takroczne trzciny, których przydęte kity uwydatniało ranne słońce. Tuż za pogródkami był na grobli wzgórek, stanowiący, widać, odwieczną, naturalną ostoję, w którą z dwu stron grobla wrosła, zatamowując bieg strumieni. Ten wzgórek obrośnięty był wielkiemi olchami. Wśród grubych pniów, ze strony burzy ośnieżonych srebrzyście, stała drewniana figura jakiegoś świętka. Hub nazwał go przed Machnickim świętym Janem. Kloc ten, z drzewa rzeźbiony prostacką ręką snycerza, był już zmurszały i popękany. Śniegi go teraz zadęły

do połowy, na ramiona i na piersi wdziały mu nową, przezroczystą komżę, na głowę mitrę tajemniczego kształtu. Machnicki zbliżył się do figury i tam przystanął. Hub na widok lodu i ślizgawki, prawdę powiedziawszy, zapomniał o gościu i obowiązkach przewodnika. Rozpędzał się siarczyście po gładkim śniegu i ślizgał daleko w wyszorowanej podeszwami, czarnej smudze szczerego lodu. Gdy biegł, lód dźwiękał pod jego obcasami. Buzia chłopca zaczerwieniła się, jak rumiane jabłuszko...

Machnicki stał śród olch, na wzgórku, patrząc się pilnie w ów świat, przed oczyma roztoczony, tak nieopisanie piękny, — i w postać wyrzeźbioną z drzewa. O czemś swojem, najbardziej własnem, czem z nikim na ziemi nie byłby się w stanie podzielić, o duchu swoim wewnętrznym rozmawiał z biednym świętkiem wioskowym. Był to bowiem jakby obraz widomy jego własnej mocy, która jest bardziej wieczna, niż świat, i niedoli bardziej głębokiej, niż słabość kunsztu snycerza, który wykonał to dzieło. Zdało mu się widzieć na spękanej drzewnej twarzy, pod zasnuciem śniegowem uśmiech szczęścia, który jego własne serce przenikał, zapalenie się duszy ku świętości. Myśli jego stały się niejasne i niedające się wytłómaczyć na mowę. Rozgorzałemi oczyma patrzał na ten obraz świętej woli, która przecie nie zginęła i ostała się w ludzkiej pamięci, na tę pamiątkę jako-

wegoś męczeństwa, które serca ludzkie na wieki wchłonęły. Śnieg omotał ten symbol świętości swemi zasłonami i wdział nań swoją powłokę, przypominającą jakoby wizerunek samego wichru, utrwalony w materyale. Ten śnieg przywodził przed oczy duszy potęgę wichru, lecącego w ludzkiem sercu nad jego nieudolną świętością. Przychodzień skarżył się świętemu, jak nie może przenijaką miarą dać sobie rady z zewnętrzną przemocą świata i jak nie może dać sobie rady ze złamaniami, szczerbami i pęknięciami swej duszy. Wskazał oczami na młyńskie koło, obraz pracy świętego polskiego ludu, który tyle wycierpiał, a nijak nie może wyjść na swoje. Wyjawiał, że o męce tego ludu nie może przenigdy zapomnieć i że musi bronić dobra, które jest w nim zawarte, martwe, skazane na to, żeby bezpłodnie marniało. Wzdychał z głębiny o tem, jak wola duszy prawej targa się w Polsce bezustanku tam i sam, niby serce dzwonu, bijące wiekuiście w spiż przeszkody. Przeklinał, że nic, jeno głos skargi wypada z zamachów jego zaciekłej mocy, z zawziętego wytrwania i z bezdennej boleści uderzeń. Wyznawał, że kto nie może złamać berła mocy krótkiem narzędziem woli i kto nie może poradzić swej duszy, żeby się uległa, jak pies u jakowegoś proga, czekając na kość jałmużny, ten musi, jak ów świętek, zaiste zwrócić oczy

w niebiosa i szukać w nich oczu współczujących i współwidzących.

Na nowo czuł w sercu wolność, której dotykalne wyobrażenie w długiem więzieniu był stracił. Na nowo czuł w żyłach siłę i żądzę szczęścia. Pogarnęły się ku jego oczom wdzięczne lasy, daleko rozpostarte po wyniosłych górach,— położyły się przed jego władczym wzrokiem dalekie - dalekie rozpadliny, samotniska, pola, uwrocia i ugory, jeszcze niedotknięte pługiem. Mówiły doń dzieje swego życia wąwozy, zarosłe chróstami i zamiecione głęboką zawieją. Nawzajem on im rzucał, jakoby ziarno nasienne, wieść o wielkim pochodzie, o największym, jaki świat widział,—za nic podjętym,—o największym wodzu. Patrzał w marzeniu na zapomniane widziadło nieprzeliczonych wojsk, idących przez nieprzebyte ruskie śniegi. Wielkie bitwy, marsze, bezprzykładne szarże, zwycięstwa, klęski,—Dubienka, Uściług, Zamość... Wspomniał na drugą wojnę, którą był moskiewskiemu mocarstwu wydał sam, kiedy on, niezwyciężony Napoleon, runął i znikł, — na spisek przemądrzały i na straszliwą zdradę, z braterskiego serca wyduszoną. Z uśmiechem zimnej, a bezdennie radosnej rozkoszy spoglądał w jedyną pocieszycielkę po utracie wszystkiego, w myśl swą, w swoją formułę: „Albo rzecz, o któ-

rą jestem pytany, jest mi wiadomą, albo — nie. W pierwszym przypadku postanowiłem nic nie wyjawić,—w drugim nic wyjawić nie mogę". Spojrzał jeszcze raz, a nanowo, w tę myśl, jakoby w głębinę nieskończenie długo szlifowanego kryształu i znalazł, że ta formuła jest w istocie matematycznie doskonałą. Była tak wytoczona z ducha, zdrowa, niepołomna i radosna, jak obszar zimowy, zasłany śniegami, jak czysty błękit niebieski i jak wschodzące z za gór niewidzialne słońce. Uśmiechnął się do tej myśli swej, pociechy jedynej, którą był wydrążył z nicości, z okrucieństwa doli, z hańby i uczynił syntezą matematyki ducha polskich ludzi, którzy na tej ziemi są i będą kiedykolwiek w boju, w walce, w męczarni upadku.

Hub wreszcie spostrzegł, że rola gospodarza inne nakłada obowiązki, niż zażywanie ślizgawki w chwili, gdy gość nie wie, w którą stronę podążyć. Zbliżył się tedy z zawstydzeniem i wyjąknął, że grobla prowadzi na tamten brzeg doliny. Machnicki chętnie poddał się woli swego przewodnika i szedł po jego małych śladach. Stąpali po przydętym lodzie, czarnym pod zewnętrzną powłoką. Hub się ośmielił. Opowiadał tedy o głębokości wód, szczególniej w zakręcie rzecznym, gdzie nurt wpada do stawu,—o kolosalnych kłodach rosochatych drzew, które leżą w tych głębiach, —

o wielkim szczupaku, zjadającym młode kaczęta, gdy się je nieopatrznie puści na wodę, — o przywarach okoni, łowionych na wędkę i o swych własnych przygodach podczas połowu linów w więcierze... Krążyli po tafli stawu, gwarząc o sprawach żywota okolicy. Wyszli na brzeg przeciwległy i puścili się w górę. Krzyż, stojący między jałowcami, wskazywał, w którą stronę dąży droga. Opłotki z żerdzi były teraz, jak szkielet, na którym zawisła urocza cielesność śniegowa. Jałowce z prawej i lewej strony, zaniesione do cna, przeistoczyły się w czarodziejstwo kształtów najfantastyczniejszych pod słońcem. Jaskinie i przejścia podspodnie, kopce i szczyty strzeliste, przedziwne doliny, kopuły i wnęki... Jakże się stało wesoło! Oto z krzykiem porwały się stadem kwiczoły, żerujące w zaciszu na jałowcowych gałęziach. Z dzwonnym pokrzykiem poniosły się w modrą dal. Został po nich w uchu dźwięczny klangor, a w oku lotny połysk. Na drzewie jarzębiny, widzialnem w odległości, jemiołuchy ćwierkały, jakby trzęsąc się z zimna. Hub miotał się wśród zasp, powiadając gościowi niestworzone historye o jemiołuchach i kwiczołach. Ale oto znagła zagadnął:

— A jegomość pan jest wojskowy?

— Nie, kochaneczku.

— A jegomość pan był wojskowy, tak jak tatko?

— Byłem dawniej.

— A w jakich jegomość służył?

— Et... w różnych...

— To i na Moskwę jegomość chodził?

— Na Moskwę chodziłem.

— Razem z moim tatusiem?

— Nie koniecznie razem. Twój tatuś był jeździec, a ja piechur.

— To jakiż jegomość jest, — pan pułkownik, czy pan kapitan?

— Tylko major.

— A kiedy tatuś, słyszałem, mówił do jegomościa: „Kochany szefie"...

— Byłem swego czasu pomocnikiem szefa sztabu w dywizyi jednej pod generałem, nazwiskiem Kosiński, gdyśmy na Moskwę ciągnęli. Byłem także szefem batalionu. Dlatego tatuś nazywał mię ze swej łaski „szefem", bo u nas zawsze się tak do dawnych wojaków mówi: na kapitana — „majorze", a na majora — „panie szefie"... Taki już zwyczaj.

Hub rozważał powzięte wiadomości w milczeniu. Po chwili, z głębokiem przekonaniem, choć grzecznie i głosem pełnym szacunku oświadczył:

— Nie wiem, jak to można służyć w wojsku, być oficerem, a potem nie służyć. Jabym tam wiecznie służył!

Machnicki jakoś zawstydził się. Mówił z upokorzeniem:

— Czasami takie jest położenie, że służyć nie sposób...

— No, a dla czego?

— Jakżeby ci to wytłómaczyć? Mały jeszcze jesteś, przyjacielu. Nie mogę ci tego jeszcze wyłożyć.

— Ja rozumiem...

— Widzisz... Honor nie pozwala.

— Jakiż to jest ten „honor", proszę jegomości? Tatko tosamo mi mówił, że „honor" nie pozwalał służyć. Ale ja nie rozumiem wcale takiego honoru.

— Tak... Widzisz, dawniej naszym wodzem był wielki wojownik, Napoleon...

Hub wtulił głowę w ramiona, przyczaił się, usłyszawszy to imię. Z zaiskrzonemi oczami szeptem spytał:

— A jegomość pan go widział?

— Widziałem, kochanku.

— Blisko? Jak? Tak samo jak tatuś?

— Tak samo. Nawet-em z nim rozmawiał...

— Jegomość pan?... A o czem? Kiedy?

— W izbie chłopskiej, daleko, w Rosji... Mapa leżała na stole, w piecu ogień się palił, iskry strzelały. Daleko wrzała bitwa. Pogrom... Pokazywałem

mu na mapie miejsca, tłómaczyłem rozmaite rzeczy. On się pytał...

Machnicki nie dokończył zdania i poszedł dalej. Hub pobiegł za nim, wołając:

— Ale pan mi o tym honorze nie powiedział.

— O honorze... — mruknął Machnicki w zamyśleniu. — To trudne dla ciebie, mój bracie, to trudne. Za malutki jesteś, żebym ci miał takiemi sprawami głowinę zaprzątać.

— A kiedy ja rozumiem!

— Cóż ja z tobą mam począć? Dawniej był naszym wodzem wielki wojownik, Napoleon, a później został naszym wodzem nie wojownik, lecz mistrz na placu musztry. Ten wielki książę nie chciał w nas szanować nieszczęścia i nienawidził naszej czci.

— Czy to prawda, że ten wielki książę... ma nos mopsa, głos ropuchy, a rzęsy jeża?

Twarz Machnickiego stała się szara, posępna i surowa. Oczy jego zaciągnęła ciemność. Mówił do dziecka:

— Nie mów o tem nigdy głośno, do nikogo, nigdy! Naucz się milczeć! Nie powtórzysz tego słowa już nigdy?

— Nie powtórzę.

— Jeżeli mi przyrzekniesz, że już nigdy nie będziesz tego głośno mówił, powiem ci, co to znaczy honor.

— Będę milczał.

— A więc... Byli oficerowie, co z Napoleonem odbyli pochody, bili się na południu i na północy w stu bitwach i co sami bywali wodzami. A kiedy weszli do wojska polskiego pod wielkim księciem, musieli występować na paradach na równi z nowozaciężnymi. Tych dawnych wojaków wódz naczelny nie lubił. Począł ich o byle frontowe przewinienie poniewierać, nieraz bardzo srogo. Był oficer Ślaski, którego przed frontem skopał i skłuł ostrogą. Innych znieważył w taki sposób, że tylko krew mogła tę obelgę żołnierza zmazać. Tego nie bardzo zrozumiesz, ale tak było. Wyzwać na pojedynek wielkiego księcia za zniewagę nie mogli. Wystawić ojczyznę na zemstę za zabicie w uniesieniu, w pasyi — nie ważyli się. Nie mogąc żadną miarą zmyć zniewagi, ani żadną miarą nie mogąc jej na sobie przenieść, postanowili sami męczeńską śmiercią umierać. Skoro tedy wielki książę znowu sponiewierał na placu jednego oficera, ten podszedł do baryery, wyciągnął szpadę, rękojeść oparł o baryerę i rzucił się na tę szpadę, aż go na wylot przeszła. Padł twarzą w piasek. Inni odbierali sobie życie pod pomnikiem króla Jana. Przed śmiercią pisali proste listy, adresowane do przyszłych Polski pokoleń, tłómacząc, dla czego giną. Tak zginął Wilczek, Wodziński, Biesiekierski, Nowicki, dwaj bracia Trembińscy, Herman. Wszy-

scy oficerowie batalionu pierwszego pułku strzelców pieszych postanowili zgładzić się dobrowolnie, odebrać sobie życie, gdy ich wielki książę niesprawiedliwie skarał. Chwila już na to była przeznaczona. Cofnęli wyrok swój na dobrowolną śmierć dopiero wówczas, gdy wielki książę cofnął rozkaz, który im uwłaczał. Pamiętaj ich nazwiska i raduj się, że byli na naszej ziemi, bo byli to ludzie waleczni, którzy honor wyżej cenili, niż życie, którzy polski honor zasłonili tarczami i obmyli własną krwią. Wiesz teraz, co jest honor?

— Wiem.

W wyobraźni dziecięcej ukazał się oficer, żywym krokiem biegnący do baryery na placu, z obnażoną w ręku szpadą. Oczy ujrzały, jak ów odwraca nagłym ruchem szpadę, kieruje ją ku piersi i w milczeniu radosnem na ostrze się rzuca. Zdało się dziecku, że mu nad głową skrzydła szumią... Wzrok się rozognił i włosy spłonęły, jakby od ognia.

— A wielki książę na to patrzał? — zapytał towarzysza.

Machnicki uśmiechnął się zjadliwie:

— Patrzał ze środka złotolitego sztabu. Ale w nim musiało serce zemdleć i drżeć, jako liść, od tego widoku. Patrzały batalyony, ustawione w czworoboki. Wtedy to ja wyszedłem z wojska. A twój tatuś to samo.

Biały od słońca, iskrzący się tysiącem blasków, jasny dzień rozwidnił się nad przestworzem. Lśnienie srebrzystych lodów, sopli, przemarzłych kolein przecinało widownię w tysiącznych kierunkach. Puchy, zawisłe na prętach drzew i czubach krzaków, na żerdziach płotów, po krzyżach i kiściach bylin, poczęły osypywać się i dymić. Dolatywał skądś zdala radosny głos kwiczołów. Przemknęły jemiołuszki stadkiem barwistem, z drzewa na drzewo. Machnicki i Hub szli w milczeniu, ciesząc się niewysłowionem pięknem zimy.

Ale oto od strony dworu dało się słyszeć nawoływanie. Hub poznał głos ojca, wzywający go do powrotu. Machnicki zawrócił. Gdy szli po własnych swych tropach, wyciśniętych w tem najcudniejszem pustkowiu, więzień doznał głuchej odrazy na myśl, że ma wracać do ludzi. Serce jego stało się znowu święte i przeczyste, jak te poranne, nieskalane śniegi, niewinne jak dziecko, co się koło niego snuło. A przecież sam począł w nie sączyć jad mądrości, wysiedzianej w więzieniach, wyciśniętej ze swych starych, okrutnych i wstrętnych cierpień. Potwornemi wydały mu się nauki, które w serce dziecka sączył,— nędznemi czyny, które w ten dom zdala widny przyniósł,— lecz nadewszystko wstrętnymi wydali mu się ludzie. Każdy z nich, kogo tylko miał spotkać na swej drodze,— był to brat,— i każdy mógł go wy-

dać, jak tamten, „brat Likurg". Nie wierzył już nikomu. Wierzył jeszcze w siebie. Ale wiedział o sobie, że podlega, tak samo jak inni, chorobie niewiadomej i wszystkim lękom, zmorom, strachom, trwogom, upadkom i podłości, która z choroby się lęgnie. Wiedział, że co w nim jest wielkiego, to jest ze zdrowia,—że wielkość ducha—to jest zdrowie. To też obejrzał się w przestrzeń, zaniesioną zdrowiem niezmiernych śniegów — i żegnał je oczyma, jakoby widok namacalny wielkości swej duszy.

Poszedł z chłopczykiem ku zabudowaniom dworskim. Minęli znowu staw, okrążyli gumno z drugiej strony i weszli na podwórze przejściem obok stodół—wprost do stajni. Kupa nawozu dymiła się tam w czystem powietrzu, jak przyduszone ognisko. Hub wprowadził gościa do stajni ze znajomością drogi i pewnością kroku. Przeszli odrazu do gródzy, w której przebywała Łyska. Zaledwie Hub zjawił się w stajni, z tej gródzy dało się słyszeć pochlebne, a raczej przedchlebne rżenie. Kobyła wykręcała się na miejscu, ile na to pozwalała uździenica, i witała swego przyjaciela i dobroczyńcę. Była to ładna, kasztanowata źrebica, ze strzałą na czole i białością w okolicy pęcin przednich nóg. Hub nie przyniósł jej wprawdzie chleba, ale za to mnóstwo karesów, pieszczotek, pozdrowień i pożegnań, — miał ją bowiem

dziś za parę godzin i to na tak długo, bo na całą zimę, opuścić. Machnicki, przechadzając się z przyjemnością pomiędzy końmi, zaglądając im w zęby i lustrując nogi, spostrzegł od niechcenia, że Hub płacze i to gorzko, przytulony do szyi Łyski. Dla niepoznaki major usunął się w dalszą część stajni i zajął się tam końskiemi obserwacyami, lecz z goryczą widział, że mały nie opuszcza łysinej grodzy.

Po długim, długim czasie Hub przeszedł do grodzy sąsiedniej i tam począł grubym i srogim głosem pokrzykiwać na konie cugowe i na karego ogiera szczególniejszym sposobem, który przypominał do złudzenia głos głównego furmana, Jacka Skowrona. Machnicki zbliżył się wtedy do Huba, czując, że żal już się może w małem sercu przesilił. Ale gdy stanął w pobliżu, spostrzegł, że łzy kapią wciąż sekretnie wprawdzie, ale im sekretniej, tem rzęsiściej.

Widząc, że sprawa źle stoi, ujął Huba pod rękę i począł mu gwałtownie a dziwnie pięknie opowiadać historyę swego pięknego wierzchowca. A historya była taka:

Był wierzchowiec arab, czarny jak noc, a zwał się „Wrony". Chodził był pod panem swym, szefem batalionu, na wyprawę moskiewską, brnął przez dalekie śniegi i błota, przez rzeki i bezdroża. Niósł sławę i niósł niesławę. Rżał mężnie w boju i ratował życie w ciągu nocy odwrotu. Widział

był tryumf i pogrom, wielkość i nędzę, przecierpiał wszystko złe, pokonał okropną moskiewską zimę, aż po wielkiej wyprawie i trudach najcięższych przyszedł pod panem swym w odwrocie do fortecy Zamościa. Zawarła się forteca, wojska rosyjskie obległy Zamość. Cztery brygady artyleryi rosyjskiej, każda po dwadzieścia dział, rzucału kule i granaty do twierdzy. Ta twierdza miała żywność na trzy miesiące, a broniła się przez dziewięć miesięcy. Dwa tysiące żołnierzy umarło w lazarecie. Gdy nie starczyło chleba, czyniono wycieczki w okolicę pod ogniem nieprzyjacielskim, nie odpasując oręża zbierano zboże. Wioski okoliczne zostały spalone. Lecz chleba nie starczyło. Wreszcie chleb całkiem ustał. Żołnierze dostawali połowę racyi mięsa końskiego. Oficerowie żyli w nędzy, a konie swe oddawali na zabicie. Przyszła kolej na „Wronego". Wyprowadzony został bojowy koń, dostojny biegun. Przyszedł doń pan na pożegnanie, ostatni raz pogładził jego bujną grzywę, ostatni raz zatopił w jego oczach pożegnalne spojrzenie. Za chwilę żołnierz przebił serce rumaka — w oczach pana. Patrzał pan spokojnie, jak rozbierano mięso towarzysza wiernego, nosiciela nadziei polskiej na niepodległość po moskiewskim rozłogu... A wkrótce niestało koni i żołnierz począł wyjadać koty, później szczury, myszy, wrony...

Hub słuchał tej powieści, lecz w dalszym ciągu pochlipywał. Smutkiem przejmował go każdy widok i każdy sprzęt. Gdy wyszli na podwórze, ujrzał w wozowni Michcika, ładującego sanie, i serce mało nie pękło mu z żalu. To sanie do Kielc, któremi za parę godzin odjechać trzeba. Ze zwieszoną głową i ciemnością w oczach przyszedł w towarzystwie Machnickiego na ganek dworu i wszedł do pokoju. Rafał Olbromski siedział przy stoliku pod oknem i zatopiony był w swych rejestrach gospodarczych. Głośno rachował, pisał, coś dodawał i odejmował. Machnicki zasiadł w głębokim fotelu i, podparłszy głowę rękami,—popadł w zamyślenie.

W przeciwległym kącie sąsiedniego pokoju mieściła się wielka szafa jesionowa. Hub otworzył drzwi owej szafy, przyniósł jakowąś drewnianą skrzynkę i w niej począł układać starannie uzdę na Łyskę. Uzdeczka była z żółtego surowca, misternie szyta przez nielada majstra-rymarza. Wędzidła miała błyszczące, sprzączki mosiężne. Hub żegnał się z uzdeczką. Czyścił starannie wędzidła, polerował sprzączki, — prostował i wygładzał rękami wodze. W sekrecie przed wszystkimi, tyłem zwrócony do światła,—każdą cząsteczkę tej uzdy całował: najprzód wędzidło, później każdą sprzączkę, naczelniki i podpinki, wodze... Całość później starannie, czule wkładał do skrzy-

neczki, zawijał w jakieś papiery. Ale i już ułożone w schowaniu pieścił jeszcze rękoma. Nachylony nad skrytką, z dłońmi zanurzonemi w rzemieniach, trwał w niewymownym smutku. Machnicki wstał ze swego miejsca, podszedł z tyłu i uderzył go lekko w ramię. Hub podniósł nań oczy pełne łez. Gość schylił się i podniósł go, mimo protestu, z ziemi. Pocałował w usta i począł mówić do ucha jakieś nauki niewątpliwe, czy pociechy, sekretne zaklęcia na najbardziej zabójczy smutek, na zupełny upadek duszy, na żal i najbardziej niezwalczoną boleść...

Niepostrzeżenie, niby na skrzydłach jaskółki, przeleciał czas południowy. Spożyto niewykwintny obiad. Zaraz po obiedzie zajechały przed ganek pierwsze sanie. Powoził Michcik, który miał odwieźć panicza do Kielc. Rafał Olbromski sam pakował rzeczy i bieliznę syna w kuferek drewniany. Układał wszystko pieczołowicie, po stokroć oglądając rzecz każdą. Dawał rady, nauki napomnienia, rzucał krótkie pociechy i wesołe żarty, za któremi pełno było gorących łez... Wyniesiono kuferek i umieszczono na koźle obok Michcika. Włochate konie fornalskie dymiły się na zimnie i pokrywały się osędzielizną. Stary sługa Michcik siedział nieruchomo, wyprostowany na koźle, w kożuchu, pokrytym szarem suknem wojskowem i w baraniej czapce, przypominającej

grenadyerską bermycę. Hub po sekretnych płaczach zdobył się na odwagę i spokój. Usmiechał się nawet i żartował z Machnickim, gdy go sadowiono w siedzeniu i gdy ojciec otulał mu nogi kożuchem. Olbromski raz jeszcze przycisnął dziecko do serca — i kazał ruszać. Dzwonek, zawieszony u dyszla, zadźwięczał, kute sanie zaskrzypiały na chwytającym po odwilży przymrozku. Wnet sanie zjechały z pochyłości wzgórza. Rafał Olbromski stał w ganku z odkrytą głową, rozmawiając usilnie z Machnickim. Gdy Michcik zjechał na brzeg rzeki od młyna pędzącej, którą się w bród przejeżdżało,—i gdy się wziął na skos, ażeby z obmarzniętego lodowiska zjechać w wodę i na ukos z tamtej strony wydostać się, Olbromski głośno i długo o tem się rozwodził, że Michcik doskonale jeździ końmi, że, poza wadami starości, jest to bądź co bądź wypróbowany sługa... Zdawałoby się, że ktoś podsuwa wątpliwości co do zalet starego sługi, a on musi koniecznie udowodnić, że tak nie jest, jak mówią. Za rzeką sanie szły zwolna pod górę. Dawał się słyszeć pożegnalny dźwięk dzwonka, bijący wolno — wolno — wolno...

Hub wstał w sankach, obrócił twarz w stronę domu, kłaniał się czapką nisko, długo, wielokrotnie. Oczy Rafała Olbromskiego zaczerwieniły się, twarz drgnęła...

Patrzał w milczeniu, szarpiąc wąsy, jak sanki

wydobyły się na szerszą drogę, wjechały w ulicę wioski i, to kryjąc się za chatami, to ukazując w przerwach, pomykały w dal... Dzwonek słychać było coraz rzadziej i dalej... Wreszcie doleciało ostatnie jego uderzenie... Ucichło... Rafał patrzał jeszcze na koniec wsi, ale już nic nie ujrzał. Machnicki spytał:

— Żona twoja dawno nie żyje?

— Pięć lat już... — odrzekł opryskliwie.

Zapanowała chwila milczenia.

— No, bracie, — rzekł Machnicki, — na nas czas. Kiedy się i gdzie spotkamy?

— Czy się spotkamy?

Głos jego stał się twardy i rozkazujący:

— Bierz się w kupę! Do dzieła! Nie dla nas łzy, kobiety, dzieci!...

WYCIĄG Z KATALOGU TOWARZYSTWA WYDAWNICZEGO W WARSZAWIE

Abramowski E. Dusza i ciało.
Album malarstwa polskiego. 50 barwnych reprodukcji wyd. I. Lapina.
Andersen. Baśnie. Z ilustracjami E. Dulaca
Arcydzieła literatur obcych. W wyborze i układzie dla użytku szkolnego pod redakcją A. Boleskiego zeszyt I-y Homer. Iljada—Odysseja „ „
Askenazy S. Prof. Napoleon a Polska
T. I Upadek Polski a Francja
— „ „ II Bonaparte a Legjony
— „ „ III
Barrie. Przygody Piotrusia Pana. Z ilustracjami A. Rackhama
Baudelaire Charles. Kwiaty grzechu. Przeł. Cz. Kozłowski
Baumfeld G. B. Klejnoty poezji staropolskiej
Bedier J. Dzieje Tristana i Izoldy odtworzone wedle dawnych legend i poematów. Przełożył Boy. Wyd. drugie
Berent W. Fachowiec. Powieść
Bölsche W. O pochodzeniu człowieka
Brzozowski S. Nim serce ucichło. Poezje
Brzozowski W. Dusza mówiąca. Poezje
Dante Alighieri. Vita Nuova (Nowe Życie) przełożył Artur Górski
Dąbrowska M. Dzieje naszej Ojczyzny wyd. II uzupełnione
— O Zjednoczonej Polsce. Wyd. drugie rozszerzone
— Dzieci Ojczyzny
— Uśmiech dzieciństwa
Garski St. System filozofji t. I. Zagadnienia wstępne
Grabiec J. Dzieje Polski Niepodległej
— Dzieje porozbiorowe Narodu Polskiego
— Dzieje Współczesne (1871—1918). cz. I
— „ „ „ cz. II
Holewiński J. Budownictwo wiejskie
Hryncewicz-Talko I. Prof. Człowiek na ziemiach naszych
Kaden J. Łuk. Powieść
Karpowicz St. Ideały i metoda wychowania spółczesnego
Kasprowicz J. Wybór poezji
— Księga ubogich
Korczak J. Bobo
— Jak kochać dziecko I. Dziecko w rodzinie
— „ „ „ II. Internat.—Kolonje letnie
— „ „ „ III. Dom Sierot
— Józki, Jaśki i Franki
— Król Maciuś. Pierwszy
— Mośki, Joski i Srule
— Sam na sam z Bogiem. Modlitwy tych, którzy się nie modlą
Krasiński Z. Poezje wybrane, w układzie St. Wyrzykowskiego

Kwiatkowski R. Chiakunin-izszu czyli ze stu poetów po jednej pieśni
Lange A. Dywan Wschodni. Antologja poetów wschodnich
Lechoń Jan. Karmazynowy poemat
Leonardo da Vinci. Pisma wybrane. Wybór, układ, przekład i wstęp Leopolda Staffa 2 t.
Leśmian B. Łąka
— Sad rozstajny. Poezje
Limanowski B. Dzieje Litwy
— Historja demokracji polskiej w epoce porozbiorowej t. I, II.
Liryka francuska serja I i II. Przekład Br. Ostrowskiej
Lorentowicz Jan. Polska Pieśń Niepodległa. Zarys literacki
Louys Piotr. Pieśni Bilitis. Przeł. L. Staff
Markowska M. Przejdziem Wisłę przejdziem Wartę... Powieść historyczna
Michał Anioł. Pisma. Przekład L. Staffa
Mickiewicz Ad. Pan Tadeusz. (album) z ilustracjami E. M. Andriollego
Miriam. U Poetów. Przekłady
Nal i Damajanti. Baśń staroindyjska z ksiąg Mahà-Bhàraty. Z sanskrytu przełożył A. Lange
Nalepiński T. Kazia. Powieść
Nałkowska-Rygier Z. Hrabia Emil. Powieść
Nietzsche Fr. Dzieła. Przełożyli: W. Berent, K. Drzewiecki L. Staff i St. Wyrzykowski
— Tom: I Tako rzecze Zaratustra
— „ II Poza dobrem i złem
— „ III Z genealogji moralności
— „ IV Dytyramby Dyonizyjskie
— „ V Zmierzch Bożyszcz
— „ VI Wiedza radosna
— „ VII Jutrzenka
— „ VIII Antychryst
— „ IX Narodziny tragedji
— „ X Ludzkie arcyludzki
— „ XI Wędrowiec i jego cień
— „ XII Wola mocy
— „ XIII Niewczesne rozważania
— Ecce homo (Suplement)
Norwid C. Czarne i białe kwiaty. Wybór prozy w układzie R. Zrębowicza
— Krakus. Tragedja
— Pisma wybr. t. A. cz. I i II. Pisma wierszem. Dział I
— t. C. Pisma dramatyczne
— t. E. Pisma prozą. Dział pierwszy legendy i nowele
— Wybór poezji w układzie Zenona Przesmyckiego (Miriama.)
Novalis. Pisma t. I. Henryk Offterdingen
Ostrowska Br. Chusty ofiarne. Poezje
Panteon. A. Mickiewicz. Księgi narodu i pielgrzymstwa polskiego

Panteon. J. Słowacki. Genezis z Ducha
— Z. Krasiński. Modlitwy
— Sofiści greccy. Wybór i przekład L. Staffa
— Epikur. Myśli
— Kwiatki św. Franciszka z Asyżu wybrane przekł. L. Staffa
— Salomon. Pieśń nad pieśniami
— Leonardo da Vinci. O malarstwie przeł. L. Staff
— Heraklit. Myśli
— Spinoza. Myśli
— Nietzsche. Żart, chytrość i zemsta
— Epiklet. Encheiridion
— Demokryt. Myśli
— Petronjusz. Uczta
— Marek Aureljusz. Myśli
— Pascal. Modlitwy i rozmyślania
— Norwid C. Milczenie
— „ Krakus. Tragedja
Papini J. Dzieje Chrystusa przełożył W. Rzymowski
— Pamiętniki Pana Boga „ „
— Tragedje powszednie „ „
Plutarch Polski. Hugo Kołłątaj przez B. Limanowskiego
— — Tadeusz Kościuszko „ „
— — Walerjan Łukasiński „ „
— — Stanisław Staszic „ „
— — Romuald Traugutt „ „
Poe Edgar Allan. Arabeski t. I i II
Poincaré H. Nauka i hypoteza
— Nauka i metoda
— Wartość nauki
Rabindranath Tagore. Owocobranie. Przeł. L. Staff
Renan E. Żywot Jezusa
Rolland R. Beethoven przeł. M. Zabojecka
— Piotr i Łucja. Idylla tragiczna przeł. M. Zabojecka i H. Bezmaski
Rzymowski W. Polskie-Arcypolskie
Schlaf J. Wiosna. Przeł. i wstęp. zaopatrzył St. Przybyszewski
Siedlecki M. Prof. Jawa. Przyroda i sztuka. Uwagi z podróży
Sieroszewski W. Beniowski. Powieść hist.
— Ocean. Powieść hist.
— Zamorski Djabeł. Powieść dla młodzieży
Słowacki J. Pisma mistyczne w wyb., ukł. i oprac. St. Wyrzykowskiego
— Utwory liryczne. Wybór i układ St. Wyrzykowskiego
Staff L. Fletnia chińska
— Oczy otchłani
— Ogród pieszczot
— Pieśń o skowronku
— Sady
— Ścieżki polne
— Wino miłości

Strug A. Chimera. Powieść
— Dzieje jednego pocisku. Powieść
Szczęsny Al. To co się stało. Poezje
Szpotański St. Adam Mickiewicz i jego epoka t. I. Racyonalizm i romantyzm
t. II. Towianizm
t. III. Działalność polityczna Mickiewicza
Anneksy
Towiański A. Pisma wybrane. 2 tomy
Trojanowski W. Malarstwo włoskie z 40 planszami
Trzebiński M. Stara Warszawa. Album
Tuwim J. Czyhanie na Boga
— Sokrates tańczący
Wasylewski St. Sztambuch. Skarbnica romantyzmu
Wierzyński K. Wiosna i wino. Poezye
Zabojecka M. Powieść o duszy polskiej
Zawistowska K. Poezje
Zieliński T. Religja starożytnej Grecji
— Irezyona. Klechdy attyckie
— Historya Kultury antycznej t. I.
Złota legenda błogosławionego Jakóba de Voragine. Przełożył i wstępem opatrzył L. Staff. Poczet pierwszy
Żeromski S. Biała rękawiczka
— Charitas. Powieść współczesna
— Dla młodzieży. Książka pierwsza
— „ „ „ druga
— Duma o hetmanie
— Dzieje Grzechu
— Echa leśne
— Inter Arma
— Mogiła
— Nawracanie Judasza
— Organizacja inteligencji zawodowej
— Początek świata pracy
— Popioły wyd. nowe 3 tomy
— Powieść o Udałym Walgierzu
— Projekt Akademii Literatury Polskiej
— Rozdziobią nas kruki, wrony...
— Sen o szpadzie i sen o chlebie
— Słowo o Bandosie
— Sułkowski. Tragedja
— Syzyfowe prace
— Turoń. Dramat w 3-ch aktach
— Uroda życia 2 tomy
— Utwory powieściowe
— Wiatr od morza
— Wierna rzeka. Klechda wyd. nowe
— Wisła
— Wszystko i nic. „Popiołów—sprawa druga“
— Zamieć
Żywot chłopa polskiego na początku 19-go stulecia. Do druku podał M. Handelsman.

Przygody poszukiwaczy złota

na północnym krańcu Ameryki

Opowiadanie dla ludu polskiego

Wydanie drugie

Przedruk wzbroniony

GRUDZIĄDZ 1922

Zakłady Graficzne Wiktora Kulerskiego (Gazeta Grudziądzka)

Wstęp.

Złoto...

Słowo to posiada bardzo wielki urok dla ludzi.

Ale bo też złoto jest kruszcem pięknym i szlachetnym. Możnaby prawie powiedzieć, że jest królem pomiędzy kruszcami, podobnie jak lew między zwierzętami ssącemi, orzeł między ptakami, a róża między kwiatami.

Złoto jest też kruszcem drogocennym. Wartość jego ceniono wysoko już w czasach starożytnych. Świadczą o tem wykopaliska ze szczątków pałacy możnowładców, w których znaleziono znaczną ilość naczyń i innych sprzętów ze złota. Wiadomo też, że po odkryciu Ameryki Hiszpanie wywieźli ztamtąd, a mianowicie z Meksyku, kraju inków, całe ładunki okrętowe takich kosztowności. Wreszcie i w naszych czasach ugania się prawie każdy za złotem, z którego się bije monetę, i wyrabia różne cenne przedmioty, służące do ozdoby lub użytku bogatych.

Tak, żądza złota jest nieomal znamienną cechą naszych czasów. Przed złotym cielcem świat się kłania. Złoto daje wygodne życie, wpływ, znaczenie i potęgę. Dla nabycia złota niejeden nawet zaprzedaje swą duszę. Gotów w tym celu popełnić czyn nieuczciwy, hańbiący, jak oszustwo i kradzież. Gazety o tem codziennie donoszą. Ba, ludzie nie cofają się czasem nawet przed najstraszniejszą zbrodnią,

byleby tylko dostać się w posiadanie pieniędzy bogactw — złota.

Dla wielu ludzi stało i staje się złoto przyczyną nieszczęść i zguby. Jakby jakiś szał ogarnął ludzi. Wszystko na oślep tam dąży, gdzie spodziewa się znaleźć upragnione złoto, czyni to, co zdaje mu się zapowiadać złote zyski.

Krótko mówiąc, słowo „złoto“ elektryzuje niejako ludzi. Złoto czarodziejską jakby siłą nęci i przyciąga do siebie ludzi.

Pokazało się to też w sposób nader silnie bijący w oczy przed niedawnemi laty.

W północno-zachodniej części półwyspu Alaski, w Półn. Ameryce, należącym do Stanów Zjednoczonych, oraz na sąsiednich obszarach angielskich posiadłości w Kanadzie znaleziono obfite mnóstwo złota bądź to w większych kawałkach w górach i ziemi, bądź też wielkości ziarn i piasku w tamtejszych rzekach. Wtedy zaczęły do tamtejszych bardzo odległych stron, mimo dzikiej jeszcze przyrody i zimna, mimo braku dróg i środków komunikacyjnych, mimo trudów i uciążliwości podróży, spieszyć tłumy żądnych złota ludzi nietylko z samej Ameryki, lecz i z różnych krajów europejskich.

Wielu sprzedawało na prędce swe posiadłości i dobytek, aby zaopatrzyć się w pieniądze na drogę i dla opędzenia na pewien czas kosztów utrzymania. A wielu było i takich, którzy dążyli do tego obiecanego kraju z gołemi rękoma, w nadziei, że szczęście im będzie sprzyjało i wnet dorobią się upragnionego bogactwa. W niemałej części rekrutowały się zastępy wędrowców z tak zwanych szumowin społeczeństwa. Wybierali się tam

jacy, którzy, jak się to mówi, nie mieli nic do stracenia. Szli ludzie, którym w stronach ojczystych było już za duszno, lub przestępcy i zbrodniarze, chcący ukryć się na dalekiej obczyźnie, gdzie w braku ścisłej kontroli policyjnej ginęli w ciżbie obcych ludzi tak, że ręka karzącej sprawiedliwości dosięgnąć ich nie mogła. Dalej nie zbywało na takich, których pchała do Alaski i Kanady żądza silniejszych wrażeń i przygód oraz urok nowości. Wreszcie zamierzał niejeden w mętnej wodzie ryby łowić i okradłszy współpracujących, czemprędzej z łupem swym się ulotnić.

Wobec tak różnorodnego zbiorowiska ludzi ze wszystkich niemal zakątków świata i tylu niesfornych lub wprost do szpiku kości zepsutych żywiołów, stosunki w tym złotym raju bywały często bardzo okropne. Nikt nie był pewnym swego życia i mienia, o które każdej chwili lękać się było trzeba. Wielu ludzi znajdowało rzeczywiście wiele złota, innym zaś ciężka praca nie przynosiła nawet tyle, żeby módz się wyżywić. A tu handlarze środków żywności, odzieży itp. za swe towary bajecznie wysokie brali ceny. Rozrzutność, hulanki, gra w karty itp. rujnowały jednych, którzy garściami rozrzucali złoto i zapracowane pieniądze. Innych trapiła nędza, choroby i kłopoty.

Tylko ludzie uczciwi, pracowici, trzeźwi i oszczędni dochodzili do celu. Wielu marniało, ginęło. Febra złota stawała się przyczyną ich zguby. Ale nie odstraszyło to innych Coraz to nowe tysiące wychodźców płynęły gęstą falą do tej rzekomo błogosławionej ziemi, aby tam znaleźć wymarzone szczęście, lub wręcz coś innego, bo nędzę, upadek i zatratę.

Do rzędu pierwszych, a więc szczęśliwszych, należało grono poszukiwaczy złota, z którymi w niniejszej powieści zaznajomić się mamy.

Ale i oni niełatwo do tego celu doszli. Życie ich w tamtejszych stronach było, jak zobaczymy, twarde, praca ciężka, niewygody straszne, przygody niebezpieczne. Ale koniec ich usiłowań pomyślnym został uwieńczony skutkiem, gdyż byli to ludzie uczciwi, których zamiarom szczęście widocznie sprzyjało.

Uchwalona wyprawa.

Było to właśnie w połowie kwietnia.

W jednej z zajezdnych oberż miasteczka Selkirk, położonego nad górnym biegiem rzeki Yu kon, spotykamy czterech mężczyzn.

Przybyli dotąd, i to w dwóch osobnych partyach, dopiero przed kilku dniami i stanęli w swej zwykłej oberży.

Wrócili zaś z Kanady. Polowali tam przez dłuższy czas, aby zebrać spory zapas skór i futer. Wyprawa nie była też daremną. Przywieźli bowiem obfitą swą zdobycz myśliwską na wielkich saniach, które ciągnęły psy, do tego miasteczka i sprzedali w pewnem wielkiem towarzystwie handlowem.

Nie brakło im więc grosza.

— Cóż teraz poczniemy dalej? — zapytał w toku rozmowy około 50-letni barczysty mężczyzna, nazwiskiem George White. — Czy wrócimy do swoich, do domu, aby tam w gronie rodziny wypocząć po przebytych trudach?

Tu spojrzał ciekawie na Roya Sibersa, urodziwego i pełnego życia młodzieńca.

Był to jego daleki krewny, który mu towarzyszył w ostatniej wyprawie łowieckiej.

Ale Roy nic nie odpowiedział. Nawet z miny jego nie można było wyczytać, czy pragnie wracać do rodziców, czy też może inne żywi zamiary i życzenia.

Tak samo miała się sprawa z drugim młodym człowiekiem, który znajdował się w ich towarzystwie.

Był to John Hastings.

Rodzice jego posiadali w jednym z dalszych stanów Północnej Ameryki pokaźną

farmę. Ale chociaż był jedynakiem i ojciec pragnął, aby za jego wzorem poświęcił się rolnictwu, ognistej natury młodzieniec nie mógł usiedzieć na miejscu. Przynajmniej na jakiś czas chciał zamienić wygodniejsze ale zbyt jednostajne życie w domu na obfitujące w przygody życie trapera czyli polującego na zwierzynę dla cennych futer. W tym celu przyłączył się za uzyskaną ostatecznie zgodą ojca do tegoż dawnego znajomego, Williama Fermana, który już od całego szeregu lat uprawiał zawód trapera i uchodził za bardzo zdolnego i doświadczonego w tym rodzaju procederze człowieka.

W tej chwili nie wiedział i młody Hastings, co odpowiedzieć na pytanie, stawione przez Georga Whitego.

Milczał.

Milczenie ogólne jednak niedługo trwało.

Przerwał je niebawem Ferman, który wychyliwszy ze swego kieliszka spory łyk wódki, tak się odezwał:

— Kochani przyjaciele! Mam już co do naszej przyszłości gotowy plan w głowie, który wam teraz obwieścić sobie pozwolę.

Oto jestem temu przeciwnym, żeby już teraz wracać do domu. Chociaż w kabzie mamy skutkiem dość szczęśliwego wyniku łowów dość ładną sumkę dolarów, to jednak na nie długo to starczy. W każdym razie nie jest to majątkiem. Byłbym więc za tem, żeby przedsięwziąć coś takiego, co mogłoby nam przynieść daleko większe zyski jak nasze traperstwo, a może nawet przyczynić się do tego, że staniemy się ludźmi bogatymi...

— A cóż to takiego być może? — przerwano mu prawie jednogłośnie.

— Tylko trochę cierpliwości, a zaspokoję waszą ciekawość. Właściwie jednak dziwię się, że moich myśli sami odgadnąć nie możecie. Przecież wszędzie tu teraz głośno o znalezieniu złota w Alasce i pogranicznych jej okolicach Kanady. Już tam pewna ilość ludzi poszukuje tego cennego kruszcu, a wielkie masy innych wybierają się w tamte strony. Dlaczego więc i my nie mielibyśmy spróbować szczęścia? A może nam się uda, jak się to mówi, schwycić je za czuprynę. Jeżeli zaś nagromadzimy całe kupy złota, to i rodzinom naszym się to przyda. Byłoby to hojnem odszkodowaniem za ich tęsknotę z powodu długiej z nami rozłąki. Moje poczciwe babsko z pewnością mi to wybaczy, chociaż ckliwo jej tam będzie bezemnie.

Na te słowa aż się zaiskrzyły oczy słuchających. Żądza nabycia złota wszystkich ogarnęła.

White zaś rzekł:

— Kapitalny to pomysł. W każdym razie warto się nad nim zastanowić. Tylko gdyby nie te uciążliwości podróży i tak ciężka na miejscu praca!

— To prawda — odparł Ferman — że tam po różach stąpać ani bezczynnie rąk zakładać nie można. Ale my przecież wszyscy przyzwyczajeni jesteśmy do borykania się z trudami i przeciwnościami oraz do twardej i ciężkiej pracy. Więc wzgląd na to nie powinien nas odstraszać.

— Dla mnie — zauważył Hastings — ma to nawet wielki powab. Z całego więc serca przyklaskuję myśli, którą rzucił nasz towarzysz Ferman.

— Ja także gotów jestem iść z wami — dodał Sibers, który zaprzyjaźnił się był szczerze z rówieśnikiem swoim i nierad był z nim się rozstawać. — Pragnąłbym nawet wyruszyć jak najprędzej do owej krainy złota, gdyż lubię nadewszystko nowość i przygody.

Widząc gorący zapał reszty, i White oświadczył swą zgodność z ich zamiarami.

Ale tak szybko, jak młodzi pragnęli, owa wyprawa nie dała się uskutecznić. W okolicach, o które chodziło, panowały o tym czasie jeszcze ostre mrozy i leżały wielkie śniegi. Trzeba więc było zaczekać do maja, ażby lody na rzekach spłynęły, gdyż przeprawę wodą uważać należało za najszybszą i najwygodniejszą.

Do tego wypadało poczynić różne przygotowania do drogi, mianowicie zakupić znaczniejszy zapas żywności, gdyż na odludnem miejscu, do którego dostać się mogli, byłoby może trudno wogóle je nabyć. W każdym zaś razie okropna tam panowała drożyzna.

O tem wszystkiem powiadomiony już był doskonale Ferman, który od osób, znających odnośne stósunki, zasięgnął był dokładnych informacyi.

Do jego też praktycznych rad i wskazówek całe grono naszych znajomych stósować się postanowiło.

Na dziś zakończono rozmowę. Był już czas na spoczynek.

Jakby na potwierdzenie i przypieczętowanie swej ugody, trącono jeszcze wspólnie kieliszkami i podano sobie silne dłonie. Potem wszyscy udał się na spoczynek.

Następnego dnia popisali wszyscy listy do domu z doniesieniem o swem postanowieniu. Wysłali też do swych rodzin pieniądze, zatrzymując przy sobie tylko tyle, ile potrzeba było na opędzenie potrzebnych wydatków na urządzenie wyprawy i na pierwszy czas pobytu w dalekich stronach, do których się wybierali.

Następnie zaczęli wszyscy krzątać się pilnie około poczynienia stósownych przygotowań do podróży.

Zakupili kilka worków mąki i spory zapas konserwów, kilka potężnych połci słoniny, sporo kawy i herbaty, miech soli, kilka baryłek wódki itp.

Naturalnie nie zapomniano też zaopatrzyć się w silne czołno i narzędzia i przybory, przydatne do czekającej ich pracy.

Wreszcie nabyto też dwa silne psy, które chciano zabrać z sobą. Psy bowiem, które przyciągnęły ich sanie do miasteczka Selkirk, już na samym początku, uważając je wtedy jeszcze za niepotrzebne, sprzedali.

Początek podróży.

W pierwszych dniach maja zaczęto wszystko pakować na czołno.

Rzeka Yukon była już po części wolna od kier lodowych, więc chciano się spiesznie puścić w drogę. Raz dlatego już, ponieważ pora letnia na Alasce trwa tylko kilka miesięcy, a powtóre zalecało się stanąć na miejscu prędzej, aznim pojawiłyby się tam liczne rzesze innych poszukiwaczy złota. W takim bowiem razie liczyć można było na to, że uda się wybrać sobie do poszukiwań lepszy i donośniejszy kawał gruntu.

Ale zaraz na wstępie podróż ta dała się naszym znajomym nieźle we znaki.

Mówiliśmy, że rzeka Yukon była o tej porze po części już wolną od kier lodowych. Tak, tylko po części, gdyż jeszcze dość gęsto płynęły z wodą kry mniejszych lub większych rozmiarów. A to utrudniało żeglugę tak dalece, że czasami zmuszała konieczność wyciągania czołna na ląd, aby je uchronić od rozbicia lub porwania przez ciężkie kry lodu.

Na szczęście stan ten nie trwał długo. Już po kilku dniach lody pod wpływem coraz silniej grzejących promieni słonecznych prawei całkiem zginęły.

Teraz mogło się czołno daleko raźniej w kierunku swego przeznaczenia posuwać.

Pewnego dnia zauważyli nasi podróżni jakiś zwiększony znacznie szelest i łoskot, który woda w rzece sprawiała. Zrobili też spostrzeżenie, że płynie o wiele szybciej jak dotąd.

Cóż było powodem tego zjawiska?

Oto skaliste krawędzie gór Rocky-Mountains zwężały coraz bardziej dolinę rzeki Yukon, która jednakże w kierunku zachodnim nieco szersza się stawała.

Wnet też ujrzeli, że z owej strony płynie jakaś mniejsza rzeczka, która nieco poniżej wpada do Yukonu.

Prędko więc skierowano czołno do owej rzeczki i wylądowano na północnym jej brzegu.

Był już najwyższy czas po temu. Bo po bliższem zbadaniu wykazało się, że Yukon, skutkiem wcinającej się weń odnogi góry, tworzy tam silny wodospad. Czołnu groziło więc w owem miejscu niechybne rozbicie i zatonięcie.

Swoją drogą tworzyły spadające z wielkim łoskotem z góry w głęboką przepaść masy wody, bardzo piękny widok..

Nasi podróżni stali długo jak wryci na tem miejscu, napawając nim swój wzrok. A w duszy im coś szeptało: Dzięki Ci Boże, że ocaliłeś nas z tego niebezpieczeństwa!

Po chwili nowy kłopot ich zaniepokoił. Nie wiadomo, jak sobie teraz postąpić.

Ale doświadczony Ferman wnet i na to znalazł radę.

Zastanowił się trochę, poczem rzekł:

— Tylko nie traćmy głowy. Dyabeł nie taki czarny, jakim go malują. Po prostu wrócimy na miejsce, gdzie uwiązaliśmy nasze czołno i przenocujemy tamże. Jutro rano zaś przeniesiemy cały ładunek jak również czołno aż poniżej wodospadu. Tam spuścimy znów czołno na wodę, napakujemy na nie cały ładunek i dalej pójdzie jazda na rzece.

Łatwo było wymówić te słowa, ale wykonanie tego zadania było arcytrudne. Tem więcej, ponieważ brzeg był wysoki, skalisty i bardzo wąski, a odległość aż do stósownego punktu wynosiła dwa kilometry z okładem.

Nie można się jednak było ociągać.

Dziarska nasza wiara wzięła się też niebawem rączo do dzieła. Potężne ramiona, szerokie barki i krzepkie nogi spełniły znakomicie swą powinność.

Ciężko było coprawda i pot kroplisty spływał z czoła dźwigających, lecz ostatecznie wszystko bez szwanku znajdowało się na upatrzonem miejscu.

Transport ten zabrał, rzecz jasna, bardzo dużo czasu. Było już pod wieczór, gdy się z nim załatwiono.

Na dziś było dosyć roboty. Wszyscy byli znużeni i głodni. Przyrządzono więc naprędce skromną wieczerzę, aby zaspokoić głód, który wszystkim dotkliwie dokuczał.

Gdy się to stało, zapalili nasi podróżni fajki i przysiadłszy około roznieconego ognia, gwarzyli z sobą jeszcze przez krótki czas.

Pogadanka dotyczyła nie tylko tego, co podczas obecnej krótkiej podróży przeżyli. Myśli ich zwracały się także do drogich ich sercu osób, które het daleko w domu pozostały. Wszak głównie ze względu na ich dobro zdecydowali się na tę daleką wędrówkę.

Ta świadomość napawała ich spokojem i wewnętrzne rodziła w nich zadowolenie. Wzmacniała ich także na duchu, potęgowała energię i pobudzała do wytrwałości na obranej drodze, chociaż już sam jej początek dość przykro odczuć im się dawał.

Taki to potężny wpływ wywiera na człowieka miłość i pragnienie przysłużenia się tym, których się kocha.

Wreszcie znużone całodzienną pracą powieki kleić się poczynały. Powiedziano sobie „dobra one“ i ułożono się do snu. Natura domagała się natarczywie swego prawa. Po wytężającej mitrędze musiał nastąpić wypoczynek.

Ale przedtem każdy zmówił pobożnie modlitwę wieczorną.

Ludzie ci byli z gruntu religijni. Chociaż tak długo obracali się w odludnych okolicach, gdzie nie było ni kościoła ni duchownych, pamiętali dobrze o tem, że dola ludzka zależy od błogosławieństwa i pomocy boskiej, o które kornie prosić należy.

Niespodziani towarzysze.

Następnego poranku wstali wszyscy orzeźwieni i pokrzepieni na siłach.

Zabrali się zaraz po spożyciu śniadania rączo do pracy. Trzeba było bowiem przetransportowane tu wczoraj zapasy ulokować na spuszczonem znów na wodę czołnie.

Podczas tego zajęcia rozległ się nagle donośny odgłos strzału z karabinu.

Ponieważ nasi znajomi dotąd w tej dzikiej i pustej okolicy żadnych ludzi nie spostrzegli, niemało ich to zdziwiło. Postanowili natychmiast zbadać, zkąd ów strzał mógł pochodzić i do kogo był wymierzony.

Wysłany na zwiady młody Roy Sibers, wdrapał się spiesznie na strome wywyższenie nadbrzeżne, zkąd dość daleki roztaczał się widok. Zabrał jednak z sobą na wszelki przypadek swą strzelbę. Taką dał mu radę przezorny zawsze Ferman.

Po upływie kilku minut usłyszała reszta towarzystwa, która była pozostała przy czołnie, głośne wołania ze strony Roya.

W pierwszej chwili zdjął ich niemały lęk. Przypuszczali bowiem, że dzielny młodzieniec znalazł się w niebezpieczeństwie życia. I to tem więcej, ponieważ niebawem padł drugi strzał.

Wszystko więc pędem pobiegło w kierunku, z którego strzał pochodził. Wszystkich jednak wyprzedził John Hastings, który był nietylko najmłodszym z pędzącej jak na zabój grupy, lecz oprócz tego odznaczał się wielką szybkością nóg swoich. A chęć ratowania może w potrzebie Roya, z którym bardzo się polubili, pospiech jeszcze podwajała.

On też najpierwszy stanął na miejscu.

Oczom jego dziwny przedstawił się widok.

Johnowi na szczęście nie zagrażało niebezpieczeństwo. Ale tuż obok niego leżał z przestrzeloną lewą nogą młody jakiś Indyanin. A w oddali widać było czeredę uciekających czerwonoskórych.

Do nich to był strzelił Roy i tak się tłómaczył ów drugi strzał.

Byli jednak już zbyt daleko, więc kula nikogo nie trafiła i łotrzy uszli bezkarnie.

Tak, łotrzy.

Bo oni to postrzelili młodego Indyanina, którego Roy od niechybnej ocalił śmierci.

A kim był ów raniony młody Indyanin?

Był synem naczelnika indyjskiego plemienia Crow. Wioska tegoż plemienia znajdowała się bardzo znaczny kawał drogi od miejsca, na którem rannego tu spotkano.

Młodzieniec, imieniem Muramba, wybrał ię w towarzystwie zastępu podwładnych jego ojcu ludzi na łowy. Ale jak to u młodych ludzi bywa, w zapale myśliwskim pozostawił swe otoczenie w tyle, i sam ze swą strzelbą kroczył dalej. Wtem znalazł ślady niedźwiedzia. Teraz już zapomniał o całym świecie i puścił się chyżo tym śladem, oddalając się coraz więcej od swoich.

Właśnie zoczył potężną niedźwiedzicę i miał do niej wypalić.

Lecz stało się coś wręcz innego.

Z pobliskich gęstych zarośli padł strzał, a Muramba, ugodzony kulą w nogę, runął na ziemię, wydając z siebie głuchy jęk boleści.

Czerwonoskóry młodzieniec zawdzięczał to ciężkie okaleczenie własnym swym ziomkom.

Należeli oni do innego, chytrego i złego

plemienia sąsiedniego, Ribbet, które z uczciwem i spokojnym plemieniem Crow, podległem ojcu Muramby, oddawna w krwawej żyło rozterce.

Przypadkiem i owa czereda łotrów znajdowała się obecnie w tej samej okolicy na polowaniu.

Gdy ujrzeli samotnego Murambę, niegodziwy naczelnik chciał go znienacka zgładzić ze świata. Porwał za strzelbę, wycelował i pociągnął za kurek. Strzał padł, ale chybił o tyle, że nie zabił Muramby, lecz trafił go w nogę, ciężką wprawdzie, lecz nie śmiertelną zadając mu ranę.

I tu szczęśliwy traf ważną odegrał rolę.

Właśnie bowiem w tej chwili, gdy napastnik z bezpiecznego ukrycia strzelał do nieprzeczuwającego nic złego Muramby, ukłół go jakiś owad w rękę. Skutkiem tego ręka mu lekko drgnęła i strzał skierował się o wiele niżej. Inaczej byłby naczelnik Ribbetów z pewnością celnym strzałem na miejscu uśmiercił znienawidzonego młodzieńca.

Jeżeli zaś napastnik nie strzelił po raz drugi, to dlatego, że orlim swym wzrokiem zauważył Roya Sibersa, wdrapującego się na owe nadbrzeżne wzgórze i z tego wnioskować musiał, że tam znajduje się więcej białych i ci niezawodnie Murambie na pomoc pospieszą.

Przed białymi zaś miał zbyt wielki respekt. Wolał więc ze swymi czemprędzej uchodzić, aby się z nimi nie zetknąć, gdyż mu to nic dobrego nie zapowiadało.

Skutkiem tej spiesznej ucieczki był strzał, który ze swego karabinu do łotrów dał dzielny Roy, jak to już wiemy, całkiem bezskuteczny.

Ale zawsze był on zbawcą Muramby, gdyż pojawienie się jego spłoszyło groźnych napastników.

W tej chwili zastajemy całe grono naszych znajomych obok ciężko rannego Indyanina.

Każdy, jak mógł, krzątał się, aby mu przynieść jakowąś ulgę w cierpieniu.

Ferman, który znał się najlepiej na takich rzeczach, zbadał dokładnie przestrzeloną nogę i rzekł z zadowoleniem:

— Na szczęście kość nie została rozbitą ni złamaną. Kula przeszła przez ciało, a tylko lekko nadwerężyła kość. Jestem pewnym, że przy należytej pielęgnacyi rana zupełnie się zagoi.

— Ale zkądże tu w tych dzikich stronach o należytej pielęgnacyi mowa być może! — zauważył White. — Biedak chyba zmarnieje w opuszczeniu, boć i do domu, do swoich, w tym stanie dowlec się nie zdoła.

Naturalnie, że go tu nie pozostawimy samego na pastwę losu. Zabierzemy go z sobą do Dawson-City. Na czołnie naszem znajdzie się dość miejsca dla niego. A gdy się wyleczy, może wracać do ojca.

Ledwie Ferman wymówił te ostatnie słowa, aliści rozległy się w pobliżu groźne okrzyki wojenne. Grono Indyan, liczące kilkanaście ludzi, spieszyło do miejsca, w którem znajdowali się nasi. Karabiny strzymali w pogotowiu do strzelania.

— Muramba! Muramba! — wołali bez przerwy.

Ranny zwrócił się wtedy w kierunku do swych ziomków sądzących, że to biali go postrzelili i w moc swą dostali i uspokoił ich.

Wyjaśnił im, że raczej niegodziwi sąsiedzi ich plemienia wyrządzili mu tę krzywdę, biali zaś zaopiekowali się nim w niedoli. Należy im się więc za to wdzięczność.

Te słowa młodzieńca podziałały też skutecznie na zaniepokojonych w najwyższym stopniu Indyan.

Usłyszeli bowiem po oddaleniu się od nich Muramby, strzał karabinowy. Nie mając pewności, czy strzelił do zwierza, czy też może co innego zaszło, zaczęli go spiesznie szukać. Ale straciwszy ślad, kręcili się w kółku, a odnaleźć go nie zdołali. Wtem padł drugi strzał. Zaniepokoiło ich to jeszcze więcej. Ale teraz już w lepszym posuwać się mogli kierunku. I otóż znaleźli syna swego naczelnika. Bez niego nie śmieli by wrócić przed oblicze ojca.

— A jednak — rzekł Ferman — musicie na razie bez Muramby wracać do domu. My bowiem zabierzemy go z sobą do Dawson-City, ale to w najlepszym zamiarze, aby się tam jaknajprędzej mógł wyleczyć. Skoro to nastąpi, i on wróci do ojca. Powiedzcie o tem naczelnikowi.

— Tak — dodał Muramba — opowiedzcie ojcu memu o wszystkiem co tu zaszło. Niechaj się o mnie nie lęka. Ja w dobrym znajduję się ręku. Mam do tych białych zbawców moich zupełne zaufanie. Pozdrówcie też ojca serdecznie odemnie.

Po tych słowach pożegnali się Indyanie czule z Murambą i oddalili się, aby wrócić do swej wioski.

Biali zaś spieszyli się, aby rannego przenieść do swego czołna.

Młodzi nasi ludzie, Roy i John, pobiegli do owych zarośli, zkąd to poprzednio padł strzał, raniący Murambę. Tam nacięli gałęzi i spory pęk przynieśli do swoich.

Z nich to upleciono na prędce rodzaj noszy. Położono wtedy na nie rannego, podsunąwszy pod głowę liści, aby leżało mu się wygodniej.

Następnie czwórka nasza uchwyciła za wszystkie cztery rogi noszy i ostróżnie unioślszy je w górę, z żywym ciężarem zwróciła się ku rzece.

Nie trwało też zbyt długo, a pochód stanął przy czołnie.

Natychmiast zabrano się do opatrzenia rany czerwonoskórnego pacyenta. Nie zbywało zaś na potrzebnych do tego rzeczach.

Ferman obmył z pomocą Wite'a dobrze ranę czystą wodą. Potem pomazał ją delikatnie jakąś gojącą maścią, a wreszcie nałożyli na nią szarpii i obandażowali.

Rannemu przyczyniło to widocznie ulgi. Chociaż skutkiem dość znacznego upływu krwi i doznanych bólów był mocno osłabiony, teraz przyszedł więcej do siebie, spoglądał nieco weselej i gwarzył z otaczającemi go osobami.

— Rana byłaby na razie opatrzoną — odezwał się teraz White. — Ale pewnie i posiłek potrzebny będzie choremu, aby się trochę pokrzepił na siłach.

Uwagę tę i Ferman, który odgrywał tak gorliwie rolę lekarza, że o posiłku zapomniał, uznał za słuszną.

Kazał więc młodym rozniecić ogień i zagotować wody do herbaty. Sam zaś ukrajał spory kawałek słoniny, wydobył kilka sucharków i podał choremu.

Muramba spożywał te dary z dobrym apetytem.

Był to znak bardzo pomyślny, to też Ferman aż ręce z radości zacierał. Mruczał też poczciwiec pod nosem.

— Jakoś to będzie... Młody i krzepki, do tego syn dzikiej przyrody, to się wnet wyliże... A musi mieć poczciwe serce, bo tak wdzięcznie na nas spogląda... Zawszeć to bliźni, choć ma czerwoną skórę... Obowiązek chrześciański nakazuje w nieszczęściu wspomagać... Jakoś to będzie...

— Jakoś to będzie...

I Ferman odczuwał jakieś wewnętrzne zadowolenie, błogie jakieś uczucie na myśl, że spełnia przykazania miłości bliźniego.

O, gdyby ci wszyscy, którzy posiadają serce twarde jak głaz, którzy troszczą się je-

dynie o siebie samych, a których nędza bliźniego nie obchodzi, nie wzrusza, gdyby tacy, chociażby raz tylko odczuli to szczęście, jakiem darzy świadomość czynienia innym dobrze, z pewnością by się na lepsze zmienili!

Po tym posiłku usadowiono rannego na samem czołnie.

Roy i John przygotowali dlań w tym celu dość wygodne posłanie z futer i kołder.

Muramba mógł się na niem wyciągnąć jak długi, co dla chorej jego nogi bardzo się zalecało.

Wreszcie włożono do czołna i resztę pakunków, które skutkiem znanego strzału pozostawiono na brzegu.

Teraz było wszystko gotowe do odjazdu.

W imię Boże wyruszyła też nasza drużyna w dalszą drogę.

Nie upłynęli jeszcze daleko, a usłyszeli za sobą głośne wołanie, i to we własnym swym języku angielskim.

Wnet też ujrzeli na wysokiej krawędzi brzegu mężczyznę, który wymachiwał żywo ręką, jak gdyby im dawał sygnały.

Skutkiem tego przybili do brzegu, a z czołna wyszli na ląd obaj starsi, Ferman i White.

— Ktoś ty za jeden? — zapytali.

— Amerykanin, jak i wy — brzmiała odpowiedź.

— A dokąd dążysz?

— Tam, dokąd i wy niezawodnie spieszycie. Do krainy złota.

— I to tak samotnie, w pojedynkę w tak daleką drogę!

— Ano, może to i niezbyt rozsądnie z mej strony. Ale jako śmiałek i bywalec

na świecie, postanowiłem na własną rękę szczęścia spróbować. Z Selkirk ma wprawdzie wyruszyć wnet większa ilość poszukiwaczy złota. Ale nie miałem do nich zaufania, bo to, jak się zdaje, włóczęgi i hultajstwo ze wszystkich stron świata. Więc nie czekałem na nich, tylko ich wyprzedziłem. Ale ciężka to jednak przeprawa i kto wie, czybym sam żywy dostał się do celu. Ujrzawszy więc wasze czołno, przyspieszyłem kroku i wołać was poczęłem. Coś mi we wnętrzu mówiło, że będę miał do czynienia z ludźmi uczciwymi. I już wasze oblicza to potwierdzają. Proszę was, zabierzcie mnie z sobą. A nie będziecie mieli czego żałować. Nazywam się Charles Buthley. Przez długie lata pracowałem jako górnik w kopalniach złota, więc znam się doskonale na tej pracy i może wam się przydam. Spełnicie w ten sposób dobry uczynek wobec bliźniego, ale ja będę się wam za to starał odwdzięczyć.

White i Ferman wysłuchali uważnie słów obcego. Potem spojrzeli sobie krótko w oczy.

Zrozumieli się. I jeden i drugi byli za tem, żeby Buthleya zabrać z sobą.

Wszak sił ludzkich do pomocy będzie nam tam pewnie trzeba — myśleli. — A doświadczony górnik może być bardzo cenną pomocą. Nie jest bowiem wykluczonem, że przyjdzie nam rozbijać skały i zakładać miny w górach, aby wydobywać upragniony kruszec złota.

Nie tracąc więc wiele słów, oświadczyli Buthleyowi gotowość przyjęcia jego propozycyi.

Przyrzekli mu też w razie pomyślnych rezultatów pracy stosowny udział w zyskach.

Układ więc wypadł ku zobopólnemu zadowoleniu.

A i John i Roy radzi byli temu niespodzianemu nabytkowi. Nowy towarzysz wywarł bowiem i na nich dobre wrażenie.

Na wysokiej krawędzi brzegu ujrzeli mężczyznę...

To też wszyscy trącili w kieliszki, aby na potwierdzenie ugody popłókać gardło łykiem wódki.

U celu.

Podróż wodą trwała jeszcze prawie tydzień.

W tym czasie nie wydarzyło się naszym znajomym nic osobliwszego, a drobniejszych

szczegółów tej podróży opisywać nie będziemy.

Ograniczamy się więc tylko na zaznaczeniu, że stan zdrowia Muramby znacznie się polepszył. Pielęgnowano go z prawdziwą pieczołowitością, to też rana pięknie się goić poczęła. A i sił z każdym dniem choremu przybywało.

Opowiadania jego o ojcu i wiosce jego plemienia, o walkach staczanych ze złymi sąsiadami, o ciekawych łowach, były miłem urozmaiceniem tej dość jednostajnej i nudnej żeglugi.

Nareszcie — było to około południa siódmego dnia podróży — przybyło czółno do miejsca, w którem rzeka Klondyka, nieco poniżej miasta Dawson-City, wpada do rzeki Yukon.

Nasi byli więc u celu.

Nic dziwnego więc, że pragnęli poznać jaknajprędzej chociażby tylko pobieżnie nowe miejsce swego pobytu.

Zaczęli się przeto ciekawie rozglądać na wszystkie strony.

Po obu brzegach rzeki Klondyki ciągnął się dość długi szereg chat, zbitych z prostych desek. Mieszkali w nich przybysze, którzy na wieść o znalezieniu w tej okolicy złota, czemprędzej dotąd pospieszyli.

Liczba ich wynosiła obecnie kilka set. Lecz nie podlegało wątpliwości, że w najbliższych już tygodniach i miesiącach wzrośnie do kilku tysięcy.

Znajomi nasi pod wodzą Fermana i z pomocą Buthleya wybrali sobie stosowne do wylądowania miejsce. Wylądowano też nie-

bawem z łódki wszelkie przywiezione z sobą rzeczy. Ale mianowicie zapasy żywności należało uchronić od zepsucia. A i o chorym trzeba było pamiętać. Wszak nie mógł zbyt długo pozostawać pod gołem niebem.

Pierwszą więc czynnością, którą na pewnem miejscu trzeba było wykonać, było pobudowanie chat.

Już przy tej sposobności okazało się, jak praktycznym i wielce przydatnym człowiekiem był Buthley.

Nie zwlekając ani chwili, poszedł między osadników, pogadał z nimi i wrócił niebawem z wiadomością, że dwie chaty są wolne. Mieszkańcy ich bowiem, nie znalazłszy tu szczęścia, dalej się wynieśli.

Owe chaty mogli więc nasi przybysze na razie zająć.

Mieli więc na tę noc, a może i na następne dni pewne schronienie, dopóki nie wybiorą sobie miejsca do szukania złota.

Najprzód przeniesiono do jednej z chat zapasy żywności. Dla zabezpieczenia ich od kradzieży miał w niej nocować White i krewny jego, młody Roy.

Drugą chatę przeznaczono dla reszty przybyszów. Umieszczono w niej rannego Murambę. Oprócz tego usadowili się w niej Ferman i John oraz Buthley.

Było tym ostatnim w szczupłej chacie, którą właściwie raczej budką nazwać by można, nieco ciasno. Ale nie tracili dobrego humoru.

— I to już dobrze — mówił Buthley — że mamy wogóle dach nad głową. A im ciaśniej, tem cieplej nam będzie.

— Niema więc złego — wtrącił John — któreby na dobre nie wyszło.

I całe grono naszych znajomych spało bardzo dobrze.

Nawet Muramba prawie wcale się nie budził, lecz spał nieledwie bez przerwy. Bo boleści z powodu swej rany już nie odczuwał, chyba tylko wtedy, jeżeli się przypadkiem uraził. Ale brano na niego taki wzgląd i tak go ochraniano, że pomimo szczupłego miejsca w chacie, wcale się to nie wydarzyło.

Nadszedł poranek.

Zdrowi prędko wstali. Tylko młody Indyanin pozostał na swem legowisku.

Przyrządzono śniadanie. A następnie odbyła się wspólna narada, co teraz w pierwszym rzędzie uczynić należy.

— Musimy naturalnie wybrać sobie kawał gruntu, na którym byśmy nasze poszukiwania za złotem rozpocząć mogli.

Tak odezwał się pierwszy Ferman.

A White przyznał mu słuszność.

Tymczasem, doświadczeńszy od nich w tych sprawach Buthley, wystąpił z następującą uwagą:

— Kawał gruntu w tym celu wybrać sobie możemy. Naturalnie tylko taki, który jest jeszcze wolny i nie ma nad sobą właściciela. Ale na wydobywanie zeń złota lub innych kruszczów, potrzebne jest zgłoszenie go u władzy. Płaci się też za to udzielenie potwierdzenia pewien podatek. A taki, przyznany komuś urzędowo i opłacony kawał gruntu, nazywa się „klem“. Dopiero wtedy, jeżeli się te przepisy wypełni, ma się przywilej pracowania na swym klemie. A ktoby nieprawnie do niego wtargnął i chociażby

drobną tylko część tegoż sobie przywłaszczył, surowej podpada karze.

— To więc chyba granice klemów muszą zostać ściśle oznaczone? — zapytał White.

— Rzecz to prosta — odrzekł Buthley. — Inaczej bowiem nie możnaby rozpoznać, jak daleko rozciągają się poszczególne klemy. Spory, zatargi i krwawe bójki byłyby więc na porządku dziennym.

— A na klemie własnym można się już czuć całkiem bezpiecznym? — zapytał Ferman.

— Niestety — rzekł Buthley — niezawsze tak bywa. Trzeba się ustawicznie mieć na baczności przed złodziejami i różnego rodzaju opryszkami, którzy czychają tylko na to, aby złupić owoc obcej pracy. A liczba urzędników, którzyby strzegli bezpieczeństwa prawowitych właścicieli klemów, jest tylko bardzo mała. Zanim się ich przywołać zdoła, to rabusie ze swą zdobyczą — a nieraz i z życiem ludzkiem na sumieniu — mogą już być het za górami i lasami.

— Niekoniecznie więc pobyt w tych stronach do przyjemności zaliczać można — zauważył John.

Tu dodał prędko Roy:

— A mnie takie życie, pełne niebezpieczeństw tem więcej się podoba. Bo jestem prawdziwym miłośnikiem przygód i niespokojnego życia.

— Prawie nie wątpię — pocieszał śmiałego młodzieńca Buthley — że znajdziesz tu i jedno i drugie w obfitości. Ale bylebyśmy pozostali uczciwymi i Boga wzywali na pomoc, to za łaską Jego, tuszę, z wszystkich tych przygód i opałów cało wyjść możemy.

Temi słowy zakończył ową pogadankę White, który w każdem położeniu odnosił się myślą do Boga.

Teraz uchwalili nasi znajomi, że młodzi pozostaną w chacie przy chorym, a starsi udadzą się do szeryfa po wykupienie sobie przywileju na własny klem w najbliższej jeszcze wolnej okolicy.

Wiemy już, że pod tym względem zalecał się wielki pospiech. Lada chwila bowiem mogli zgłosić się u władzy nowi nań amatorzy. A kto pierwszy, ten lepszy.

Tymczasem Buthley na podstawie swego długoletniego doświadczenia jako górnik, upatrzył sobie już, choć tylko pobieżnie, kawał gruntu, który mu się wydawał obfitującym w złoto.

— Ten klem musi być naszym — pomyślał i naglił do pospiechu.

Grono naszych znajomych musiało wrócić kawał drogi nad rzeką Yukon.

Z daleka powiewała u większej chaty chorągiew angielska. Okolica ta bowiem należała do posiadłości angielskich w Kanadzie.

Tu zastali przybysze urzędnika, który przyjął ich bardzo grzecznie.

Był właśnie tym, który udzielał przywilejów na klemy. Wysłuchawszy więc ich życzeń, wydobył z szuflady mapkę, oznaczył na niej dokładnie przyznamy im klem. A skoro zapłacili wymaganą — wcale niezbyt wysoką — sumę, wręczył im kwit z potwierdzeniem i oznaczeniem rozmiarów i granic odnośnego klemu.

Ów urzędnik oświadczył zarazem, że dla wytknięcia granic w najbliższym czasie, za-

pewne już nazajutrz, stawi się tam jeden z podwładnych mu urzędników policyjnych.

Tak więc ważna ta sprawa została szybko i pomyślnie załatwioną.

Wiadomość ta ucieszyła niemało i pozostałych w chacie przy rannym młodzieńcu. A nawet Muramba, który posiadał wdzięczne serce, brał szczery udział w tej ogólnej radości swych opiekunów.

Tego dnia wszyscy już pozostali w chacie.

Było już pod wieczór i trzeba było pomyśleć o zgotowaniu wieczerzy. Ale niemały co do tego trapić ich począł kłopot. Brakło im drzewa.

I tu znów dopomógł sprytny Buthley.

Odwiedził pewną liczbę bliższych chat i po części za dobre tylko słowo, a po części za pieniądze uzbierał tyle drzewa, że potrzebującym na pierwsze kilka dni starczyć mogło.

A było to tem więcej pożądanem, ponieważ nocą chłód dokuczliwy panował tak, że mianowicie ze względu na chorego należało wnętrze chaty nieco ogrzać.

Zdrowi byli wytrzymalsi na zimno. Jak oświadczył Ferman, wystarczyłyby dla nich kołdry i futra.

Powoli noc zapadła. W chatach zapanowała głęboka cisza. Wszyscy spali.

Praca rozpoczęta.

Następnego dnia stawił się urzędnik, aby wyznaczyć naszym znajomym klem, na którym przysługiwać im miało wyłączne prawo poszukiwania złota.

Pod tym względem była więc sprawa już w porządku.

Ale jednak nie można było w tej chwili zabrać się do pracy, która miała im przynieść złote owoce.

W obec niecierpliwości, którą zwłaszcza młodzi okazywali, rzekł Buthley:

— Trochę więcej spokoju, moi kochani! Jeżeli na klemie znajduje się, jak mam nadzieję, rzeczywiście złoto, to przecież nam nie ucieknie...

— Bo co prawda, to nie ma nóg — przerwał White.

— Ani nam go nikt tak łatwo nie skradnie...

— Mamy przecież silne pięści — wtrącił Ferman — i dalekonośne karabiny.

— Dziś — ciągnął Buthley dalej — musimy wykonać pewną pilniejszą pracę. Klem nasz zanadto jest oddalony od chat, w których dotąd nocowaliśmy. Byłoby nam więc zadaleko, po pracy na noc do nich zawsze wracać. Byłaby szkoda tracić na to tyle czasu. A potem jeszcze jedno. Jeżeli znajdziemy złoto, to musielibyśmy je zawsze do chaty z sobą nosić. To zaś biłoby zanadto w oczy sąsiadów, którzy gotowi by mieć chrypkę na plon naszych trudów. Nie pozostaje nam więc nic innego, jak wystawić chaty na naszym własnym klemie.

— Dobrze. Ale zkąd weźmiemy potrzebnych do tego desek? Wszak o nie tu prawie trudniej jak o złoto!

— To prawda. Ale ja tę rzecz już dobrze obmyśliłem. Oto te chaty, które tak długo stały próżno, dopóki nie założyliśmy w nich kwatery, kupił najbliższy sąsiad od ludzi, którzy je opuścili, aby się przenieść do innej okolicy. Ponieważ zaś on sam ma własnego po-

mieszczenia dosyć, myślę, że za stosownem wynagrodzeniem odstąpi nam je na własność. Trzeba więc z nim o tem pomówić.

Wnet też poszedł Buthley wraz z Fermanem do owego właściciela. Tenże wcale się nie drożył, gdyż mu te chaty były zbyteczne. Sprzedał je za kilkadziesiąt dolarów.

Teraz przywołano do pomocy White'a i Johna.

Chaty wnet rozebrano. Belki, deski i pale przeniesiono na nowe miejsce i tam je ustawiono.

Ale zawsze zeszedł na tem cały dzień.

Do kopania za złotem zabrano się dopiero dnia następnego, i to wczesnym już rankiem.

Nie była to robota zbyt łatwa ani przyjemna.

Trzeba było za pomocą motyk bryły rozbijać i rozkopywać ziemię rydlami. Następnie napełniano nią wielkie sita o ścianach z żelaznej blachy i przesiewano. To co w sieci pozostało, zanoszono do rzeki i tam skrzętnie wypłókiwano.

Wielka to była radość, gdy jeden z młodych naszych znajomych w prawie tak gęstym i lepkim jak ciasto mule znalazł pierwsze kilka ziarn złota.

A więc mamy już kilka „nuggetów?“ wykrzyknął Buthley. — Z pewnością będzie ich niebawem więcej. A to zapowiada nam nielada zyski. To bowiem szczere złoto. Nuggety daleko lepsze jak złoty piasek, którego znaczną ilość uzbierać trzeba, aby uciążliwa robota sie opłaciła.

Zapał naszych poszukiwaczy złota odtąd się podwoił. Pracowali tem pilniej i uważniej, aby znaleźć jaknajwięcej.

Przepowiednia Buthleya ziściła się już w najbliższym czasie.

Znajdowano nuggety i w większej liczbie i nieraz bardzo pokaźnej wielkości. Niektóre z nich dochodziły wielkości kurzych jaj.

Takie większe nuggety znachodziły się mianowicie w głębszej warstwie ziemi.

Ale umówiono się, aby nie rozpowiadać o tem obcym ani nawet nie zdradzać osiągnięcia cenniejszych zdobyczy przez wydawanie okrzyków radości. Bo mogłoby to u innych poszukiwaczy złota, którzy mieli mniej wydajne klemy, wywołać zazdrość i chęć wydarcia im tego cennego kruszcu.

W przeciągu tygodnia posiadali nasi znajomi już tak obfity zapas nuggetów, że przedstawiał wartość kilku tysięcy dolarów.

— To już prawie mały majątek — rzekł White, gdy wieczorem po ukończonej pracy dziennej siedzieli przy wieczerzy.

A wypada nadmienić, iż gotowaniem strawy zajmował się przedewszystkiem Muramba. Indyanin czuł się bowiem już o wiele zdrowszym, ale był jeszcze za słabym, aby dopomagać w ciężkiej pracy przy szukaniu złota.

Biali jako ludzie względni i wyrozumiali oszczędzali go też według możności. On zaś ze swej strony wywdzięczał im się w ten sposób, że odgrywał rolę kucharza.

Na podstawie danych mu rad i wskazówek szło to też pojętnemu czerwonoskóremu młodzieńcowi wcale nieźle. Boć też nie przyrządzano tam żadnych łakoci ani specyałów, lecz zadowalano się jaknajprostszą strawą. A jadłospis, jeżeli tak się wolno wyrazić, nie wykazywał wielkiego urozmaicenia.

Podczas wspomnianej już wieczornej rozmowy, wystąpił Ferman z propozycyą, żeby już w najbliższych dniach udał się kto do Dawson-City celem zakupna nowych zapasów żywności, gdyż stare były już na wyczerpaniu.

— Słuszna to rada — poparł go Buthley.

Muramba tymczasem odgrywał rolę kucharza..

— A do tego zaleca się — dorzucił White — ta podróż i z innego jeszcze powodu. Niebezpieczna to, jak wiecie, rzecz, trzymać większy zapas złota w domu. Najlepiej będzie sprzedać nasze nuggety w mieście, a resztę pieniędzy, pozostałych po zakupnie ży-

wności, oddać na przechowanie do banku. Tam będą daleko pewniejsze niż w naszej lichej chacie.

— W takim razie — zauważył Ferman — jestem za tem, aby wybrać się do miasta już jutro. Bo i to rzecz ważna, że woda w rzece jeszcze zanadto nie opadła, więc można popłynąć czołnem, gdyż to i najwygodniejszy i najprędszy sposób podróży. Drogą lądową o wiele trudniej dostać się do Dawson-City.

Młodzi nie mięszali się do tej rozmowy. Wiedzieli, że starsi posiadają pod tym względem daleko więcej doświadczenia. Załatwienie więc tej sprawy im całkowicie pozostawili.

Stanęło też na tem, że jutro zaraz o wschodzie słońca White, Ferman i Roy popłyną do Dawson-City, aby tam wszystkie omówione sprawunki załatwić.

Buthley postanowił wraz z Johnem i Murambą pozostać w domu, a raczej w chacie.

Względy ostróżności nie pozwalały na zupełne ogołocenie klemu z silniejszych rąk, ażeby się może kto niepowołany nie pokusił o zajęcie go na własność.

Już raniutko byli wszyscy na nogach.

Muramba oparzył kawy, do której zjedzono po sporym kawałku chleba ze słoniną. Potem włożono nuggety do skórzanych woreczków i zaniesiono do czołna.

Znajomi uścisnęli sobie serdecznie ręce i trójka nasza puściła się w drogę.

Według umowy miał powrót nastąpić w dniu następnym.

Napad nocny.

Mimo tak wczesnej pory wyjazd ten nie uszedł baczności kilku obcych osób w jednym z nieco więcej oddalonych klemów.

Nie zauważyli jednakże skórzanych woreczków z nuggetami, które nasi znajomi tak ukryli, że ich dostrzedz nie było można.

Żądni cudzego dobra niegodziwcy byli więc tego zdania, że cały plon dotychczasowej pracy naszych znajomych znajduje się w ich chacie.

Powzięli więc zamiar splądrowania owego mniemanego skarbu, aby się cudzą krzywdą obłowić, a potem czmychnąć dalej. W większem zbiorowisku ludzi — sądzili — uda im się ukryć bezpiecznie przed pościgiem ze strony policyi.

Byli to próżniacy, dla których ciężka praca na klemie była okropnością, nie do zniesienia. Do tego własny ich klem nie obfitował bynajmniej w złoto, tak że trudnoby się na nim było dorobić.

To też wszyscy — a było ich czworo — zgodzili się bez wahania na podszepty Morleya, kuszącego ich do owego rabunkowego napadu.

Morley był to największy łotr z tej czwórki, która cała niewiele była warta. Można powiedzieć, że już na zewnątrz uwydatniała się jego czarna dusza.

Był to człowiek niezbyt wysokiego wzrostu, ale krępy i barczysty. Na twarzy miał liczne ślady od ospy, a pod prawem okiem wielką brodawkę. Włos jego był prawie ceglatego koloru, jeżący się do góry i niedbale utrzymywany, a z niespokojnych wciąż oczu przebijał podstęp i gotowość do wszelkich

złych występków. Siedział też już za napad rabunkowy w domu karnym. Lecz pewnego dnia udało mu się zbiedz i wtedy przybył w te strony, gdzie się jego przeszłość nie wydała.

Dodajemy jeszcze na koniec, że nos Morleya nosił na sobie czerwone piętno, jakie na nim wyrył nałóg pijaństwa, a każdy uczciwy człowiek z odrazą od niegoby się odwrócił.

I kumpani jego niewiele od niego byli lepsi.

Gdyby tak zajrzeć im w głąb duszy, to możnaby stwierdzić, że byli wraz z Morleyem, jak się to mówi, po jednych pieniędzach. I z nich już każdy coś przeskrobał. I oni gotowi byli popełnić chociażby najgorszą zbrodnię, byleby im to zysk przyniosło.

Tem tłómaczy się też łatwość, z jaką Morley, niejako herszt tej bandy, pozyskał ich dla swoich planów.

Cała ta rozmowa między hultajami toczyła się półszeptem. Nie było wprawdzie nikogo w pobliżu, któryby ją mógł podsłuchać i ich zakusy zniweczyć, ale na złodzieju czapka gore.

— Z pewnością — mówił Morley — przed jutrem nie wrócą. Bo dałbym moją rudą głowę za to, że pojechali do Dawson-City po interesie. A to przecież kawał drogi, a niecnoty czarować nie mogą.

Na to odezwał się ślepiec — tak go bowiem nazywali towarzysze, ponieważ przed kilku laty podczas ciężkiej bijatyki wybito mu lewe oko —:

— Ale przecież za białego dnia nie podobna wykonać takich „odwiedzin“ u „kochanych“ sąsiadów. Dotąd stryczek nas minął, ale nareszcie moglibyśmy podyndać.

Sfukał go za te słowa kulas. To piękne miano nadali mu towarzysze z tego powodu, ponieważ zakradając się kiedyś do obcego domu, spadł z drabiny i odtąd utykał na prawą nogę.

Ów kulas tak wywodził:

— Co też ty za głupstwo pleciesz! Ktoby tam myślał za dnia w tak „szlachetnych“ celach odwiedzać sąsiadów. Na to jest przecież noc. Jak w mętnej wodzie ryby się łowi, tak ciemności nocne dla kradzieży i rabunku najstósowniejsze.

Tu wtrącił swoje trzy grosze i garbus, ostatni z tej sławetnej szajki, który zwykle najmniej się odzywał, gdyż był bardzo małomownym.

Garbus, który tę ozdobę swej figury już od dziecka dźwigał na plecach, i to kształtem przypominającą garb wielbłądzi, w te słodkie odezwał się słowa:

— Noc to naszemu ślepcowi w sam raz. Bo ślepy widzi w nocy tak dobrze, jak za dnia.

Tu bryknął gniewnie herszt bandy:

— Stulcie pyski, głuptasie! Taka gadanina psu na budę się nie zda. Istne z was smarkacze. Myślałem, że macie w waszych mózgownicach więcej oleju. Wszak mamy ważniejszą sprawę na głowie, jak prawić takie banialuki. Naturalnie, że to, co mamy zrobić, zrobimy w nocy, i basta. Aż mi się serce śmieje na myśl, że będziemy wnet w posiadaniu tak pięknego zapasu złota. Bo gotówem dać za to gardło swoje, że te pilne przeklęte kreatury niemało go nakopali.

— Ale tak łatwo to pewnie nie pójdzie — rzekł ślepiec.

— Bo jest tam w chacie troje ludzi — dodał kulas.

Garbus milczał według zwyczaju. Za to rudy herszt odparł żywo:

— Tych trzech kretów nie potrzebujemy znów tak bardzo się obawiać. Wprawdzie jeden z nich to poważny przeciwnik. Ale my przecież nie tchórzem podszyci. Do tego jest nas o jednego więcej od nich. A przecież ta czerwonoskóra bestya chorowita, to łatwo ją zagłuszyć. Z młokosem zaś też damy sobie radę. A wtedy pohulamy sobie niezgorzej. Za cudze pieniążki gorzałka tem lepiej będzie smakowała. A i kart już dawno w ręku nie miałem, odkąd zgrałem się do ostatniego szeląga. Dopieroż to będzie uciecha, jeżeli — o czem nie wątpię — sprawka nam się uda. Ale teraz zabierzmy się do roboty. Nie potrzebujemy sobie wprawdzie przy niej urwać rękawów, ale musimy grzebać w ziemi, aby tak dla pozoru. Bo chodzi o to, żeby nie ściągnąć na siebie żadnego podejrzenia. Musimy udawać niewinnych baranków, nie myślących o niczem innem, jak o robocie.

O tym samym czasie znajdował się i Buthley z Johnem na swym klemie przy pracy, podczas gdy Muramba pozostał w chacie, zajęty jakąś pracą domową.

Buthley i John uwijali się dziś i pracowali jeszcze pilniej, jak zwykle. Zależało im na tem, aby wydobyć z ziemi jaknajwięcej nuggetów. Poczciwcy pragnęli sprawić swym towarzyszom, skoro jutro wrócą do domu, miłą niespodziankę.

To też pot obfity zlewał im czoła. Ale nie nadaremno. Niejeden ładny nugget wpadł im w ręce. A to dodawało im bodźca do tem silniejszej pracy.

Tak zeszedł im szybko cały dzień.

Wieczorem widzimy znowu naszą trójkę w chacie.

Po spożyciu wieczerzy pogawędzili z sobą dłuższą chwilę, poczem poleciwszy się Bogu, udali się na spoczynek.

Wnet też John i Muramba spali, jak zarżnięci. Pierwszy, który dnia tego bardzo się natężył, chrapał w najlepsze. Przeszkadzało to trochę Buthleyowi, tem bardziej, że pomimo znużenia sen go jakoś odlatywał.

To też wstawał co chwila ze swego posłania i wyglądał na dwór. Coś go we wnętrzu niepokoiło, jakby miał jakieś złe przeczucie. To też za każdym razem brał rewolwer do ręki.

Wtem, gdy właśnie ponownie wyszedł na dwór, zawarczały psy, które leżały u progu chaty jakby na straży.

Niebawem głośno zaszczekały. Widocznie ktoś się zbliżał. Buthley wytężył oczy i spostrzegł przy słabem świetle migocących się gwiazd kilku mężczyzn, którzy chyłkiem zbliżali się do chaty.

— Stój! — zawołał nieustraszony Buthley.

Ale nikt nie przystanął. Nikt też nie odpowiadał.

To był zły znak.

Buthley wiedział już co się święci.

Tymczasem już i psy doskoczyły do rabusiów, szarpiąc ich za łydki. Żałosne skomlenie

świadczyło o tem, że jeden z napastników wierne psisko uśmiercił nożem. Bo obawiali się strzelić, aby nie zaalarmować sąsiadów.

Buthley, widząc, że to nie przelewki, dał ognia z karabinu, mierząc do tego, który kroczył na przedzie.

Nie był to jednak sam herszt bandy, jakby przypuszczać należało. Opryszek był do tyla przezornym, że trzymał się więcej w tyle, aby nie narażać się naprzód na niebezpieczeństwo.

Przypadkiem znajdował się właśnie ślepiec na samem czele.

Jego więc trafił celny strzał z karabinu Buthleya, i to w same piersi.

Drab jęknął, potoczył się i runął, jak zwalona kłoda drzewa na ziemię. Zbroczył ją obfity strumień krwi.

Było po nim.

Ale reszta nie dała jeszcze za wygraną. Nie cofnęła się.

Naturalnie, że skutkiem strzałów obudził się nietylko Muramba, ale i chrapiący John.

Pierwszy porwał za swój tomahawk, broń w kształcie topora, podczas gdy biały młodzieniec zaopatrzył się w rewolwer. Obaj mieli tę broń zawsze tuż przy sobie. W razie potrzeby mieli ją więc każdej chwili pod ręką.

Z błyskawiczną szybkością poskoczyli Buthleyowi na pomoc. Nadeszła też w sam czas. Herszt bowiem zadał mu nożem swym dość głęboką ranę w prawą rękę. Że go nie uśmiercił, to zawdzięczał Buthley jedynie swej zwinności. Rudy opryszek bowiem chciał go ugodzić w sam żywot, ale były górnik w

tej krytycznej chwili trącił go tak silnie w ramię, że nóż przebił mu tylko rękę, z której krew tryskała.

Pomimo tej rany, Buthley, nie mogąc skutkiem zbytniej bliskości napastnika strzelać, uderzył go tak silnie kolbą karabina w głowę, że tenże na dłuższy czas stracił przytomność.

Pozostało więc jeszcze tylko dwóch napastników.

Do nich to przypadli z wielką zaciętością John i Muramba.

Starcie było bardzo ciężkie.

Muramba ciął tomahawkiem swoim w gardło kulasa i przeciął mu tętnicę.

I kulas więc wskutek upływu krwi po chwili skonał.

John zabrał się do garbusa, który jednak bronił się tak zajadle i tak olbrzymią okazał siłę, że John sam pokonać go nie zdołał. Szamotali się z sobą przez krótką chwilę. Wreszcie garbus potknął się i upadł na ziemię, a John za nim. Ale w tej chwili doskoczył mimo swej rany Buthley i wspólnie ubezwładnili rabusia.

Odpiąwszy prędko pasy z grubego rzemienia, związali kulasa. A oprócz tego i rudowłosego herszta. Bo zabić go nie chcieli bez koniecznej potrzeby, gdy leżał bezbronny na ziemi. Z drugiej jednak strony można się było spodziewać, że lada chwila przyjdzie do siebie. Ostróżność więc nakazywała postarać się o to, aby nie mógł stać się im niebezpiecznym .

Skoro, zwabieni wystrzałem, nadbiegli najbliżsi sąsiedzi, na pomoc, była ona już właściwie zbyteczną.

To też nasza trójka podziękowała im tylko za dobre chęci i poprosiła o pomoc w zawleczeniu związanych w pobliże chaty.

Uradzono, że mają tam przez noc pozostać. Rano zaś miał John udać się do najbliższej stacyi policyjnej i zawiadomić ją o tem, co zaszło.

Tak się też stało.

Już po kilku godzinach stawili się przedstawiciele władzy. Spisali protokół, poczem kazali pogrzebać zabitych, a zbrodniarzy zabrali z sobą. Ztamtąd posłali ich pod silną eskortą do Dawson-City. Tam bez wielkich ceregieli sąd skazał obu na karę śmierci przez powieszenie.

Niebawem wyrok wykonano.

Tak więc zginęła marnie ta czwórka ludzi, których zgubiła żądza złota. Nie chcieli go nabyć uczciwą pracą, lecz za pomocą zbrodni. A to srogo się na nich pomściło.

Gdy Ferman Whity i Roy po załatwieniu swych interesów w Dawson-City wracali do domu, dowiedzieli się ku wielkiemu swemu przerażeniu o tej okropnej walce nocnej.

Żal im było poniekąd przelanej krwi. Ale pocieszyła ich okoliczność, że towarzysze ich z tej przygody wyszli cało. Bo Ferman wnet stwierdził, że rana, którą otrzymał dzielny Buthley, nie była bynajmniej niebezpieczną.

White z pomocą Fermana czemprędzej doskonale ją opatrzyli, a wszyscy podziękowali Bogu za to, że od większego uchronił ich szwanku.

Dopiero teraz opowiedzieli przybysze, jak im poszło w mieście, gdzie wszystko ku zadowoleniu swemu sprawili.

Szczęśliwy traf.

Przy ciągłej pracy czas naszym znajomym chyżo uchodził.

Ale praca na klemie stawała się tem uciążliwszą, im więcej słońce letnie dopiekało.

To też chwile wytchnienia i wypoczynku były dla nich bardzo pożądane. A przy harmonii i zgodzie, która wszystkich łączyła, tak że tworzyli, nie wyłączając nawet Muramby, jakby jedną rodzinę, chwile te przy pogadance bardzo mile im upływały. A niemało przyczyniał się do ich uprzyjemnienia Roy, który doskonale umiał grać na harmonice. Ponieważ zaś miał i tu taki instrument ze sobą, przeto często proszono go, aby zagrał jaką sztuczkę. Nie wymawiał się od tego, zwłaszcza że sam lubiał muzykę. Będąc zaś usłużnym, tem chętniej spełniał życzenie towarzyszy.

Pewnego dnia przypadały urodziny Fermana.

White, chcąc tak wiernego towarzysza uczcić, zaproponował, żeby tego dnia świętować, to jest podobnie jak w niedzielę wstrzymać się od pracy.

Ferman, jako człowiek skromny, wymawiał się. Ale Buthley poparł gorąco wniosek Whitego. A i nasi młodzi powitali go z radością. Bo co prawda, to w ostatnich kilku dniach skutkiem nadmiernego upału niemało przy pracy ucierpieli. Nawet poczciwy Muramba obiecał w tym dniu zgotować lepsze pożywienie, gdyż, jak się wyraził, musi to być prawdziwa uczta.

Ponieważ w niedzielę nasi znajomi jako religijni ludzie nie polowali, w dni powszednie zaś praca na to nie pozwalała, przeto

chciał Roy i John skorzystać z owego dnia wolnego, aby udać się na polowanie.

Myśl ta znalazła poklask i ze strony starszych, ponieważ wszystkim już trochę tęskno było za świeżem mięsem. Ustawiczne konserwy, peklowina i słonina już im się trochę przyjadły. Muramba też zachował swą sztukę robienia pieczeni, którą przed całem gronem radby się popisać.

Obiad więc czyli zapowiedzianą ucztę wystawił tego dnia znacznie prędzej, aby młodzi biali — on sam bowiem pozostał w domu — wcześniej wyjść mogli.

I poszli.

A szli daleko, gdyż nie chciała im się nawinąć pożądana zwierzyna.

I tak doszli aż ku skrajowi góry nad prawem brzegiem rzeki Klondyke.

Tu zoczyli małe stado jeleni, pasących się na nadbrzeżnej trawie. Zwierzęta niespostrzegły jednak myśliwych, gdyż było to na zakręcie, a do tego odnoga góry zbliżające się dla nich niebezpieczeństwo poniekąd zakrywała.

Młodzieńcom na ten widok aż serce myśliwskie gwałtowniej bić poczęło. Przystanęli, aby nie spłoszyć zwierzyny. Szybko zdjęli z ramion strzelby. Wymierzyli. Rozległ się huk i dwa piękne okazy jeleni tarzały się po ziemi, aby wnet wszystkie cztery wyciągnąć.

Żaden strzał nie chybił.

Pozostała przy życiu reszta stadka rozpierzchła się w szalonym pędzie.

— A to dopiero gratka! — mówił Roy. Jakże nasi się ucieszą, skoro ujrzą tyle smacznego mięsiwa. I nie potrzebujemy się po-

wstydzić, bo wywiązaliśmy się znakomicie z naszego zadania.

Na to rzekł John:

— Ja zaś głównie z tego się cieszę, że nasz dobry Muramba będzie zadowolony, gdyż będzie miał sposobność pokazania swej sztuki kucharskiej, którą się tak chlubił.

Trzeba bowiem wiedzieć, że jakkolwiek całe nasze białe towarzystwo czerwonoskórego młodzieńca prawdziwie polubiło, to John największą dla niego miał słabość. Muramba odwzajemniał mu się też wielkiem przywiązaniem. Było to więcej jak zobopólna życzliwość. Stósunek ich do siebie był wprost przyjacielskim.

Na razie pozostawili nasi myśliwi swą zdobycz na tem miejscu. Poszli o kilkadziesiąt kroków dalej, aby u samego podnóża góry wypocząć i pokrzepić się zabraną ze sobą prowizyą.

I gdy tak siedząc na złomku skały wpatrują się ciekawie w olbrzymie ściany skaliste, naraz wydał Roy okrzyk zdziwienia.

— Patrz przyjacielu — zawołał do John.a — co się to tak świeci w tej skale jak złota żyła!

— A może to i naprawdę złoto — odrzekł radośnie zagadnięty. — Wszak słyszałem już dawniej, że miejscami znachodzą się takie żyły złote w górach. Może więc i nam Fortuna zgotowała taką niespodziankę. Byłoby to jeszcze daleko więcej warte, jak te jelenie, chociaż i mnie na myśl o smacznej pieczeni z ich mięsiwa ślinka do ust idzie.

Na to odparł Roy:

— Wszystko być może. Ale nie cieszmy się przedwcześnie. Nie trzeba sprzedawać skó-

ry, póki niedźwiedź w lesie. My się na tych rzeczach znamy tyle, jak koza na pieprzu lub jak wilk na gwiazdach. Sprawę tę musi zbadać jaki znawca. A na szczęście Buthley posiada niezawodnie dostateczną znajomość rzeczy. Utrącimy więc kawałek kamienia z ową niby to złotą żyłką i zabierzemy z sobą do zbadania, a wtedy bliższe podszukanie wykaże, czy to w samej rzeczy złoto.

— A co zrobimy z jeleniami? Wszak szkoda by je tu pozostawić, może na pastwę jakim drapieżnym zwierzętom.

— Jednego weźmiemy z sobą. Chociaż to prawdziwy olbrzym swego gatunku, w dwójkę zdołamy go udźwignąć. Drugi zaś musi tu przez jakiś czas pozostać, aż ktoś z nas po raz drugi tu przybędzie, co pewnie wnet nastąpi. Bo Buthley prawdopodobnie na miejscu rzecz będzie chciał zbadać. Miejmy też nadzieję, że łup nasz myśliwski pozostanie aż do tego czasu nietknięty.

Teraz już nasi młodzi nie mieli spokoju. Nic dziwnego, że ich coś parło do domu. Wszak mieli dwojaką zdobycz, bo i jelenia i ów kawałek kamienia z błyszczącą jak złoto żyłą szerokości palca.

Dźwignęli więc większego jelenia na swe barki i o ile wobec takiego ciężaru było im możliwem, pospiesznym krokiem podążyli do domu.

Powitano ich już z daleka oznakami radości gdyż ujrzano jelenia, którego nieśli. Muramba aż skakał i w ręce klaskał.

A gdy Roy wydobył z torby myśliwskiej wiadomy nam już kamień, wszystkich ogarnęło zdziwienie.

Buthley bez zwłoki zabrał się do dzieła.

Porozbijał młotkiem rzeczony kamień na drobne kawałeczki, które następnie roztarł na proszek. Wsypał wtedy do naczynia i dolał wody, tak że zrobił się z niego rodzaj papki. Papkę tę znów polał żywem srebrem, aby się złoto lepiej oddzieliło. W końcu wyłożył całą mięszaninę na blaszaną łyżkę i tak długo trzymał nad ogniem, aż się kruszec stopił. Wtenczas zlał ową masę do innej łyżki, a gdy ostygła, zawołał z weselem:

— Tak, to w istocie szczere złoto! Nasi młodzi mieli szczęście, bo wynalazek ich rokuje nam ogromne powodzenie. Zaraz jutro udam się w ich towarzystwie do owej góry, aby ją dokładnie zbadać. Ale prawie już teraz nie wątpię, że znajdują się tam w obfitej mierze żyły złota. Będziemy więc musieli założyć tam prawdziwą kopalnię, aby ten skarb należycie wydobywać.

— Kopalnię! — rzekł na to White — łatwo wypowiedzieć to słowo. Ale jakże trudno w tutejszych warunkach, gdzie brak i wykształconych w górnictwie ludzi i sił roboczych i maszyn odpowiednich, zamiar taki w czyn zamienić.

— Ano — odpowiedział Buthley — daleko to wprawdzie trudniej, jak ubić jelenia lub zrobić z niego pieczyste. I tu spojrzał na Murambę. — Ale pieczone gołąbki nie przyjdą same do gąbki. Z drugiej zaś strony nie jest to rzeczą niemożliwą. Nie trzeba tylko tracić otuchy, a wszystko się uda.

— Ciekawym bardzo, w jaki sposób? — odezwał się Ferman, który dotąd milczał.

— Sposób na to się znajdzie i znaleźć musi — uspokajał Buthley. — A nawet mam już projekt gotowy. Oto, jeżeli się jutro

przekonam, iż w tamtejszej górze są dostateczne żyły złota, to Muramba uda się do swego ojca i za jego staraniem przywiedzie nam potrzebną ilość Indyan do pomocy. Za pieniądze i cukru się dostanie, więc jeżeli zapewnimy staremu naczelnikowi dobre wynagrodzenie, a robotnikom wysoką płacę i dobre utrzymanie, to chyba na projekt nasz się zgodzą.

— Ale zkąd wziąść potrzebne maszyny do kopalni? — zapytał White.

—I maszyny się znajdą. Dowiedziałem się niedawno, że w dalszej okolicy pewien właściciel podobnego klemu oczekuje przybycia zastępcy wielkiej fabryki z San Francisko, dostawiającej maszyny górnicze, aby dla siebie co potrzeba zamówić. Owa firma bowiem w różne strony tutejsze swych wojażerów czyli podróżujących wysyła, gdyż coraz więcej złota tu znajdują i coraz więcej poszukiwaczy złota nadciąga. I my więc przy tej sposobności zrobimy potrzebne zamówienia.

— A jak ze sprawą inżynierów, bez których trudno byłoby się obyć?

— I na nich w wielkich miastach nie zbywa. Byleby zapłata była odpowiednia, to i ich dostaniemy. Już sam zastępca odnośnej fabryki o nich się postara, aby nas sobie ująć, żebyśmy zostali jej odbiorcami.

Wywody Buthleya, który też jeszcze zaznaczył, że po spieniężeniu najnowszego bogatego zapasu nuggetów nie zabraknie potrzebnych na początek funduszy, wszystkich uspokoiły.

Postanowiono postąpić według jego zdania, byleby jutrzejsze oględziny pomyślny wydały rezultat.

Na dziś zakończono rozmowę o tej ważnej sprawie.

Pomyślano o czemś innem.

Wszak było mięsiwo z jelenia. Muramba musiał się zaraz zabrać do pocięcia go na kawały i przygotowania upragnionej pieczeni.

A sprawiedliwość każe przyznać, że spisał się doskonale. Pieczeń wszystkim wybornie smakowała, z czego czerwonoskórny kucharz niemało był dumnym.

Dzień ten ku uczczeniu urodzin Fermana był więc dla naszej drużyny niezwykle szczęśliwy. Zakończył się też prawdziwą ucztą.

Drugiego dnia udał się, jak było umówionem, Buthley wraz z Royem i Johnem na znane nam już miejsce nad brzegiem rzeki Klondyke. Tam, krótko mówiąc, znalazł w górze skalistej tak obfite żyły złota, jeszcze daleko szczersze jak przyniesiona do chaty próba, że to przechodziło wszelkie jego oczekiwania.

To też z radością bez granic wróciła nasza trójka do domu. Tam zaś przyjęto tak pomyślną wiadomość z najwyższą radością.

I tego drugiego ubitego jelenia przyniesiono z sobą. Bo znaleziono go nietkniętego w tym stanie, w jakim go tam dnia poprzedniego młodzi myśliwi pozostawili.

Tylko Muramba poniekąd żałował, że najmniej na kilka dni musi zaniechać tu swej sztuki kucharskiej. Naglono go bowiem do wyjazdu do ojca po ludzi do roboty. Ale zdrów był już zupełnie, więc nie mógł się wymówić. Wyruszył już nazajutrz, i to pieszo. Zalecono mu jednak wielką ostróżność, aby nie wpadł znów może w ręce ziomków z niegodziwego plemienia Ribbet.

Może ten lub ów z czytelników gotów się dziwić, dlaczego Muramba nie kwapił się wcale z ową wędrówką do wioski rodzinnej. Wszak miał się zobaczyć z ojcem, a więc tem więcej powinien chętnie korzystać z tej sposobności.

Nowa walka.

Okolica nad brzegiem rzeki Klondyke, w której znajomi zakupili sobie nowy klem, otrzymała nazwę El Dorado-Creek.

W przeciągu kilku tygodni wygląd tej okolicy bardzo się zmienił.

Po obu stronach rzeki była ziemia podzielona na mnóstwo klemów, na których poszukiwano złota. Bo zewsząd ściągały tłumy ludzi na wieść o znacznej ilości złota tamże. Ludzie ci pragnęli również spróbować szczęścia i o ile możności jaknajprędzej się zbogacić.

Można więc sobie wobec tego wystawić, że pojawiło się i wiele kupców i kramarzy. W skleconych na prędce budach sprzedawali wódkę i różne artykuły żywności oraz sprzęty, które osiadła tam ludność kupować była zmuszona. Okoliczność tę sprytni przedsiębiorcy handlowi nie omieszkali wyzyskiwać na swą korzyść. Ceny za towary były więcej aniżeli wygórowane.

Nasi znajomi pracowali dalej z niezmordowaną pilnością. To też woreczki, w których skrzętnie przechowywali swe nuggety, pomnażały się ciągle co do liczby i rosły w rozmiarach.

Nadszedł też czas, że trzeba było pomyśleć o spieniężeniu w mieście tych dalszych zapasów złota. A i zapasy żywności, z których teraz tak dużo ludzi czerpało, kończyć się po-

czynały. Ubytek należało więc zastąpić nowym prowiantem. A w mieście był on jednak nieco tańszym, jak na miejscu.

Zdawałoby się, że w tym celu i tym razem wybierze się kilka osób do Dawson City.

Tymczasem za radą Buthleya zdecydowano się obecnie na podróż do Selkirk.

Była to wprawdzie daleko dłuższa droga. Ale wybór jej zalecał się z różnych względów. Raz bowiem miano zakupić futer na zimę, która była w tych stronach prawie już za pasem. A właśnie Selkirk, gdzie traperzy po swych polowaniach w Kanadzie i angielskiej Kolumbii sprzedawali swe skóry i futra, do takiego zakupna daleko więcej się nadawał jak Dawson City. Dalej było tam łatwiej zgodzić cieśli, których nasi znajomi w El Dorado-Creek bardzo potrzebowali. Bo było rzeczą konieczną wznieść na nowym klemie większy i lepszy budynek na czas długich mrozów zimowych. Wreszcie był jeszcze i następujący powód, który niemało przy wyborze Selkirku zaważył na szali.

Oto sprowadzonym dotąd przez Murambę Indyanom z plemienia Crow, sprzykrzyła się ostatecznie ciężka praca na klemie. Byli wprawdzie zadowoleni tak ze swojej dzionki jako i z dobrego wiktu oraz traktowania, ale w domu o tyle mieli wygodniej, że mogli sobie siedzieć bezczynnie czyli wylegiwać na niedźwiedziej skórze. Ten i ów tęsknił też po dość długiej rozłące za swą rodziną. Zresztą zarobili sobie już piękny grosz, więc tem więcej odeszła ich ochota do dalszych robót.

Tylko wierny Muramba, a z nim czterech innych ziomków, chcieli wytrwać i nadal przy swych białych panach.

Buthley był tego zdania, że należy skorzystać z podróży powrotnej owych Indyan i dlatego zalecał wyjazd do Selkirk.

— Bo — tak wywodził podczas wspólnej narady — wobec tylu tęgich ludzi będzie transport nuggetów tem bezpieczniejszy. A to wiele znaczy, boć pamiętny napad nocny na naszą chatę zniewala do wielkiej ostróżności. Przecież i w drodze mogłoby się coś podobnego wydarzyć.

Te wywody uznała i reszta za uzasadnione.

Uchwalono więc, że White i Roy wraz z dwudziestu pięciu Indyanami już nazajutrz popłyną na Yukonie aż w pobliże ich wioski. Było to i z tego względu wygodnem, ponieważ nie potrzebowali brać własnego czołna, lecz mogli jechać razem z Indyanami na jednej z ich dwóch łodzi. W Selkirk zaś mieli nabyć drugie czołno, które i tak na przyszłość było im potrzebnem, i na niem wrócić do El Dorado-Creek.

Nie potrzeba prawie dodawać, że młody Roy wolał jechać do Selkirk, aniżeli do Dawson-City. Bo pierwsze miasto było większem i bardziej ożywionem. Tam więc mógł się lepiej zabawić jak w tej nędznej dziurze, jak nazywał Dawson City.

A nie dziw, że młody człowiek pragnął po tak długiej pracy użyć trochę zabawy i rozrywki. Był mianowicie zapalonym miłośnikiem tańca. A wiedział, że w Selkirk nie zbywa na sposobności do tego rodzaju zabawy.

Zaczęto też niezwłocznie czynić przygotowania do tej podróży.

— Ale jak zrobimy z wynajęciem nowych sił roboczych w miejsce odjeżdżających In-

dyan? — zapytał Ferman. — Obyć się bez nich nie możemy. A na miejscu ledwie ich się dostanie.

Na to rzekł White:

— Może oprócz cieśli mam się w Selkirk obejrzeć i za robotnikami?

— Nie-potrzeba tego — odparł Buthley. — Skoro White z Royem odjedzie, ja rozejrzę się tu po naszej okolicy, a nie wątpię, że uda mi się zwerbować dostateczną ich ilość. Sami już wiecie, że niektóre klemy są tak mało donośne, że ich właściciele przy tutejszem drogiem życiu wystać nie są w stanie i dla tego je porzucają. Niejednego z nich nie stać na zakupno nowego klemu. Tacy nie będą od tego, żeby za dobrą zapłatę wstąpić w obowiązki u nas. O to więc niechaj was głowa nie boli.

Tak więc i ta sprawa była na razie ubitą.

Nazajutrz wyjechał więc White i Roy zaraz z Indyanami na rzece Klondyke, aby dostać się do Yukonu.

Na jednej z łodzi umieszczono kilka grubych i dość pękatych worków z nuggetami, przedstawiających według pobieżnego szacowania wartość blisko dwóch set tysięcy dolarów.

Nie zapomniano też naturalnie o zabraniu z sobą wystarczającego prowiantu.

Indyanie byli doskonałymi wioślarzami, więc łódki szybko mknęły na gładkiej powierzchni wody.

To też już po kilku godzinach żeglugi przybito do ujścia rzeki Klondyke do Yukonu.

Po kilku dniach dotarła cała wyprawa do tak zwanego wodospadu Upper-Ramparts. Ztąd na dobry kilometr pod wodę żegluga była przerwaną. Trzeba więc było wyładować

prowiant i cały zapas nuggetów i przenieść je oraz i łódki aż do miejsca, od którego znów dalej bez przeszkody płynąć było można. Ale na dwudziestupięciu Indyan, było to zadanie niezbyt trudne.

Wszystko też poszło gładko.

Nadszedł jednak już wieczór. Skutkiem tego postanowiono na tem miejscu przenocować.

Brzeg był skalisty i wysoki, a tworzył tu szerszy zakręt, coś w rodzaju małej zatoki. Miejsce do noclegu było więc wcale odpowiednie.

Zrobiono ogień, przygotowano wieczerzę i pokropiono ją wódką, ulubionym trunkiem Indyan. Na wszelki wypadek postanowił też White, ogień przez całą noc podtrzymywać. Wymagał tego wzgląd na bezpieczeństwo osobiste ludzi jako też cennego skarbu w postaci nuggetów, który tu w workach złożony leżał. Jeden z czerwonoskórców musiał też kolejno czuwać, aby ktoś ciągle był na straży.

Że przezorność ta nie była zbyteczną, lecz rozporządzenie Whitego bardzo praktycznem, miało się już niebawem wykazać.

Było to około północy.

Całe towarzystwo — oprócz strażnika — leżało w głębokim śnie pogrążone. Obaj biali mieli przy swym boku starym zwyczajem karabiny nabite i rewolwery, Indyanie zaś swe tomahawki.

Wtem usłyszał stojący właśnie na straży Indyanin jakiś podejrzany szelest.

Dowód to, jaki doskonały słuch Indyanie posiadają. Bo przecież w odległości kilometra znajdował się wodospad, który sprawiał silny szum i łoskot. A strażnik mimo to ów

stosunkowo nieznaczny szelest posłyszeć zdołał. Szelest ten pochodził, jak się zdawało, z prawego brzegu rzeki. Aby się co do niego upewnić, wszedł Indyanin na wysoki skalisty brzeg, i bacznie nasłuchiwał. Światło, którem migocące gwiazdy zarzyły, było bardzo słabe. Strażnik jednak spostrzegł kilka postaci, które właśnie rzekę w niewielkiej ztąd odległości przebyć chciały. Bo Indyanie obdarzeni są także znakomitym wzrokiem.

Teraz zeszedł Indyanin ostrożnie z wysokiego brzegu i udał się do miejsca, na którem rozciągnięty na derze leżał White. Obudził śpiącego i szepnął mu po cichu do ucha, jakie cotylko zrobił spostrzeżenie.

Stary trapper był w okamgnieniu na nogach. Zaraz też obudził Roya, który robił wrażenie, że umysł jego zajęty jest właśnie jakimś miłym snem. Bo młodzieniec przez sen wymawiał zcicha różne wyrazy, jak: aha... taniec... A nawet zdawał się uśmiechać.

Czujni Indyanie również ocknęli.

— Prędko rozrzucić i zadusić ogień! — rozkazał White — aby nas przy świetle tak łatwo widzieć nie można.

Wszyscy porwali za broń.

Na rozkaz Whitego ustawił się Roy ze strażnikiem i kilku Indyanami na rogu owej małej zatoki. Mieli uważać na to, aby nikt ich z dołu znienacka napaść nie zdołał.

Wyciągnięto też pędko łodzie z wody. Bo gdyby zbliżający się obcy ludzie byli rabusiami — co nie ulegało prawie wątpliwości — to zapewne owe łodzie by sobie przywłaszczyli, aby je użyć do ucieczki po napadzie, a właścicieli pozbawić możności posłużenia się niemi.

Sam White z większą częścią czerwonoskórych ulokował się na samym wysokim brzegu rzeki. Ale położyli się na ziemi, aby ich nie widziano, oni zaś tem spokojniej obserwować mogli, co się dzieje na rzece.

I tak spostrzegli, że to banda Indyan, składająca się z około trzydziestu ludzi. Jedni z nich przechodzili rzekę w bród, zaś ją przepływali.

Indyanin obudził Whitego...

— To Indyanie ze szczepu Ribbet — odezwał się po chwili cichym głosem do Whitego strażnik — a więc nasi nieprzyjaciele. To z tego plemienia, które swego czasu wykonało napad na Murambę, przyczem go ciężko zraniono.

Po chwili zaś dodał:

— Teraz już i samego naczelnika po stroju jego rozpoznać mogę. Nazywa się „chytry lis“, ale też na tę nazwę zasługuje. Niezawodnie włócząc się w tutejszej okolicy w celach rabunku, dowiedzieli się w jaki sposób o naszej podróży, a przypuszczając, że wieziemy z sobą złoto, chcieliby nam je odebrać. Pewnie też umyślnie po drugiej stronie czekali aż noc nadejdzie.

— Będzie to dla nich zbyt twardy orzech do zgryzienia — odrzekł White. — Bo nietylko życia naszego, ale i tego skarbu mężnie bronić będziemy przeciw tym łotrom zapamiętałym.

Tymczasem zbliżyli się napastnicy na odległość około dwudziestu metrów.

White podniósł się z ziemi, przyklęknął na kolano i wymierzył do „chytrego lisa“.

Huknął strzał i olbrzymiego wzrostu naczelnik, wydawszy z siebie krótki okrzyk boleści, padł, aby już nigdy o własnej sile nie powstać.

Stało się to nagle i niespodziewanie, że rabusiów ogarnęło okropne przerażenie. Ale trwało to tylko moment. Cała czereda rzuciła się teraz z głośnym okrzykiem wojennym jakby do szturmu.

Dzielny White jeszcze dwóch innych Ribbetów celnym strzałem trupem położył. Ale wobec zbyt silnego natarcia ze strony pozostałych cofnąć się musiał do miejsca, na którem poprzednio spano i gdzie leżały worki z nuggetami.

Teraz nadbiegł i Roy ze swymi towarzyszami, którzy usadowili się przedtem na rogu zatoki. Była tu i reszta Indyan z plemienia

Crow, która miała zadanie pilnowania nuggetów.

Wywiązała się zażarta walka. Rozlegał się huk strzałów z karabinu Whitego i rewolwera Roya. A ze strony Indyan walczono tomahawkami.

Padło od strzałów z broni palnej jeszcze dalszych pięciu rabusiów. Czterem innym rozpłatali wierni towarzysze białych głowy swemi tomahawkami. Oprócz tego odniosło kilku mniej lub więcej ciężkie rany.

Była to dla nich porażka zbyt dotkliwa. To też obawiając się, że mogliby zginąć co do jednego, ostatecznie z wściekłym wrzaskiem rzucili się do ucieczki.

Ale i po stronie naszych nie obyło się bez ofiar.

Dwóch Indyan przypłaciło zwycięztwo swem życiem. Jeden miał tomahawkiem rozbitą czaszkę, drugi zaś rozpłatane całkiem piersi i brzuch, tak iż wnętrzności na wierzch wychodziły. Kilku zostało ranionych, między nimi jeden tak ciężko, że po kilku godzinach, pomimo troskliwej pomocy Whitego, ducha wyzionął.

Natomiast obaj biali wyszli z tego ciężkiego spotkania bez wszelkiego szwanku.

Po powrocie.

I w drodze powrotnej nie wydarzyło się naszym znajomym żadne nieszczęście.

Podróż odbywała się więc dość szybko. A do tego i daleko weselej jak poprzednio. Bo zgodzeni cieśle byli to ludzie, którzy nie lubili smutku. Umieli też wielką ilość różnych pieśni i śpiewek i nucili prawie przez cały dzień.

To też czas upływał niezwykle szybko. Trochę trudu było z przenoszeniem czołna i ładunku przy znanym nam już wodospadzie Upper-Ramparts. Ale cieśle nie lenili się do żadnej pracy. Bo byli kontenci, że po dłuższem bezrobociu znaleźli wreszcie zajęcie, i to wcale dobrze płatne. Bo White musiał się kontraktowo zobowiązać, że pobierać będą pięć dolarów dziennej płacy. Za to zastrzegł sobie również w owym kontrakcie, że w razie potrzeby muszą imać się każdej roboty, a nie tylko wykonywać samą ciesiółkę. A w trudnem znajdując się położeniu chętnie na ten warunek przystali.

Przeniesiono więc wszystko szczęśliwie cały kilometr drogi nad brzegiem rzeki. Potem spuszczono czołno na wodę i umieszczono w niem cały ładunek.

Znów żegluga się rozpoczęła. Śpiew na nowo rozbrzmiewał. I aż sam White się zdziwił, że tak prędko stanęli u celu podróży.

Powitanie przybyłych wypadło tem radośniej, ponieważ ogólnie się cieszono, że przyjechali i cieśle, których tak bardzo pożądano.

Na jakiś czas jednak radość początkowa ustąpiła uczuciu smutku, gdy dowiedziano się o ciężkiej przygodzie, która przytrafiła się towarzyszom podczas podróży do Selkirk.

White musiał na ogólne życzenie obszernie opowiedzieć szczegóły krwawej walki, którą wtedy stoczono. Ale radość z powdu tak szczęśliwego jej dla białych wyniku, wnet rozproszyła osiadłe na czole słuchających chmury smutku.

Z przywiezionych świeżych zapasów żywności przygotował Muramba spiesznie

smaczny posiłek. A po spożyciu go całe grono — bo i cieśle do niego należeli — długą jeszcze prowadziło rozmowę.

Boć było z obu stron niemało do opowiadania, naturalnie jednak więcej nowin z miasta. Bo w czasie nieobecności Whitego i Roya w El Dorado-Creek nic nadzwyczajnego nie zaszło.

Młodzi, to jest Roy i John na stronie osobno z sobą gwarzyli. A przyłączył się do nich i Muramba, który po uprzątnieniu się z gotowaniem, miał teraz nieco wolnego czasu.

Rozmawiali o tem i owem. A Roy potrącił też o zabawie tanecznej, w której kilkakrotnie brał udział.

John, który był również na to jak na lato, żałował w duchu, że nie mógł być tam z nim razem i tak wesoło się zabawić. Ale pomyślał w duchu, że i na niego przyjdzie kolej. I on przecież kiedy dostanie się znów do Selkirk, a wtedy tak samo użyje rozrywki.

W grupie starszych odezwał się naraz White w te słowa:

— Ja cieśli przywiozłem z sobą. Ale jakże stoi sprawa z wynajęciem robotników do pracy na naszym nowym klemie, a potem w kopalni? Czy Buthleyowi powiodło się wyszukać do tego ludzi, jak miał nadzieję. Bo jakoś mi podpada, że ani jednego obcego człowieka tu nie widzę.

Buthleya wprawiło to zapytanie widocznie w ambaras. Poskrobał się za uchem i z niewesołą miną tak odpowiedział:

— Ano, człowiek strzela, a Pan Bóg kule nosi. Coprawda, to w tym wypadku zawio-

dłem się w swych oczekiwaniach. Ale nie moja w tem wina. Włóczyłem się w towarzystwie poczciwego Johna jak Marek po piekle po całej okolicy, poszukując takich ludzi. Ale nadaremno. Wszędzie spotykała mnie odmowa. O tej porze nikt jakoś nie chciał porzucać swego klemu. Byli tacy, którzy narzekali na to, że kiepskie ze swej ciężkiej pracy mają zyski. Ale pocieszali się nadzieją, że może lada dnia zaświeci im gwiazda szczęścia i znajdą większą obfitość nuggetów. Na zimę to byli gotowi zgodzić się do nas, gdy już dla mrozu i śniegów nie będzie można pracować w otwartem polu. Ale zawsze jeszcze kilka tygodni do tego czasu, więc za długo nam czekać.

Na to rzekł White:

— Trudna rada. Muru człowiek głową nie przebije. Gwałtem nic można ludzi ciągnąć, boć to nie są niewolnicy. Ale trzeba o tem pomyśleć, czyby nie udało się ich zkąd inąd ściągnąć.

— I ja jestem tego samego zdania. A możemy zaraz teraz nad tem się naradzić.

Ferman zaproponował, żeby White z Johnem wybrał się w tym celu znów do Dawson City.

Ale White sprzeciwił się temu. Oświadczył, że pod tym względem należy oddać pierwszeństwo Buthleyowi.

— Nie jest on wprawdzie amatorem podróży do miasta, bo woli wolniejszem oddychać powietrzem. Ale w tym razie chyba nam tej przysługi nie odmówi. Wszak nie jest wykluczonem, że postara się chociażby o kilku górników, którzy w przyszłości bardzo nam się przydać mogą. On też jako fachowiec

najlepiej się wydowie, zkądby sprowadzić niezbędne do robót kopalnianych maszyny oraz inżynierów. Boć nikt inny z nas na tem tak dobrze się nie zna jak właśnie on.

Buthley pokręcił kilka razy głową. Było to znakiem, że ta propozycya nie bardzo mu przypada do smaku. Wolałby pozostać na miejscu.

Teraz i Ferman i White zaczęli mu przedkładać, że on najlepiej zdoła wywiązać się z tego zadania i ze względu na wspólne dobro nie powinien się od tej przysługi wymawiać. Nie pozostawało mu więc nic innego, jak ostatecznie na ten projekt się zgodzić.

— Ale sam nie pojadę — mówił Buthley. — Bo chociaż ja się i rogatego djabła nie boję, to zawsze weselej w towarzystwie.

Przyznano mu słuszność i postanowiono, że tym razem ma mu John towarzyszyć. Bo Roy co dopiero wrócił z dalszej podróży, więc gdy chodziło o młodą siłę, to kolej przypadała na Johna.

John, dowiedziawszy się o tem, był z tej decyzyi dość kontent. Byłby wprawdzie wolał jechać do Selkirk, gdyż to większe miasto. Ale jeżeli los inaczej pokierował, to i na to należało się zgodzić. Zawsze lepszy rydz jak nic. A przecież i w Dawson-City nie zabraknie sposobności do wytańczenia się, chociaż nie tak długo, jak ją miał Roy w Selkirk.

Wiemy już, że John ocalił swego czasu Murambę od śmierci, a młody Indyanin odpłacał mu się za to gorącą wdzięcznością. Słyszeliśmy także, że i John czerwonoskórego młodzieńca polubił tak dalece, że wywiązał się między nimi bardzo przyjazny stósunek. Z bie-

giem czasu przylgnął John do Muramby całem sercem.

Pragnął mu więc sprawić jaką przyjemność. Teraz nadarzała się okazya do tego. Zaczął więc prosić, aby mu pozwolono zabrać kucharza — jak go zwykle z wiadomej przyczyny nazywano, do Dawson-City. A starsi chętnie na to przystali. Bo i oni nie byli od tego, aby mu tak wierną służbę w ten sposób wynagrodzić.

Muramba nie posiadał się z radości, tem więcej, że właśnie ze swym ukochanym zbawcą i przyjacielem Johnem tę podróż miał odbyć.

No i pojechali.

Tymczasem Ferman i White pokazali cieślom cały swój klem, na którym dotąd poszukiwano złota, i to z tak dobrym skutkiem. Do pracy w górze miano się zabrać dopiero później, ażby powietrze temu przeszkodziło. Ale budynek dla pomieszczenia ludzi podczas pory zimowej należało wnieść już zawczasu.

Główny majster ciesielski nazwiskiem Langford radził, ażeby zbudowano aż trzy domki, i to jeden dla Buthleya i towarzyszy, drugi dla nich, to jest cieśli, a wreszcie trzeci, największy, dla mających się zgodzić robotników i górników. Oprócz tego zalecał wznieść szopę na przechowywanie nuggetów i prowiantu. Co się tyczy pomieszczenia dla inżynierów, to nie uważano tej sprawy za zbyt spieszną, gdyż przybycie ich tak rychło nastąpić nie mogło. A w danym razie ulokowano by ich z początku w pierwszym domku, przeznaczonym dla Buthleya i towarzyszy.

Do niego też miała zostać przybudowana kuchnia wraz z alkierzykiem dla Muramby.

Plan ten wszystkim się podobał, więc bez wszystkiego nań się zgodzono.

Cieśle zabrali się też zaraz rączo do pracy. A praca szybko postępowała, gdyż na drzewie bynajmniej nie zbywało. Wszak stoki złotodajnej góry, w której później miano założyć kopalnię, porosłe były doskonałem drzewem.

Wnet też wystrzeliły w górę dachy domów, zbudowanych z silnych i ładnie ociosanych kłód drzewa.

Tworzyły one niejako małą osadę. Ale nie wzniesiono ich w nadbrzeżnej dolinie ani u podnóża góry, lecz na małej płaszczyźnie, rozciągającej się na dość znacznej wysokości gór. Było to bowiem ze względu na długą porę zimową praktyczniejsze, ponieważ stojące tam gęsto drzewa chroniły domy od zasypania śniegiem.

Udajmy się teraz myślą do Buthleya i jego młodych towarzyszy, aby zobaczyć jak im się działo.

Wcale dobrze.

Zajechali na swem czołnie szczęśliwie do Dawson-City.

Po wyszukaniu sobie gospody i wypoczynku przystąpił Buthley bez zwłoki do załatwienia różnych spraw, które mu zlecono.

A poszło mu teraz wszystko pomyślniej, jak z poszukiwaniem robotników w okolicy El Dorado-Creek.

Dowiedział się od gospodarza, u którego stanęli kwaterą, iż w jednym z pobliskich domów zajezdnych bawi właśnie agent wielkiej fabryki maszyn z San Francisco.

Buthley czemprędzej podążył na wskazane miejsce, aby się z nim osobiście w znanej sprawie rozmówić.

Pospiech ten wyszedł mu na dobre. Bo pan Lee — tak się bowiem ów agent nazywał — oświadczył mu, że miał już nazajutrz wracać do San Francisco, gdyż zwiedził już całą tutejszą okolicę. Ale ponieważ chodzi o ubicie większego interesu, przeto chętnie pobyt swój tutejszy gotów przedłużyć.

To oświadczenie było Buthleyowi naturalnie bardzo na rękę.

Przy butelce dobrego wina omówili dokładnie całą sprawę i Buthley zamówił u pana Lee kilka koniecznych dla założenia kopalni i wydobywania kruszcu maszyn i różne inne przybory górnicze.

A do tego przyrzekł usłużny agent, że postara się po swym powrocie do San Francisco o dwóch zdolnych inżynierów. Ci ostatni będą też pewnie mogli już pędzej stawić się na miejscu, aby wykonać prace przedwstępne. Maszyny natomiast nadejdą dopiero na wiosnę. I to razem z maszynami, które zamówił u niego z fabryki niejaki pan Mersey, właściciel kopalni złota w Bonanza-Creek.

Stósunki co do tego ułożyły się badzo pomyślnie, gdyż Bonanza-Creek nie był zbyt daleko odległy od El Dorado-Creck. Transport ciężkich maszyn mógł więc doznać znacznego ułatwienia, jeżeli obie strony sobie dopomogą.

I w sprawie wynajęcia ludzi do robót szczęście obrotnemu Buthleyowi dość sprzyjało. Nie dostał ich wprawdzie tyle ile ich pragnął, ale udało mu się po usilnych staraniach zgodzić pięciu. Zawsze i te dziesięć

dalszych rąk do pracy były nabytkiem, którym nie można było gardzić.

Ludziska musieli się na łeb na szyję szykować do odjazdu, gdyż Buthley, któremu nawet ten krótki pobyt w mieście już się sprzykrzył, naglił do powrotu.

Nie zanadto więc użył zabawy nasz John. Tańczył jednak kilka razy. Muramba natomiast, który przyjaciela swego prawie ani na krok nie odstępował, nie mógł się puszczać w pląsy. Raz bowiem biali niebardzo chętnie by to widzieli, a potem czerwonoskóry syn stepów nie umiał tańczyć na sposób białych. Przypatrywał się więc tylko, siedząc spokojnie jak trusia przy kieliszku, jak John i inni tańczą, czyli, jak sam mawiał, jak „się kręcą."

Po zakupieniu jeszcze niektórych rzeczy, które Buthley miał przywieść z sobą, nie czekał już ani chwili, tylko wybrał się ze swymi towarzyszami w drogę powrotną.

Pies, pozostały przy życiu, radosnem swem szczekaniem obwieścił mieszkańcom El Dorado-Creek szczęśliwy powrót naszej trójki.

Skutki złego towarzystwa.

Przysłowie mówi: „Z jakim przestajesz, takim się stajesz."

Prawdę, zawartą w tych słowach, potwierdza doświadczenie aż nazbyt często. Prawda ta okazała się niestety i tu w tak odległym od świata zakątku, jakim był El Dorado-Creek.

Poznaliśmy już w Johnie młodzieńca godnego i dobrych obyczajów. Jako młody człowiek był pełen życia i rwał się do zabawy. Lubił mianowicie tańczyć. Korzystał też ze sposobności wyjazdu do Dawson-City, aby

się w ten sposób rozerwać, o czem w poprzednim rozdziale była mowa. Ale podobnie jak Roy nie był bynajmniej hulaką. A już do rzetelności, to i najmniejszej skazy odkryć by u niego nie można.

Tymczasem miało się to ku jego wielkiemu nieszczęściu wnet zmienić na gorsze.

Pomiędzy cieślami, którzy przybyli z Dawson-City do El Dorado-Creek, znajdował się niejaki Sam Buxton.

Był on młodym jeszcze człowiekiem, zaledwie o dwa lata starszym od Johna. Ale coś niebardzo dobrze z oczu mu patrzyło.

Początkowo porówno z innymi kolegami był pilnym w pracy i wogóle nic mu nie było można zarzucić. Ale skoro zagrzał już trochę miejsca, zmienił swe postępowanie. Pokazał się takim, jakim był w rzeczywistości. Zaczął się w pracy opuszczać, a wobec głównego majstra, który musiał go nieraz napominać, stawiał się hardo i krnąbrnie. Gra w karty i to hazardowa, tańce i pijatyka były u niego wprost gorącą namiętnością.

Na miejscu nie mógł jej pod pierwszym i drugim względem puszczać wodzy. Nikt tu bowiem nie grywał w karty, chyba tylko w niedzielę. I to jedynie dla rozrywki. Były to więc gry wyłącznie towarzyskie, a w takich Sam nie miał upodobania. O tańce, gdyż tu byli sami tylko mężczyźni, także było trudno.

Za to łatwiej było można dostać wódki, gdyż w okolicy osiadło, jak nam już wiadomo, kilku kramarzy. A ci i nieszczęsne trunki mieli na sprzedaż. To też zaglądał tam częściej w wolnych chwilach lekkomyślny młodzieniec. A w niedzielę bywał u nich regu-

larnym gościem. Wracał też wtedy zwykle z ciężką głową do domu.

Ale im głowa była cięższą, tem sakiewka lżejszą. Sam trwonił w szynku zarobiony piękny grosz, który byłby mu się na lepsze cele bardzo przydał.

Przy takiej gospodarce bywało najczęściej u Sama płótno w kieszeni, a po dolarach ani dudu.

Zaczął więc przemyśliwać, jakby dojść do pieniędzy. Spoglądał coraz pożądliwszym wzrokiem na wydobywane z ziemi drogocenne nuggety. Nie był jeszcze tak skończonym łotrem, jak Morley, kulas, ślepiec, garbus i wielu innych w tych stronach, aby dopuszczać się wprost zbrodniczego rabunku. Ale pokryjomu podczas pracy tedy owedy, gdy mu niezbyt patrzano na palce, pakował tajemnie mniejszy lub większy nugget do kieszeni.

Było to możliwem, ponieważ cieśle po wykończeniu budowy domów i szopy, aż do nadejścia zimy pracowali jak zwykli robotnicy na klemie.

W ten sposób uciułał sobie Sam dość pokaźną ilość nuggetów. Przechowywał je z nadzwyczajną ostrożnością w szczelinie pomiędzy skałami góry, do której je zanosił.

Miał zamiar spieniężyć je kiedyś w mieście i — użyć do sytości gry, tańców i hulatyki, chociażby w końcu przyszło zmarnieć.

Był to więc pożałowania godny człowiek. Ale pomimo zbyt widocznych jego złych przymiotów, nie wydalono go z El Dorado-Creek. Bo pracodawcy pocieszali się wciąż nadzieją, że dobre ich rady i przestrogi może jeszcze pożądany odniosą skutek. Myśleli, że ostate-

cznie jednak się upamięta i poprawi. O kradzieży nuggetów wprawdzie nic nie wiedzieli.

A szkoda, że Sam pozostawał tam tak długo. Bo mimo wszelkich starań i zabiegów ze strony pracodawców i cieśli trybu życia nie zmienił. A oprócz tego zepsuł jeszcze drugiego, uczciwego aż dotąd ze wszechmiar młodzieńca.

Kimże był ten nieszczęśliwy?

Był nim nasz John Hastings.

Nieszczęście chciało, że Sam najchętniej do niego się zbliżał i z nim obcował, i to od samego początku.

I to wyszło na szkodę Johna.

Gdyby bowiem Sam dopiero wtedy był się z nim zaznajomił, gdy już prowadził życie rozpustne, to uczciwy młodzieniec nie byłby się z nim stykał. Byłby go od siebie odsunął, odepchnął.

Ale zaprzyjaźnili się z sobą w czasie, gdy Sam jeszcze wszystkich oszukiwał, gdy udawał porządnego człowieka.

John nie mógł się poznać na farbowanym lisie, który wewnątrz był wilkiem drapieżnym. Więc miał do niego zaufanie i darzył go swą życzliwością, a wreszcie i przyjaźnią.

Gdy stosunki doszły już do tego stopnia, stał się Sam dla Johna szatanem kusicielem. Do jego niewinnego serca sączył zwolna kroplę po kropli jadu zepsucia.

John ani się spostrzegł, gdy znajdował się już na dobre w szponach kusiciela.

Teraz mógł niegodziwiec już śmielej wobec niego występować.

Doszło do tego, że John zaczął z nim uczęszczać do szynku na wódkę. Nieraz mroczyło mu się od niej w oczach. Ale pił dalej. Je-

szcze jeden krok, a i on, podmówiony przez mniemanego przyjaciela, posunął się tak daleko, że zaczął również kraść znalezione nuggety.

Tego o nim starsi opiekunowie nie przypuszczali. Ale widząc złe skutki zadawania się z Samem, usiłowali nakłonić go, aby zerwał łączące go z niegodnym węzły przyjaźni.

Był to jednak groch, rzucany o ścianę.

John zaczął nawet coraz bardziej unikać Roya i pokazywać plecy Murambie, któremu to wielką sprawiało boleść. Za to lgnął jak mucha do miodu, do nowego przyjaciela. Każdą wolną chwilę spędzał w jego towarzystwie. Zdawało się, że obaj są niejako przykuci do siebie i rozłączyć się nie mogą.

Wiedli z sobą długie pogadanki, ale na osobności tak, że treść ich nie była reszcie znaną.

Podsłuchajmy jedną z takich rozmów.

— No, przecież raz wreszcie przekonałem cię, że głupstwem siedzieć tu jak pustelnik na puszczy. Jesteśmy młodzi, więc trzeba nam użyć świata, póki służą lata.

— Ano, toć masz słuszność — brzmiała odpowiedź Johna. — Ale zawsze ciężko by mi było okraść według twej rady jeszcze więcej tych ludzi i potem z tobą czmychnąć. Oni mnie wyświadczyli tyle dobrego. A i w ogólnym zysku odpowiedni chcą dać udział.

— Obiecanka cacanka, a głupiemu radość.

— Ale ja ani na chwilę nie wątpię, że dotrzymają słowa.

— Niechajby i tak było. Ale zawsze odrazu się zbogacić to milej, jak czekać na to i

ciężko pracować tak długo. Doprawdy nie myślałem, że taka z ciebie baba. Brak ci zapewne odwagi.

— Co do tego, to się mylisz...

— Więc pokaż to czynem. Słowa to wiatr.

I rozmowa na ten temat jeszcze długo się ciągnęła. Pomimo wszelkich podszeptów ze strony Sama, John jednak planom jego stawiał opór.

— Ale na cóż wódka — pomyślał niezrażony tem niepowodzeniem kusiciel. — W niedzielę spoję go doskonale, a pewnie więcej wtedy wskóram.

I poszli znów w niedzielę do szynkowni. W mocno podpiłym stanie udało się łotrowi dostać Johna całkiem w swoje sidła.

Umówili się, że w najbliższy już wtorek wykonają ukuty przez Sama plan. Pod osłoną nocy ściągną pokryjomu jeden z małych worków z nuggetami, które leżały w szopie, aby ciężar nie był zbyt wielki. Potem pójdą do podnoża góry i tam ze szpary w skale zabiorą nagromadzony powoli za pomocą kradzieży zapas złota i z tą zdobyczą ulotnią się następnie do Dawson-City. Tam zabawią się tak od serca, a potem powędrują w obce zupełnie strony.

John nie posiadał już tyle siły moralnej, aby w ostatnej jeszcze chwili przed tak występnym krokiem się cofnąć.

Pies nie zaszczekał, boć to byli domowi. Więc o umówionej porze wykonała nasza para hultajska swój zamiar.

Nuggety ciążyły im wprawdzie dość przykro, ale mozolili się, aby jaknajwięcej pieniędzy za nie dostać.

Na drugi dzień rano dopiero zauważono w El Dorado-Creek nieobecność młodych ludzi.

Stwierdzono też brak worka z nuggetami. To wyjaśniło ich zniknięcie. Chciano puścić się w pogoń, ale tyle tu było śladów nóg ludzkich, że niepodobna było wymiarkować, dokąd się skierowali.

Okropne przygnębienie wszystkich ogarnęło. Że zginął Sam, tego nie było powodu żałować. Ale smutno im było, że i John mógł coś podobnego uczynić.

Najbardziej bolał nad tem Ferman. Boć był do pewnego stopnia opiekunem i stróżem młodego Johna. Spoczywała na nim odpowiedzialność wobec jego ojca, który mu syna swego powierzył.

To też nie mógł ani jeść ani pić ze zmartwienia. Nie wziął też przez kilka dni ani rydla ani motyki do ręki. Siedział najwięcej w głębokiej pogrążony zadumie. Przemyśliwał nad tem, jakby odszukać zbłąkaną owieczkę i z manowców na dobrą zwrócić drogę.

— Już wiem co zrobię — odezwał się razu pewnego do Whitego, który go właśnie pocieszał. — Prawie nie wątpię, że zbiegi udali się przynajmniej na jakiś czas do Dawson-City. Boć potrzeba im będzie gotówki. A to najbliższe ztąd miasto. Czemprędzej więc sam tam podążę. A Bóg dobrotliwy może pobłogosławi mym dobrym chęciom i uchroni Johna za mem pośrednictwem od ostatecznej zguby.

I zaraz dnia następnego wybrał się w drogę.

Ale wróćmy teraz do uciekinierów, aby zobaczyć, jak im dalej poszło.

W jednej z oberż w Dawson-City wieczorem nader gwarno i wesoło. W głównej sali rznie muzyka od ucha. Liczny szereg par bawi się w tany. A coraz słychać głośniejsze wybuchy wyuzdanej radości.

Między tancerzami uwija się i pewien nasz znajomy.

To John.

W pobocznym lokalu prosty stół otoczony dokoła gośćmi. Grają w karty. Przy każdym graczu kupka pieniędzy. Kupki te się zmieniają, to zwiększają się, to maleją. Bo raz wygrywa ten, to znów inny przegrywa.

Nie brak i butelek z wódką. Co chwila gracze pokrzepiają się tym nektarem — dyabelskim.

Naraz powstaje zgiełk i wrzawa.

— Grasz fałszywie, padalcu! — huknął jakiś brodacz, który właśnie przegrał pieniędzy.

— Łżesz psi synu! — odpowiedział przepitym głosem jakiś młody człowiek.

Brodacz tymczasem powstał. Z błyskawicą w oczach porwał za ciężką butelkę i rzucił nią z całą siłą w głowę przeciwnika.

— O jej! Ratujcie! — wyjąkał ugodzony ciężkim pociskiem. Potoczył się i runął na podłogę.

Były to ostatnie w życiu jego słowa.

Już nie żył.

A był to Sam Buxton, uwodziciel Johna.

Jakie życie, taka śmierć. Żył marnie i marnie zginął.

Mało użył z tego złota, które sobie nieprawnie przywłaszczył.

Można sobie wystawić, że hałas, który w tym lokalu powstał, zwabił wszystkich w obe-

rży się znajdujących. Nawet tańczący się zbiegli.

John zadrżał konwulsyjnie, skoro w zabitym poznał swego przyjaciela Sama.

Wtem otwierają się drzwi. Do lokalu wchodzi nowy gość.

To Ferman.

Prędko obejrzał się po lokalu. Ujrzał, co się stało. Domyślił się natychmiast co było powodem tego strasznego zajścia.

— Nieszczęsna wódka i karty... — szepnął sam do siebie.

A po chwili dodał:

— To Sam, złodziej i uciekinier... Pewnie więc i Johna tu znajdę.

Znów obejrzał się dokoła.

I znalazł Johna.

Młodzieniec stał, jak w ziemię wryty z wzrokiem osłupiałym z przerażenia, wstydu — i żalu.

— Chodźmy ztąd — rzekł łagodnie Ferman.

I ująwszy Johna pod rękę, wyprowadził go z tej oberży.

John szedł jak bezwładny.

Nie zamienili po drodze ani słowa. Dopiero, gdy weszli do jednego z porządniejszych pokoików, Ferman pierwszy tak się odezwał:

— Widziałeś, mój kochany, do czego prowadzi złe życie. Nie chcesz na podobne narazić się niebezpieczeństwo, wejdź w siebie i stań się znów uczciwym człowiekiem. Bo tylko uczciwy może być szczęśliwy. Szkodaby ciebie, gdy byś zmarniał. Bo tylko złe towarzystwo cię zepsuło.

Tu strumień łez gorących trysnął z oczu młodzieńca. Szlochał tylko, nie mogąc jeszcze

wymówić ni słowa i kurczowo ściskał rękę swego opiekuna.

To wystarczyło.

Ferman był pewnym, że John wróci do starego trybu życia, że szczerze się nawrócił.

Łza radości zabłysła w źrenicy tego zacnego człowieka. I rzekł:

— Dzięki Ci Boże, że wysłuchałeś mych modłów. Ufność moja mnie nie zawiodła...

Tę noc spędzili obaj w owej gospodzie. A już następnego poranku wyruszyli w drogę do domu.

W El Dorado-Creek całe grono znajomych powitało przybyszów z większą aniżeli kiedykolwiek radością.

A byli tyle delikatni, że nikt nigdy ani słowem nie przypomniał Johnowi jego złego czynu.

Odtąd John, Roy i Muramba tworzyli nierozerwalną trójkę przyjacielską, z czego starsi byli wielce zadowoleni.

Praca szła znów tem raźniej i ochoczej. To też poprzednią stratę nuggetów wnet w dwójnasób powetowano.

Przyjazd inżynierów.

Upłynęło znów kilka tygodni. Czasami powietrze bywało już tak dokuczliwem, że tylko w dobrze opalonych domach pobyt był znośnym.

Na szczęście nie brakowało naszym znajomym opału. Las był tuż pod ręką, więc narąbano już zawczasu tyle drzewa, że wielkie stosy drewek leżały tuż w pobliżu szopy.

Pewnego dnia zaszczekał pies. Dał znać, że zbliża się ktoś obcy.

Wszyscy wyjrzeli ciekawie, boć w tych stronach odwiedziny należały do bardzo rzadkich wypadków.

Nie było obawy, żeby ktoś w złych zbliżał się zamiarach, gdyż ujrzano tylko dwóch przyzwoicie ubranych mężczyzn. Więc wobec daleko większej liczby własnych ludzi w żadnym razie nie groziło osadzie ani na nowo gromadzonym zapasom nuggetów niebezpieczeństwo.

Buthley wyszedł kilkadziesiąt kroków na powitanie obcych.

Przybysze skłonili się w grzeczny sposób na powitanie. Na pierwszy rzut oka znać po nich było, że to ludzie wykształceni i ogładzeni.

Buthley jednak się jeszcze nie domyślił, kto to być może. Niebawem jednak ciekawość jego została zaspokojona.

Obcy przedstawili się jako inżynierzy. Oświadczyli też, że przybywają z bardzo daleka, gdyż aż z San Francisco.

— A to pewnie panów przysłał tu pan Lee, agent owej wielkiej fabryki, w której zamówiliśmy różne maszyny — rzekł uradowany Buthley.

Tak też było w istocie.

I reszta mieszkańców naszej osady przywitała tę pomyślność z szczerem zadowoleniem.

Ferman dał temu wyraz w tych słowach:

— A to ładnie ze strony tego pana, że dotrzymał słowa.

White zaś dodał:

— A do tego przybyli panowie znacznie rychlej aniżeli spodziewać się mogliśmy. Jeżeli pan Lee w tym punkcie rzecz tak dobrze załatwił, to i co do dostawy zamówionych maszyn i narzędzi możemy być spokojni.

— Ale teraz — odezwał się Buthley — trzeba, aby ci panowie po tak dalekiej podró-

ży wypoczęli. Przedewszystkiem zaś należy im podać posiłek.

Hej Muramba — zawołał — zabierz się do gotowania, a pokaż, co umiesz. Bo panowie z tak wielkiego miasta mają delikatne podniebienie.

Muramba spiesznie zakrzątał się w kuchni i wkrótce posiłek był na stole. A przybysze jedli z widocznym apetytem. Czerwonoskóry kucharz wnosił z tego, że im jadło smakowało.

Już następnego poranku obejrzeli sobie inżynierowie w towarzystwie Buthleya dokładnie górę, w której miano założyć kopalnię. Zbadawszy rys w skale, w której znajdowała się żyła złota, orzekli, że jest ona nadzwyczaj długą i zawiera mnóstwo drogocennego kruszczu. Zapowiedzieli też, że według wszelkiego prawdopodobieństwa takich żył wiele w skałach się znajduje. Można się też spodziewać, że niektóre z nich będą jeszcze znacznie obfitsze.

O ile to bydło na prędce możliwem, robili dalsze badania i stwierdzili, że w swych przewidywaniach się nie mylili.

Ale okazała się potrzeba sprowadzenia większego zapasu prochu do rozstrzeliwania skał. Bo to, co obecnie znajdowało się w osadzie, na wykonanie większych prac nie wystarczało.

Niecierpliwy Buthley kwasił się, że nikt przedtem o tem nie pomyślał. Ale Ferman uspokoił go doświadczeniem, że przecież nikt nie mógł wiedzieć, iż panowie inżynierowie tak nadspodziewanie rychło się tu zjawią.

Na to odezwał się Buthley:

— To właściwie prawda. Ale teraz, gdy ich tu już mamy, musimy się pospieszyć, aby zaopatrzyć się w potrzebny zapas prochu. Bo byłoby to naszą szkodą, gdyby rozpoczęcie większych prac dla zapoczęcia kopalni miało się zanadto opóźnić.

I miał słuszność, gdyż inżynierowie wymówili sobie po dziesięć dolarów płacy dziennej.

Ponieważ spadł już i śnieg, zrobili cieśle naprędce z drzewa narty czyli rodzaj długich łyżew, za pomocą których podróż szybciej odbywać się mogła. Oprócz tego przygotowali kilka par długich drążków, okutych na końcach ostrem żelazem, co do takiej wędrówki po śniegu bardzo było przydatnem.

Bo o podróży wodą teraz już mowy być nie mogło. Rzeki były zanadto ubogie w wodę, tak że żegluga była wykluczona.

Było to już w pierwszej połowie października, gdy Buthley, White i Ferman udali się do Dawson-City.

Na wszelki przypadek byli, jak zwykle podczas podróży w tych stronach, uzbrojeni w karabiny i rewolwery. Oprócz tego zabrali dwaj ostatni jako zawodowi traperzy długie noże myśliwskie oraz torby. Te ostatnie służyły też zarazem do pomieszczenia trochę żywności na drogę.

Podróż na nartach po dość obfitym śniegu odbywała się dość szybko. Stanęli też szczęśliwie u celu.

W mieście panowało teraz ruchliwsze życie, niż podczas lata. W lecie bowiem ludziska pracowali na klemach. Teraz zaś wielu z nich wróciło, gdyż z powodu zimna i śniegu robota albo już całkiem była zakończona, albo też

przerwana aż do wiosny. A w lekkich chatach z desek siedzieć bezczynnie, nie było bynajmniej przyjemnością. W mieście też było weselej i nie zbywało sposobności do użycia różnorodnej rozrywki.

To też w oberżach, szynkach i zajazdach było ludno i gwarno.

Tu przygrywała do tańca kapela. Tam grono mężczyzn siedziało przy kartach. W innem miejscu gwarzono. A wszędzie stało na stole wino, a jeszcze częściej wódka. Rozlegał się śmiech, okrzyki, podskakiwania tańczących.

Od czasu do czasu zanosiło się też na burzę. Ale wkraczał właściciel lokalu i najczęściej udawało mu się przywrócić zgodę i spokój.

Szynkarze aż ręce zacierali z radości.

Robili dokonały interes. Bo ludzie przybyli z klemów mieli dolary w kieszeni. A nie oszczędzali ich. Zresztą przegrał jeden wszystko co zebrał za nuggety, lub zarobił przy pracy u innych, to dolary wędrowały do kieszeni drugiego, a ten tem więcej wtedy mógł sobie pozwolić, tem więcej wydawał.

Nasi znajomi należeli do tych, którzy spędzali wolny czas na pogadance. Żaden z nich ani tańczył ani nie wziął kart w rękę.

Inaczej byłoby zapewne, gdyby młodzi byli z nimi. Taki John lub Roy zapewne nie byliby usiedzieli na miejscu, słysząc dźwięki skocznej muzyki. Starszym już się nie chciało kręcić się, jak mawiał Muramba.

Swoją drogą trójka nasza, to jest Buthley, White i Ferman, wypiła też kilka butelek wina. Bo raz nie wypadało siedzieć tak na sucho

w lokalu, gdzie chciano zarobić. A potem i pogadanka przy napitku raźniej szła.

Drugiego dnia, po należytem wyspaniu się, zaczęli załatwiać interesy i robić zakupna.

A było tego niemało. Bo potrzebny im był, jak nam już wiadomo, znaczny zapas prochu do rozsadzania skał. Dalej mieli znów przywieźć sporo świeżego prowiantu. Oprócz tego życzył sobie ten i ów z pozostałych w domu jakichś drobnostek. A wreszcie należało nabyć i dwie pary sanek, aby módz na nich przewieźć do El Dorado - Creek zakupione towary. A ponieważ sanki same o własnej sile posuwać się nie mogą, ludziom zaś byłoby zbyt trudno je ciągnąć, przeto trzeba też było obejrzeć się za psami, któreby to zadanie spełniły.

Właśnie ta ostatnia sprawa sprawiała naszym znajomym najwięcej kłopotu.

Bo potrzeba było psów przynajmniej dwanaście, po sześć do każdych sanek. Musiały to też być psy odpowiadające celowi, a więc rosłe, silne i dobrze ujeżdżone. A takich, i to w takiej ilości, nie można było zbyt łatwo dostać.

Musieli dużo chodzić, pytać się i szukać.

Ale w końcu szczęśliwym trafem i to się udało. Przyjechało bowiem do Dawson - City kilku traperów, którzy po sprzedaniu swych skór i futer psów już nie potrzebowali. I ci sprzedali je naszym znajomym.

Cena była wprawdzie dość wygórowana, ale z konieczności trzeba się było i na to zgodzić.

Chociaż więc trójka nasza musiała dość głęboko sięgnąć do kieszeni, jednak w gruncie rzeczy była z dobicia targu zadowoloną. Wszak

psy i na miejscu, to jest w ich osadzie, były i przydać im się mogły. A chcąc podczas zimy od czasu do czasu wybrać się za sprawunkami do miasta, obyć się bez tych pożytecznych zwierząt było niepodobnem.

Jako pożywienie dla psów kupiono spory zapas suszonego mięsa bawolego, a na drogę oprócz tego osobno dla nich kilka bochenków chleba.

Po załatwieniu wszystkich interesów puszczono się w podróż powrotną.

Psy nie zawiodły. Harty również spełniły swą powinność. Podróż przeto dość szybko się odbywała. Aż tu naraz powstała gwałtowna śnieżyca.

Śnieg zaczął padać wielkiemi płatami. Do tego dął szalony wicher, który je nietylko ludziom, ale i psom zwiewał w oczy, tak że widzieć nic nie było można.

Dalsza jazda w takich warunkach była niemożliwą.

To też nasza karawana z pospiechem stanęła, ukrywając się za wysokim brzegiem rzeki, wzdłuż której odbywała swą podróż.

To dawało przynajmniej pewną ochronę. Ale całkiem od zawieji uchronić nie zdołało.

Grono wędrowców siedziało więc skulene w śniegu jak stado kuropatew. Czekali, ażby owa burza śnieżna minęła.

I jakoś mieli szczęście.

Po upływie dobrych dwóch godzin wicher przestał przeraźliwie świszczeć. Wnet ustał prawie zupełnie. A i śnieg przestał padać. Niebo się znów wypogodziło.

— Teraz dalej koledzy! — wzywał Buthley. — Spieszmy się, żeby jaknajprędzej stanąć w domu i mieć dach nad głową. Bo nie chciał

bym, żeby nas druga taka śnieżyca zaskoczyła. A i wy pewnie za tem nie tęsknicie.

Wszyscy więc porwali się na nogi. I psiska zziębnięte podniosły się żwawo.

Widocznie wolały pędzić, choć musiały ciągnąć sanki z dość ciężkim ładunkiem, jak leżeć cicho przy takiej iście psiej pogodzie.

Wszyscy odetchnęli, gdy już zdaleka ujrzeli dachy zbudowanych na górze domów.

Nawet psy, chociaż tu jeszcze obce, cieszyły się, że się ta uciążliwa podróż skończyła.

Po wyprzągnięciu wnet się zaznajomiły i pokumały z Plutonem — tak się nazywał jedyny dotąd pies — w osadzie.

Nawet nie gryzły się. Zapewne obce psy zanadto były zmęczone. A co do Plutona, to zdawało się, że jest kontent, iż będzie miał tu towarzystwo przedstawicieli swego rodu, niejako kolegów.

Na miejscu dowiedzieli się przybysze, że i tu szalała w tym samym czasie wichura z obfitym śniegiem. Ale obyło się bez wszelkiego wypadku. Domy były przez cieśli tak silnie zbudowane, że wytrzymały i najgwałtowniejsze ataki tej zimowej burzy.

Muramba musiał zaraz zabrać się do swej kucharskiej czynności, aby przybysze ciepłą strawą posilić się mogli. Psy czemprędzej wyprzężono, aby wypocząć mogły. Towary zniesiono do szopy.

Polowanie na niedźwiedzie.

Zima w tych stronach ostra i długa.

W dni powszednie czas przy pracy upływał dość szybko. Ale w niedziele bywały i nudy.

Aby je rozpędzić, grywał Roy częściej na harmonice. Oprócz tego przywieźli inżynie-

rowie z sobą nieco książek, z których po kolei każdy z nich głośno czytywał. Reszta z pilną uwagą słuchała. Dawali też różne objaśnienia, jako że byli ludźmi wykształconymi. Więc był z tego i niemały pożytek. Muramba robił też zwykle doskonały grok. A przy miłej pogadance długie godziny tem przyjemniej upływały.

Swoją drogą nie zapominano i o modlitwie. Albo White albo Ferman, a czasami i Buthley czytywali jaki ustęp z religijnej książki. Potem następował wspólny śpiew. I to zastępowało całej osadzie nabożeństwo, gdyż duchownego w całej tej okolicy nie było.

Było to w drugiej połowie stycznia. Powietrze, choć mroźne, było piękne i suche. Od kilku już dni nie spadł świeży śnieg.

I gdy tak znów siedziano w niedzielę przy wspólnej pogawędce, White tak się odezwał:

— Wiecie co, przyjaciele, ja jestem starym traperem, to jakoś odezwała się we mnie znów żyłka myśliwska. A tu tak dawno nie polowałem, że człowiek gotów zupełnie wyjść z wprawy. I Ferman, który również strawił zęby w zawodzie traperskim, nie byłby pewnie od tego, znów się z fuzyą trochę przewietrzyć. A i futra ciepłe w tych mrozach oddałyby nam pożądane usługi. Myślę więc, że nie byłoby od rzeczy, urządzić na kilka dni wyprawę myśliwską.

Przy tych słowach Ferman aż się podniósł ze swego siedzenia. I w nim krew myśliwska zakipiała.

— Dobrze, bracie! — zawołał. — doskonały to pomysł. Toć na nuggetach — Bogu dzięki! — nam nie zbywa. A i nasza kopalnia, choć to dopiero początek, dostarczyła nam spo-

ro złota. Więc moglibyśmy w isłocie poświęcić spokojnie kilka dni, aby się przewietrzyć i może zaopatrzyć w piękne futra. — Ale i ja wraz z Johnem radbym wam towarzyszyć — zawołał Roy.

John zaś dodał:

— Jeżeli wolno prosić, to weźmy z sobą i kucharza. Toć Muramba przy ciągłym ogniu już prawie sam się upiekł. Przydałoby mu się więc trochę przemrozić.

— Kiedy już was porwał taki zapał — zabrał wreszcie głos Buthley — to trudno się sprzeciwiać. Nasi młodzi naturalnie też pójdą. Ale możeby i panowie . inżynierowie mieli ochotę wybrać się na łowy?

Ci jednak oświadczyli, że wolą pozostać w domu. Bo nie chcieliby, aby pracę w kopalni zupełnie przerwano, zwłaszcza że zajęci byli właśnie wykończeniem sztolni czyli ganku podziemnego w kopalni. Zresztą nie byli myśliwymi, gdyż podczas nauk w wielkiem mieście nie mieli dotąd sposobności uczestniczyć w polowaniach. Jako niestrzelcy nie mogli by też przy tem być pomocnymi.

Łowy zostały postanowione, i to już na najbliższe dni. Zalecało się bowiem korzystać z pięknej zimowej pogody, a nie czekać, aż może znów nastanie zawierucha.

Ponieważ zakupione niedawno w Dawson-City sanki były zbyt wielkie i ciężkie, przeto zrobili cieśle sanki mniejsze i lżejsze. Takie też wśród drzew i skał łatwiej przedostać się mogły. A sanki należało zabrać z sobą tak do transportu prowiantu jako też skór, które spodziewano się zdobyć na polowaniu. A przecież psów było poddostatkiem.

Do pomocy uchwalono też wziąść z sobą tych kilku Indyan, którzy wraz z Murambą pozostawali jeszcze w El Dorado-Creek.

Buthley sam oświadczył, że w tej wyprawie udziału nie weźmie, gdyż ktoś musi dla straży całej osady i zapasu złota pozostać w domu.

Skoro wszelkie przygotowania były ukończone, cała karawana, serdecznie przez pozostających w domu żegnana, wybrała się w drogę.

Puszczono się ku górom Chippeway, tworzącym północne kończyny łańcucha gór Rocky-Mountains, po przeciwnej stronie rzeki.

Jak słyszano, znachodziły się tam dość licznie niedźwiedzie.

Rzeka była już oddawna grubym lodem pokryta. To też przeprawa poza nią nie sprawiała żadnych trudności.

Na samym początku jednak nie miano szczęścia. Nie znaleziono śladu nietylko niedźwiedzi, lecz żadnej innej zwierzyny.

Nadszedł też już wieczór, i to, jak w tej porze roku bywa, bardzo wcześnie.

Trzeba się było gdzieś na noc ulokować.

W tym celu wybrano miejsce, zasłonięte wysoką skałą i chroniącą w ten sposób od mroźnego wiatru. Indyanie naznosili sporo gałęzi, tak iż można było rozniecić i podtrzymywać ogień.

Muramba i tu przydał się jako kucharz. Wnet wystawił wieczerzę, którą cała gromada

się posiliła. Nie zapomniano naturalnie i o psach, którym już głód dokuczać poczynał. Potem zapalono fajki i gwarzono przy groku przez dłuższy czas. Nakoniec wszyscy ułożyli się do snu, owinięci w grube derki i kołdry oraz owcze futra.

Tak upłynęła noc bez wszelkiego wypadku.

Rano spożyto śniadanie i puszczono się dalej na łowy.

Teraz szczęście lepiej naszym znajomym sprzyjało.

Zaledwie uszli z godzinę drogi w kierunku północnym, a ujrzeli wydeptane w śniegu szerokie ślady łap niedźwiedzich.

Było to w niezbyt szerokiej dolinie, ciągnącej się między skałami.

Że na ten widok serca myśliwych radośnie bić poczęły, rozumie się samo przez się.

Spiesznie postępując za śladami niedźwiedzia, zbliżyli się do skalistej góry i znaleźli wkrótce dość wąską szczelinę w skale. Szczelina ta ku wnętrzu coraz bardziej się rozszerzała i prowadziła do dość obszernej jamy czyli pieczary.

— Tam z pewnością misie mają swe legowisko — odezwał się White. — Tam ich leże zimowe, z których wychodzą tylko rzadko na dwór, jeżeli głód zanadto im dokucza.

— Dalej! Dalej! — dorzucił Ferman, u którego żyłka myśliwska na dobre się odezwała, nagląc do pospiechu.

Zapalono głownie, aby można ciemną jaskinię oświetlić. Mieli je Roy i John, podczas gdy Muramba ku swemu ubolewaniu wraz z resztą Indyan pozostać musiał przy saniach

u wejścia do jamy. Byłby też chętnie wszedł do niej wraz z myśliwymi, lecz względy praktyczne nakazywały nie brać z sobą zbyt wiele ludzi. Wszak w pierwszej chwili nie wiedziano nawet, czy większa liczba zdołałaby się w niej pomieścić tak, aby nie być strzelcom przeszkodą.

Jama była jednak, jak już wspomnieliśmy, dość obszerna.

W głębi jej zauważyli nasi znajomi przy świetle swych pochodni parę brunatnych niedźwiedzi.

Były to wspaniałe okazy swego gatunku. Właśnie podnosiły się. Widocznie zbudził je szelest zbliżających się kroków oraz szczekanie niecierpliwiących się psów, które je zwietrzyły.

Ferman pierwszy wypalił. A strzał był tak celny, że trafiony śmiertelnie niedźwiedź nie miał nawet czasu stanąć na nogi.

Przewrócił kozła. Był już nieszkodliwy.

Gorzej poszła sprawa z niedźwiedzicą. Przerażona hukiem i widząc co spotkało jej małżonka, wydała z siebie ryk przeraźliwy, który złowrogiem echem odbił się o skaliste ściany jaskini. Równocześnie wspięła się na tylne nogi i ruszyła naprzeciw napastnikom.

Ale w tej chwili padł znów strzał. Tym razem White dał ognia. Lecz mimo nieustraszonej swej odwagi, chybił. Ręka mu drgnęła, gdy pociągnął za cyngiel. Kula drasnęła niedźwiedzicę w łopatkę i strzaskała jej kość.

Ranne zwierzę popadło jakby w szał wściekłości. Mrucząc i ryczące oraz kulejąc gotowało się do strasznego natarcia.

Młodzieńcom aż oddech zamarł w piersiach na ten widok okropny.

Ranna bestya była już tuż blisko Whitego, który chciał dać do niej drugi strzał. Lecz fuzya w tej krytycznej chwili zawiodła.

Zdawało się, że niedźwiedzica obejmie go swemi łapami jakby w żelazne kleszcze i kości mu połamie. Już silnemi pazurami rozdarła lewe ramię myśliwego, tak iż trysnęła z rany krew obficie. Ale teraz przyskoczył koledze dzielny Ferman na pomoc. Wydobywszy z błyskawiczną szybkością z za pasa długi i ostry nóż myśliwski, wepchnął go aż po samą rękojeść w piersi czworonożnego napastnika.

Ferman ugodził w serce niedźwiedzicy.

Runęła jak kłoda zwalona u nóg jego.

White ocalał. Wobec przelękłych młodzieńców uścisnął serdecznie prawicę swego wybawcy, dziękując mu za skuteczny ratunek.

— Inaczej — mówił — byłbym niechybnie tą wyprawę łowiecką życiem swem przypłacił. Nawet jako traper nie znajdowałem się nigdy w tak wielkiem niebezpieczeństwie.

— Bogu niech za to będą dzięki — odrzekł wzruszonym głosem Ferman — że za moją pomocą ocalił cię od śmierci. Ale teraz trzeba czemprędzej opatrzyć twą ranę. Mam nadzieję, że się zagoi, tak iż to ci nie przyniesie szkody.

Roy i John świecili znów swemi głowniami. Wszyscy wyszli na dwór. Ferman wyjął z tobołka, znajdującego się na saniach, co było potrzeba, obmył i obwiązał ranę. Obejrzawszy ją dokładnie, oświadczył też, że niema obawy, aby rana była zbyt niebezpieczną.

Chciał jednak na miejscu zawracać do osady w El Dorado-Creek, aby ranny mógł w osadzie troskliwszej doznawać opieki i pielęgnacyi.

Ale White ani słuchać o tem nie chciał. Tłomaczył się uporczywie.

— A to dopiero był ładny przykład dla naszych młodych przyjaciół. Kto się nadaje na polowanie na niedźwiedzia, musi być na złą przygodę przygotowany. Większą przykrość od tej rany sprawia mi to, że w dalszych łowach nie mogę brać czynnego udziału i przez dłuższy czas niezdolny będę do pracy w kopalni. Ale trudna rada. Muszę się i z tą myślą pogodzić.

Pójdę ja z wami dalej, a jeżeli już inaczej służyć wam nie mogę, to wyręczę przynajmniej po kolei Roya i Johna, aby oni tem więcej myśliwskiej przyjemności użyć mogli.

Powoli uspokoili się wszyscy uczestnicy tej wyprawy.

Muramba ze swymi czerwonoskórymi ziomkami wyciągnął przy świetle zapalonych znów pochodni olbrzymie cielska ubitych niedźwiedzi na dwór.

Niebawem ściągnięto z nich cenną skórę, aby ją wysuszyć. Przednie cztery łapy, które uchodzą za rodzaj delikatesu, ucięto a także tylne szynki, aby po kilku dniach zrobić z nich pieczyste.

Muramba, przywiązany do białych, żałował szczerze, iż Whitego tak smutna spotkała przygoda. Ale na widok tak pięknych kawałów mięsa wnet się rozweselił.

Reszta mięsa i wnętrzności służyć miały jako pożywienie dla psów.

Teraz udało się całe grono wspólnie do jaskini, aby ją sobie lepiej obejrzeć.

Długość jej wynosiła około ośm, a szerokość do pięciu metrów. Była też dobre sześć metrów wysoka.

— To wcale niezły salon — odezwał się White, chcąc wszystkich rozerwać. — Gdyby tak nasz Roy miał tu z sobą harmonikę, to moglibyśmy potańczyć. Prawie szkoda, że nie zabrał jej z sobą, ale widocznie nie miał ochoty przygrywać niedźwiedziom. A ja niestety jako inwalida chyba tylko tak mógłbym tańczyć, jak niedźwiedzica, gdy ją postrzeliłem...

— Ranny, a takie żarty stroi — wtrącił Ferman. — To dopiero zuch! Bierzcie z niego przykład, wy młodzi. Ale teraz żarty na stronę. Tu rzeczywiście wygodnie w tej niedźwiedziej siedzibie. Proponuję, abyśmy pozostali tu aż do jutra rana. Na dziś dość wrażeń i dość zdobyczy. Jutro zaś dalej się wybierzymy.

Wniosek ten został jednogłośnie przyjęty. To jest przez białych, gdyż czerwonoskórych, mimo całej dla nich życzliwości, z wyjątkiem Muramby, nie pytano o zdanie.

Wyprzężono wnet psy i wzięto je do jaskini, gdzie rzuciły się chciwie na ofiarowane im wnętrzności niedźwiedzie. Smakowały im widocznie, chociaż Muramba ich nie upiekł. Za to zabrał się do przyrządzenia ciepłego posiłku dla naszej drużyny, a przy buchającym płomieniu ognia poszło to bardzo szybko.

Od ognia jaskinia dobrze się ogrzała, więc w nocy wszyscy spali doskonale.

Nawet White tylko kilka razy z bólu na krótko się przebudził.

W ciągu następnego dnia ubili nasi myśliwi kilka lisów. Skóry ich zabrali naturalnie z sobą.

A dodać wypada, że chcąc młodym sprawić przyjemność i odszkodować poniekąd za to, że nie było im danem ubić niedźwiedzia, Ferman prawie tylko im samym do nich strzelać pozwolił. Sam zabił tylko jeden egzemplarz lisiego rodu.

Muramba cieszył się bardzo, iż i on mógł oprócz swej sztuki kucharskiej pokazać się także ze swą sztuką myśliwską. I on zastrzelił tęgą lisicę.

Podczas dalszej wyprawy ukazała się ku wielkiej radości naszych znajomych inna zwierzyna.

Były to bobry, których futra są bardzo przydatne.

Wejścia do kunsztownie urządzonych mieszkań tych zmyślnych zwierząt znajdowały się pod wodą. Aby się więc do nich módz dostać, wygryzły w lodzie otwory, rodzaj przerembli. Przez nie też wypływały na powierzchnię, aby dotrzeć do brzegu lub łowić ryby, służące im jako pokarm.

Całe stadko tych zwierząt spostrzegli nasi myśliwi na lodzie. Aby ich nie spłoszyć, rozstawili się z wielką ostrożnością w kilku punktach nad brzegiem rzeki i czekali, aż zbliżą się do brzegu.

W ten sposób udało im się ubić kilka sztuk tej zwierzyny. Zabrano tylko ich skórki, gdyż mięsa bobrów nietylko ludzie jeść nie mogą, lecz nawet psy niem gardzą.

Na tem skończyło się już polowanie. Raz bowiem nie udało się już nigdzie odnaleść śladów niedźwiedzi, a w dodatku Ferman do-

magał się stanowczo powrotu do domu. Uległ początkowo życzeniu Whitego, aby po znanym wypadku z niedźwiedzicą nie zaniechać łowów, ale nie chciał pozwolić na to, żeby ranny zbyt długo pozostawał na tak ostrym mrozie. To bowiem pomimo bardzo twardej natury mogłoby mu ostatecznie zaszkodzić.

Wrócono więc tą samą drogą do jaskini, w której stoczono przedtem walkę z niedźwiedziami i tam znów przenocowano. Następnie odpoczęto na owem miejscu przy skalistej górze, gdzie spędzono pierwszą noc. Potem zaś wprost podążono do El Dorado-Creek.

Psy tak rączo ciągnęły sanie z ładunkiem skór, że ludzie ledwie zdążyć mogli za niemi. Psiska, jak się zdaje, wiedziały, że to podróż powrotna, jak to u koni zwykle bywa, które do domu również prędzej spieszą, aby się dostać pod dach i do żłobu.

Wyprawa nasza stanęła też szczęśliwie w osadzie.

Witano ją tam tak samo serdecznie, jak ją przed kilku dniami żegnano. Zwłaszcza Ruthley cieszył się wielce z powrotu towarzyszy.

Ubolewał tylko gorąco nad tem, że poczciwy White wrócił z ciężką raną. Ale on sam starał się znów wszystkich uspokoić i mówił:

— Ano, bestya powitała mnie i pożegnała zarazem inaczej, jak wy, moi kochani koledzy i przyjaciele. Ale co prawda, to byliśmy w ich domu nieproszonymi gośćmi. A nawet rozbójnikami. A wszakże i my napastników także niebardzo grzecznie swego czasu przyjęliśmy. Zresztą Ferman, mój zbawca, odpłacił niedźwiedzicy pięknem za nadobne. Teraz to już i panowie inżynierowie, chociaż nie są

myśliwymi, mogliby spokojnie wejść do tej jaskini, tak jak się obracają w naszej kopalni.

Te słowa rannego wywołały śmiech u towarzyszy.

Żartobliwe odezwanie się Whitego świadczyło też o tem, iż nie czuje się zanadto chorym i osłabionym.

A wobec wygody i bardzo troskliwej pielęgnacyi, której w osadzie doznawał, rana jego szybko się goiła.

Humor jego wzmagał się też coraz więcej. I tak gdy Roy znów pewnej niedzieli na swej harmonice wyprawiał muzykę, rzekł:

— Już nieledwie w niedźwiedziej jamie miałem ochotę zatańczyć. Ale wtedy siły mi niedopisywały. Teraz jednak mógłbym to w istocie zrobić. Ale powstrzymuje mnie od tego wstyd przed młodymi, którzyby starego dziwaka wyśmiać gotowi. Zaczekam więc, aż który z nich wyprawi weselisko. Wprawdzie nie tu, gdyż brak zupełnie niewiast. Ale przecież wiekować tu nie będziemy. A co się odwlecze, to nie uciecze.

Słowa te wywołały znów wybuch śmiechu.

Roy rozbawiony rzekł:

— Już ja się o to postaram, aby naszemu Whitemu do tego dać sposobność.

Na to odezwał się John figlarnie:

— Pewnie raczej ja będę musiał o tem pomyśleć. Bo do tańca potrzebna muzyka, a co do tego, to Roy ze swą harmoniką prawdziwy mistrz. Ja zaś do tańca tom nie najgorszy, ale muzyk ze mnie taki znakomity jak z osła śpiewak. Roy więc będzie musiał grać na mojem weselu, na własnem zaś grać mu niewypada.

Wesele zaś bez muzyki, to jak pies bez ogona. A więc Roy weseliska wyprawić nie może.

Tu odezwał się Buthley:

— To byłby zbyt srogi wyrok i na poczciwego Roya wydać go nie możemy. Skoro sobie kiedyś upatrzy stósowną towarzyszkę życia, to niech się z Bogiem żeni. A muzyka też się wtedy znajdzie.

— W ten sposób — rzekł White — będę mógł tańczyć na dwóch weselach.

— A może i na więcej — dorzucił Ferman — bo i nasi panowie inżynierowie jeszcze kawalerami.

Na takich żartach i przyjacielskiej pogadance zeszedł ten dzień naszym znajomym bardzo przyjemnie i wesoło.

Miłe odwiedziny.

Powoli nadeszła wiosna.

Pod dozorem inżynierów postąpiły prace w kopalni już dość daleko. Brakło tylko maszyn, które swego czasu zamówiono u agenta wielkiej fabryki z San Francisko.

Miały nadejść na wiosnę. Więc wyczekiwano z niecierpliwością ich przybycia.

Agent dotrzymał, jak się wnet wykazało, danego słowa.

Była znów niedziela.

Po zwykłem nabożeństwie domowem zabierano się właśnie do obiadu, gdy psy głośnem szczekaniem oznajmiły, że ktoś obcy się zbliża.

Było to grono, składające się z trzech osób. W środku kroczył jakiś rosły mężczyzna z długą brodą. Mógł liczyć lat około pięćdziesięciu. Cała jego postawa i ruchy zdradzały człowieka o niemałej inteligencyi. Ubiór zaś, który miał na sobie, świadczył, że musi

być majętnym. Dwaj zaś jego towarzysze czynili wrażenie, iż są jego pomocnikami.

Tak też było w istocie.

Ów mężczyzna z długą brodą był to Mersey, bogaty właściciel kopalni złota z Bonanza-Creek. Towarzysze zaś jego, nieco młodsi wiekiem, byli inżynierami, zatrudnionymi w jego kopalni.

Osobiście nie znali się jeszcze przybysze z mieszkańcami osady w El Dorado-Creek. Ale wnet zawarli z sobą znajomość i przyjazne stósunki.

Ugoszczono gości bardzo serdecznie. Tylko Muramba miał z tem trochę ambarasu, gdyż musiał przygotować na prędce dla nich posiłek, i to możliwie obfity i smaczny.

Goście ci przynieśli bowiem bardzo pożądaną wiadomość, że do Dawson-City nadeszły już maszyny, przeznaczone do kopalni w El Dorado-Creek i to wraz z maszynami, które u pana Lee zamówił także Mersey dla własnej potrzeby.

Uprzejmy właściciel kopalni z Bonanza-Creek oświadczył gotowość podzielenia swej pomocy w przewiezieniu aż dotąd ciężkich maszyn.

— Wam trudno — mówił — ba prawie niemożliwie byłoby je tu przewieźć, gdyż nie macie bawołów, któreby je uciągnąć mogły. A odległość od mojej osady aż do waszej wynosi przeszło dwie mile. Niema też żadnej wygodnej drogi, a to powiększa bardzo trudność transportu. Wam zaś, o ile wiem, zbywa nawet na stósownych do tego wozach.

Na to odrzekł Buthley:

— To prawda. Ściśle biorąc nie posiadamy wcale środków do wykonania takiego

utrudniającego transportu. Będziemy więc panu za ofiarowaną nam łaskawie pomoc, o którą już agent pan Lee poprzednio wspomniał, bardzo wdzięczni. Pragniemy się też panu według możności odwzajemnić. W tym celu więc przyślemy panu do pomocy wszystkich naszych ludzi, skoro tylko śnieg do reszty stopnieje i ziemia nieco obeschnie, gdyż inaczej pewnie i pańskie bawoły z ciężkiemi wozami nie dałyby sobie rady.

Mersey uznał słuszność tej uwagi i postanowiono jeszcze jakiś czas odczekać.

Skoro nadeszła stósowna praca, porozumiano się z Merseyem i wysłano na spółkę wozy i ludzi do Dawson-City.

Można sobie wystawić, że transport nie odbywał się z łatwością. Lecz pod okiem inżynierów pokonano wszelkie trudności i dowieziono wszystko szczęśliwie na miejsce przeznaczenia.

White, Ferman, Buthley i towarzysze odetchnęli, gdy maszyny były już na miejscu. Długo, bardzo długo na nie czekać musieli, ale ostatecznie ich się doczekali.

Dopiero to teraz panował ruch w kopalni. Co żyło, musiało przykładać pilnie rąk, aby wszystko umieścić, gdzie się należy.

Praca była uciążliwa. Ale każdy chętnie do niej się garnął, gdyż wiedziano, że owoc jaki zbierać z niej mieli, będzie sowitą nagrodą za wszystkie trudy i wysiłki.

Po pewnym też czasie rozlegał się w kopalni ruch i stuk maszyn. Głazy skaliste rozbijano w bryły, a zapas złotego kruszcu z dnia na dzień się powiększał. Kopalnia dostarczała daleko więcej złota, aniżeli przedtem klem, który był już całkiem wyczerpany.

Teraz dopiero wykazało się dowodnie, jak wielką wartość posiadała praca inżynierów, biegłych w swoim zawodzie. A i Buthley, który jako były górnik znał się na rzeczy i był niejako ich prawą ręką, teraz podwójnie się tu przydał.

To też White i Ferman błogosławili tę chwilę, w której się z nim przypadkowo poznali i do swego przyjęli grona.

Jedna tylko rzecz sprawiała im niemały kłopot. Otóż potrzeba im teraz było więcej sił do pracy. Bo kopalnia to nie klem, na którym i mniejsza liczba robotników wystarczała.

Ale i tej biedzie udało się wnet zaradzić.

Zaczęło znów do tych stron napływać mnóstwo ludzi, którzy zimę spędzili w mieście lub z innych stron po raz pierwszy podążyli szukać szczęścia w tej złotodajnej górze.

Ponieważ nie każdy z nich znajdował się w posiadaniu potrzebnych na zakupno własnego kiemu funduszy, przeto niejeden za dobrą zapłatą zgodził się do pracy w kopalni.

O ile zaś i to nie wystarczało, miano w Dawson-City wynająć potrzebną ilość robotników.

W tym celu wybrał się do tego miasta White, który pomimo swego wyzdrowienia musiał się jeszcze ciągle oszczędzać i w kopalni tylko lżejsze wykonywał prace.

W podróży tej, która mogła się znów odbyć czołnem na rzece, towarzyszył mu tym razem z pośród białych sam John, a oprócz tego dwóch Indyan, przydanych im do pomocy.

W mieście zabawili dwa dni, gdyż mieli znów sporo sprawunków do załatwienia. Trzeba było zakupić większą ilość żywności oraz różnych innych rzeczy do domowego użytku.

A najwięcej zabiegów sprawiało im wynajęcie większej liczby robotników. Ale i to pomyślnie załatwić się udało, z czego White niemało był zadowolony.

Nugetów ani większych kawałków złota tym razem dla spieniężenia nie przywieziono. Zapas gotówki z poprzednich sprzedaży, zwłaszcza ostatniej, która przyniosła na czysto przeszło sto tysięcy dolarów, wystarczał jeszcze na czas późniejszy.

John i podczas obecnego pobytu w mieście zabawił się wieczorem tańcami. Ale był pod każdym względem powściągliwym i postępował beznagannie. Nie wstąpił też ani na chwilę do tej oberży, w której po znanej ucieczce z osady uwodziciel jego, Sam Buxton, zginął marnie, zabity butelką podczas gry w karty. John omijał nawet zdaleka to nieszczęsne miejsce, które w duszy jego tak przykre i bolesne budziło wspomnienia.

Łodzie miano z sobą dwie, gdyż jedna przeznaczoną była do przewiezienia do El Dorado-Creek najętych nowo robotników.

Całe grono wraz z zakupionemi towarami popłynęło trzeciego dnia do domu i stanęło szczęśliwie u celu.

Praca w kopalni odbywała się wobec zwiększonych liczebnie sił roboczych temszybciej. A skutkiem tego pomnażał się też widocznie i zapas nagromadzonego już złota.

Ostatecznie doszło do tego, że okazała się potrzeba wywiezienia go do miasta celem spieniężenia surowca na gotówkę.

Misyi tej podjął się Ferman z Buthleyem.

Z młodzieńców zabrali tym razem z sobą Roya, a w dodatku dwóch Indyan i kilku białych robotników dla straży.

Pamięć o dawniejszym napadzie ze strony czerwonoskórych rabusiów ze szczepu Dog-Ribbet wymaga zastósowania wszelkich środków ostróżności. A to tem więcej, ponieważ obecna podróż była dalszą, gdyż udano się do miasta Selkirk.

Ztąd też wysłano znów do rodzin naszych starych znajomych listy oraz znaczniejsze kwoty pieniężne. A i nasi nowsi znajomi z osady w El Dorado-Creek dali odjeżdżającym podobne polecenia, w pierwszym rzędzie inżynierowie i cieśle.

Naturalnie korzystano znów z tej sposobności, aby zaopatrzyć się w większą ilość żywności.

Po załatwieniu wszelkich interesów wyprawa nasza wróciła do domu. I tym razem obyło się bez wszelkiego nieszczęśliwego wypadku. Bo chociaż po drodze zginął jeden z worków kawy, nie poczytywano to za zbyt wielkie nieszczęście.

Suszono sobie jednak nad tem głowę, jakim sposobem stać się mogło, gdyż zgubę dopiero później, już po powrocie do domu, zauważono. Zdaje się, iż leżący dość wysoko nad brzegiem czołna worek niepostrzeżenie, zapewnie wieczorem się zsunął. Podczas głośnej mowy zaś nikt nie usłyszał żadnego podpadającego szelestu.

— Nie bierzmy sobie tego zbytnio do serca — pocieszał White swych towarzyszy. — To daleko mniejsze zło, jak rabunek lub rana od niedźwiedzia. Na złocie — Bogu dzięki! — nam nie zbywa, więc stać nas na to, aby przy najbliższej okazyi tę stratę powetować. A i tak trzeba się będzie znów wnet wybrać do miasta, bo zaspokojenie tylu głodnych żo-

łądków przy ciężkiej pracy wymaga częstego zakupna wiktuałów, które tu u handlarzy na miejscu są tak niesłychanie drogie.

Wnet też o tej drobnej przygodzie podróżnej zupełnie zapomniano. Tylko Muramba coś kręcił czasami głową z obawy, że może mu zabraknąć kawy.

Przy pracy chyżo mijały godziny, dnie i tygodnie. A życie w osadzie płynęło zwykłym jednostajnym prawie trybem.

Podobnie miała się też sprawa z całą okolicą, gdzie poszukiwano na licznych klemach cennych nuggetów — z większym lub mniejszym skutkiem. Tylko z tą różnicą, że podczas gdy w El Dorado-Creek panowała trzeźwość i zgoda, miejscami działo się inaczej. Niejeden gambusino czyli poszukiwacz złota trwonił w szynku zebrany owoc swej pracy. A wtedy o spóry i kłótnie nie było trudno. Zachodziły nawet groźne starcia, ba krwawe bójki z bardzo smutnym czasem wynikiem.

Można powiedzieć, że szatan, czychający na zgubę ludzi, ma w wódce wiernego pomocnika, który mu ułatwia osiągnięcie niecnych zamiarów.

Jak już powiedzieliśmy, w naszej osadzie w El Dorado-Creek panowały pod tym względem daleko pomyślniejsze stósunki. Dobry przykład z góry oddziaływał zbawiennie na podwładnych. A White, Fermann i Buthley czuli się z tego powodu nietylko szczęśliwymi, lecz wprost dumnymi, iż ludzie ich tak wzorowo się prowadzili, że rzadko kiedy dawali powód do skargi i nagany.

Obchodzili się też ze swymi robotnikami wprost po ojcowsku. Panował między nimi iście patryarchalny stósunek. A z tego korzy-

stali zacni ci ludzie, aby wpływać na swych pracobiorców umoralniająco i uszlachetniająco. Widoczny zaś rezultat tych usiłowań błogiem napawał ich zadowoleniem. Z drugiej strony i robotnicy umieli cenić dobre chęci swych pracodawców i odwzajemniali się im szczerem przywiązaniem oraz wdzięcznością i tem większą pilnością w pracy.

Nadeszła znów niedziela. Było to już lato. Słońce silnie dopiekało.

Właśnie utartym zwyczajem wszyscy mieszkańcy osady zebrali się na skromne nabożeństwo.

Wtem zawarczał naraz Pluton, a za nim odezwały się chórem wszystkie inne psy.

— Widocznie — odezwał się Ferman — ktoś obcy przybywa.

— Dobrze — dodał White — że będziemy znów mieli w naszem gronie gościa, co tu tak rzadko się zdarza. Będzie więc pewne urozmaicenie.

A Buthley rzekł:

— Przecież chyba łotr żaden do nas nie zajrzy. O jakimś napadzie też mowy być nie może.

Tymczasem przybysze — a było ich tylko dwóch — byli już blisko.

A niewątpliwie duchowny! — zawołał radośnie White. — Zapewne jaki misyonarz, który zwiedza te strony, aby przynajmniej raz odprawić prawdziwe nabożeństwo, którego już tak dawno łaknęliśmy.

— Tak, tak — potwierdził John — widać to po jego ubraniu.

Roy zaś dodał:

A ten drugi mężczyzna to zapewne jego towarzysz podróży, aby duchowny tu samotnie się nie błąkał.

Starsi wyszli spiesznie przed dom i powitali grzecznie przybysza, który był rzeczywiście anglikańskim duchownym, oraz towarzyszącego mu mężczyznę.

Przybyły duchowny, ucieszony tak miłem powitaniem, zabrał wnet miejsce na małej ławeczce, którą mu wskazano, i tak opowiadać począł:

— Ponieważ tu ludzie pałają gorącą żądzą złota, przeto jest obawa, że mogą z czasem zapomnieć zupełnie o Bogu, o duszy, o życiu pozagrobowem i swoich obowiązkach. Mogliby ugrzęznąć całkowicie w materyalizmie, to zaś przyniosłoby im ostatecznie zgubę wieczną. Dla tego, gdy niema tu ani kościołów ani stałych duchownych, towarzystwo misyjne wysyła od czasu do czasu w te strony duchownych, aby poszukiwaczom złota przypomnieć, że głównym celem człowieka jest szczęście wieczne, a na nie życiem religijnem zasłużyć sobie trzeba. W końcu byłem w Dawson-City, a ztamtąd obszedłem różne osady, aby zebrać ludzi z okolicznych klenów, odprawić dla nich nabożeństwo i wygłosić kazanie. Z ubolewaniem jednak zaznaczyć muszę, że wielu nie usłuchało mego głosu. Tych pożałowania godnych chrześcian dla wieczności już prawie za straconych uważać należy. Wreszcie dotarłem aż do was, a zdaje mi się, sądząc z tak uprzejmego przyjęcia, że nie napróżno się trudziłem, i praca moja nie będzie daremną.

— I nie omyliła się wasza wielebność — rzekł White. — Mogę go zapewnić w imieniu

wszystkich białych, którzy znajdują się w naszej osadzie, że nabożeństwo i kazanie, którego brak tak długo dotkliwie odczuwaliśmy, będzie dla nas prawdziwą ucztą duchowną, za którą waszej wielebności szczerze wdzięczni będziemy.

Piękne to były słowa.

Wypowiedziały je usta nie katolika, lecz wyznawcy kościoła anglikańskiego, ale wierzącego człowieka.

Jakże zawstydzają tylu oziębłych katolików, którzy o sprawy religijne, o głos sumienia, o zbawienie wieczne prawie wcale się nie troszczą, myśląc tylko o rzeczach doczesnych, o zbijaniu majątku, honorach i zaszczytach, lub o używaniu zabaw i rozkoszy.

Duchowny po krótkim wypoczynku i posileniu się w gościnnym domu naszych znajomych oświadczył, że po południu odprawi tu nabożeństwo. Wyraził też życzenie, aby uczestniczyć w niem mogło jaknajwięcej ludzi z bliższego sąsiedztwa.

Chętnie spełniono to życzenie.

John i Roy jako najmłodsi oraz kilku robotników rozbiegło się w różne strony, aby zawiadomić gambusinów o przybyciu duchownego.

Wszyscy słuchali po tak długiej przerwie z rozrzewnieniem słów wymownego kaznodzieji. Niejedno dobre postanowienie w duszy słuchaczy było ich następstwem.

Po nabożeństwie ugościli nasi znajomi wszystkich obcych. A długa pogadanka zatrzymała ich aż do samego wieczora w osadzie. Złożono też ładnę ofiarę na dalszą podróż duchownego i jego towarzysza.

Duchowny pozostał w El Dorado-Creek przez kilka dni, gdyż usilnie go o to proszono.

Wreszcie nadszedł czas pożegnania, które wypadło z obu stron bardzo czule.

Duchowny polecił religijnych mieszkańców osady opiece boskiej i powędrował wraz ze swym towarzyszem dalej do Bonanza-Creek. Polecono mu bowiem Merseya, znanego nam już właściciela kopalni, jako człowieka, który przyjmie go z pewnością, jak się to mówi, z otwartemi rękoma.

Zakończenie.

Mieszkańcy osady w El Dorado-Creek długo jeszcze pozostawali pod miłem wrażeniem cotylko opisanych odwiedzin.

Wspominali o nich bardzo często, zwłaszcza w każdą niedzielę, gdy cała gromada toczyła z sobą żywą rozmowę. Ten i ów wyrażał żal, iż nie można było duchownego jeszcze dłużej, najmilej na zawsze tu zatrzymać. Ale uznano to za niemożliwe, gdyż musiał odwiedzić cały ten rozległy okręg, gdzie jego praca misyonarska była również pożądana.

I tak znów upłynęło kilka tygodni.

Krótkie lato zaczęło się już chylić ku końcowi.

Praca odbywała się dalej zwykłym trybem.

Wysłano znów wyprawę do Dawson-City po nowy prowiant. Oprócz tego okazała się potrzeba zakupna dalszego zapasu prochu, gdyż do rozstrzeliwania kamieni i ścian skalistych wiele się zużywało. Niejeden też potrzebował to lub owo z odzieży lub bielizny albo inne miał potrzeby.

To wszystko załatwiano w wymienionem mieście.

Razu pewnegu wybrał się znów z pozwoleniem starszych Roy i John wraz z kilku

młodszymi robotnikami na polowanie. Chodziło o dostarczenie świeżego mięsa, gdyż suszone lub solone, już się wszystkim nieco przyjadło.

Na ludzi potrzeba było mięsa wiele, więc wyprawa łowiecka obliczona była na kilka dni.

O niedźwiedziach tym razem nawet nie pomyślano. Miano polować na jelenie.

No, i młodzi myśliwi wywiązali się doskonale ze swego zadania. Już po trzech dniach wrócili do domu, i to z obfitą zdobyczą.

Przyniesiono aż cztery ubite rosłe jelenie.

Widok tyle mięsiwa, zapowiadającego smaczną pieczeń, wszystkich uradował. Najwięcej jednak cieszył się Muramba, kucharz osady, ponieważ stanowiło to nowy numer w jego arcyograniczonym jadłospisie.

Nawet psy były zadowolone — z tego urozmaicenia w swem pożywieniu, gdy porzucono im pośledniejsze części jelenich wnętrzności.

Uderzyło więc ogólnie tem bardziej, że White wyglądał jakoś nasowiały. Chodził jakby w głębokiem pogrążony zamyśleniu i jakoś wcale się nie odzywał.

Myślano, że może rana, choć już dawno całkiem zagojona, sprawia mu pewne dolegliwości. Lecz przed nikim z tem zwierzyć się z tem nie chce, aby tą wiadomości nie sprawiać towarzyszym przykrości.

Wreszcie Ferman, najlepszy jego przyjaciel, tak go zagadnął:

— Powiedz że nam, mój kochany, co ci właściwie dolega. Ale nie obwijaj nic w bawełnę i wyznaj nam gołą prawdę. Bo że jesteś od pewnego czasu jakoś nieswój i kwaśną masz minę, to rzecz pewna. Jeżeliby mnie moje oczy myliły, to spostrzegli to i wszyscy inni. Więc wykręcać się nie miałoby celu.

Zaambarasował się tem niemało poczciwy White. Poskrobał się po głowie, odchrząknął, milczał jeszcze przez krótką chwilę, ale ostatecznie wypadało dać na to zapytanie jakąś odpowiedź.

Dał ją więc i to w następujących słowach:

— Jeżeli mnie już o to wyraźnie pytacie, z jakiego powodu jestem zafrasowany, to wam to powiem. I to szczerą prawdę, gdyż brzydzę się kłamstwem. Oto zaczyna mnie coraz bardziej trapić tęsknota za rodziną, której tak długo nie widziałem. Noszę się więc z myślą odwiedzenia swoich. Jeżeli zaś zamiar ten wykonam, to pobawię przez dłuższy czas w domu i dopiero na wiosnę — jeżeli Pan Bóg pozwoli dożyć — wrócę do El Dorado-Creek. Przecież tak długo dacie sobie bezemnie radę, zwłaszcza że jestem potrosze inwalidą i nie mogę jakoś tak ciężko pracować jak dawniej aż do czasu, gdy mi szelma niedźwiedzica dała znaną wam pamiątkę. A i dla Roya, sądzę, będzie dobrze, jeżeli po tak długiej rozłące zajrzy do domu. Jeżeli więc ma ochotę, to zabiorę go z sobą.

— I owszem, i owszem rzekł Roy, któremu na zmiankę do domu nagle jakoś ckliwo się zrobiło.

Podobne uczucie owładnęło teraz i resztę naszych znajomych. Wynurzenia Whitego wywarły na nich skutek, jakby działały zaraźająco.

Nawet Buthley, chociaż z natury nieco twardszy, nie mógł się temu uczuciu oprzeć. Nie protestował też wcale przeciw planom Whitego.

A Ferman?

Ferman wystąpił teraz jeszcze z daleko dalej idącym projektem. Zdumieli się prawie wszyscy, gdy po pewnem zastanowieniu tak się odezwał:

— Rozumiem i cenię wasze przywiązanie do rodziny. Sam też bynamniej nie jestem bez serca. I ja kocham swoich gorąco. I ja pragnąłbym zobaczyć ich jaknajprędzej i przycisnąć do serca żonę i syna jedynaka, który teraz już musiał pięknie podrość. Ale co do mnie, to inaczej rzecz sobie wystawiam. Otóż i ja od dość dawna miałem pewien plan, który wam teraz bez ogródki wyjawię. Wszak Bóg poszczęścił naszej uczciwej pracy. Złota mamy wiele, więc i pieniędzy posiadać będziemy poddostatkiem. Co myślicie, gdybyśmy tak naszą kopalnią sprzedali?...

— Niełatwo to będzie — rzekł Buthley. — Bo za bezcen oddać jej nie możemy, aby nie ponieść wielkiej szkody, a tak bogatego człowieka, któryby nam za nasze przedsiębiorstwo jak należy zapłacił, trudno będzie znaleźć.

— A ja wam powiem — odparł Ferman — że o to bynajmniej nie tak trudno. A na potwierdzenie tych słów mogę wam powiedzieć, że mam już nawet na oku ochotnika, który może nabyć naszą kopalnię za stósowną cenę. Jest nim Mersey z Bonanza-Creek. Dowiedziałem się o tem przypadkiem, że niebyłby od tego, aby ją nabyć, gdyż posiada dwóch dorosłych synów. Jeden z nich kończy właśnie nauki jako inżynier, więc dla niego poszukuje odpowiedniego przedsiębiorstwa. A że to człowiek bogaty, który na swej kopalni dorobił się wielkiego majątku, to przecież powszechnie wiadomo. Głośno o tem nietylko tu na miejscu, lecz i w Dawson-City i w Selkirku.

— To prawda — potwierdził Withe. — A przytem to człowiek religijny i dbały o dobro swych robotników, założona przez nas kopalnia dostałaby się w dobre ręce.

Tu zabrał głos Buthley, który dotąd milczał, namyślając się pewnie, jakieby w omawianej ważnej sprawie powziąść postanowienie.

Buthley tak mówił:

— W każdym razie warto udać się do Merseya i porozumieć się z nim. Zresztą właściwie winni mu jesteśmy odwiedziny. Wszak on był już u nas i zapraszał nas do siebie. A odtąd nikt z nas nie był u niego oprócz robotników, którzy byli mu pomocni przy transporcie maszyn, sprowadzonych z San Francisco.

Uznano słuszność tych wywodów i uchwalono, że w najbliższą niedzielę wybierze się do Bonanza-Creek stara trójka, to jest White, Ferman i Buthley.

Uchwałę tę też w oznaczonym dniu wykonano.

Dolina rzeki Bonanza była o wiele szerszą od doliny rzeki El Dorado. Rzeczona rzeka, poboczna rzeki Klondyki, posiada też znacznie większą długość od rzeki El Dorado. Podczas gdy długość koryta ostatniej wynosi tylko około dwadzieścia kilometrów, ma pierwsza blisko pięćdziesiąt kilometrów długości.

Nad brzegiem rzeki wykarczowany był dość rozległy plac z drzew i krzewiny, a na nim wznosiło się blisko tuzin domów większych i mniejszych rozmiarów. Wszystko zaś wyglądało schludnie i dość pokaźnie. Świadczyło to z jednej strony o zamiłowaniu po-

rządku, a z drugiej o pomyślnych stosunkach majątkowych właściciela.

Dla Merseya były odwiedziny naszych znajomych wielką niespodzianką, więc sprawiły mu tem większą radość.

Powitał ich serdecznie i ugościł według przysłowia: czem chata bogata, tem rada. Ponieważ zaś chata u niego była w samej rzeczy bogatą, a nawet bardzo bogatą, przeto i przyjęcie wypadło, jak na tamtejsze stosunki, bardzo wykwintnie.

Nie brakło dobrego wina, w które piwnica bogato była zaopatrzona. A żona gospodarza, bardzo uprzejma niewiasta, wystawiła tak suty i smaczny posiłek, że poczciwy Muramba ze swą sztuką kucharską musiałby się przed nią schować.

Po poruszeniu spraw ogólniejszej i obojętnej natury, przystąpiono do omówienia interesu, który właściwie naszą trójkę tu dziś sprowadził.

Skoro Mersey dowiedział się o co chodziło, zawołał ucieszony:

— A to panowie przybyliście tu jakby na zawołanie. Podwójnie mi więc jesteście mili. Powiem wam otwarcie, że wybierałem się do was w tym interesie już od pewnego czasu. Lecz powstrzymywała mnie wciąż od tego obawa, że moglibyście mnie posądzać, iż chcę was wykurzyć z waszej osady, aby dostać się w posiadanie kopalni waszej i zbijać na niej majątek, który sami z niego wyciągać możecie. To też kto wie, czy byłbym się wogóle zdobył na poruszenie tej poniekąd nieco drażliwej sprawy. Skoro jednak przybyliście do mnie sami z projektem sprzedaży swej posiadłości, to z zadowoleniem tę ofertę przyjmuję.

Wiem, że kopalnia wasza wielkie przynosi zyski, więc i cena za nią nie może być niską. Jestem człowiekiem uczciwym, przeto nie chcę waszej krzywdy.

Wnet też zgodzono się do ceny.

Mersey oświadczył też gotowość przejęcia przedsiębiorstwa na własność już w najbliższym czasie, a większą część należytości przyrzekł wypłacić gotówką zaraz przy urzędowym zapisie.

Trójka nasza wracała więc do domu w bardzo wesołem usposobieniu. A po powrocie do swej osady, zaczęła czynić przygotowania do podróży, aby jeszcze przed nastaniem zimy dostać się do swoich.

John, jak było można przewidzieć, również zdecydował się na wyjazd do domu.

Opuścił dom rodzinny z pozwoleniem ojca w towarzystwie jego starego znajomego trapera, Fermana, z nim też postanowił wrócić w strony ojczyste. Teraz wprawdzie w charakterze gambusina czyli poszukiwacza złota, a ściśle biorąc, raczej kapitalisty, chociaż w tak młodym jeszcze wieku.

Bo i jemu przypadła w udziale bardzo znaczna suma z nagromadzonej gotówki jako i kwoty, który przy urzędowym akcie sprzedaży Mersey stosownie do swego przyrzeczenia wypłacił.

Co się tyczy Murauby. to rozłąka z białymi przyjaciółmi, których gorąco ukochał, była nader bolesną.

Nie miał ochoty służyć obcym panom i ze swymi kilkoma Indyanami ze szczepu Crow wrócił do ojca. Przyobiecał jednak nowemu nabywcy, że na wiosnę przyśle mu znowu pe-

wną liczbę podwładnych swego ojca do roboty.

Inżynierowie i cieśle pozostali na miejscu aż do pory zimowej. Następnie pierwsi wrócili do San Francisco, a ostatni do miasta, z którego przybyli. Tylko jeden z cieśli, który był nieżonaty, pozostał na stałe w El Dorado-Creek na usługach nowego właściciela kopalni.

Plutona zabrał z sobą Buthley, który wierne to zwierzę bardzo polubił i nie chciał się z nim rozstać.

Pożegnanie wspólne było nadzwyczaj serdeczne. Dobry Muramba popłakał się jak dziecko, gdy mu Roy i John uścisnęli rękę po raz ostatni.

John odezwał się jeszcze w ostatniej chwili do Whitego:

— Gdy będę miał weselisko, to nie zapomnę na nie pana zaprosić. Ale proszę wtedy i Roya przywieźć z sobą, bo nikt tak pięknie jak on nie umie grać na harmonice.

— Jeżeli nas zaprosisz — odpowiedział Roy — to przybędziemy z pewnością. Ale i ty musisz stawić się na moje wesele, gdyż pragnę cię wtedy mieć przy swym boku jako drużbę. Przydasz nam się też jako doskonały tancerz.

Ostatnie słowa wypowiedział White, który tak się odezwał:

— Bogu najwyższemu dzięki za opiekę, którą nas otaczał. Mamy dość pieniędzy, aby żyć wygodnie. Ale ażeby być rzeczywiście szczęśliwymi, żyjmy jak dotąd uczciwie, jak to zalecał nam w swem kazaniu duchowny w El Dorado-Creek.

KONIEC.

U. C. BERKELEY LIBRARIES
C057849535